

Aborcja: awantura na życzenie ■ Dobrze nam bez euro ■ Teologia Diuny
Iran–Izrael: sądne dni ■ Co piją Rosjanie ■ Baśń o Rabce ■ Filozof na YouTube

Kraków 17 – 23 kwietnia 2024 nr 16 (3902)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

KLUCZE PORAŹKI:
PRAWDA DEMOGRAFII
POLITYKA Z UCZUĆ
SYTY ELEKTORAT
ŚWIAT BEZ MĘŻCZYZN

Komu dziś potrzebna **lewica**



**Wierzymy,
że świat
da się naprawić.
Zróbmy to wspólnie**

1,5%



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Przekaz 1,5% podatku
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.**

» KRS 0000 125 605

KS. ADAM

Boniecki: Skąd są noni

O AMERYKAŃSKICH „NONACH” NIE POTRAFIĘ powiedzieć nic więcej niż to, czego dowiedziałem się z wywiadu Marty Zdzieborskiej z Ryanem Burge’em. Obserwacje i liczby, które w nim padają, mówią same za siebie. Noni to amerykańscy chrześcijanie, którzy nie są w żadnej wspólnoty: są agnostykami, ateistami albo wierzącymi po swojemu. Po prostu: do żadnego Kościoła nie należą. Zjawisko jest w jakimś stopniu związane z amerykańską polityką, w jakimś jednak – oczywiście w różnych wariantach – jest, jak sądzę, powszechne.



Zostawiam więc ten interesujący wywiad na boku i przechodzę do naszej polskiej sytuacji. Bo i u nas oczywiście są „noni”. Nikt ich tak jeszcze nie określa, ale są, i to coraz liczniejsi. Skąd są? Zewsząd, ale też z naszych lekcji religii. Mówić się zwykło, że lekcje religii w szkole są koszmarem. Może i są, ale w mojej pamięci mam lekcje religii w całkowitym spokoju i ciszy. Lekcje fascynujące, które same w sobie były spokojne, bo były ciekawe. W tych samych salach, z tymi samymi uczniami były też (w innym roku szkolnym) lekcje religii przez nikogo nietraktowane serio, w bałaganie. Po prostu zmieniono nauczyciela. Mówiąc krótko: religii muszą uczyć ludzie do tego zdolni, przygotowani, z głową dobrze uformowaną. Teraz, niestety, zbieramy owoce kiepskich katechetów. Ludzi nieprzygotowanych do tej pracy. Masowo...

Kazania? Zróbcie ankietę, a sami się przekonacie. Z ambon przemawiają dziś, kiedy z takim trudem w ogóle się kogośkolwiek słucha, ludzie, którzy do tego się zupełnie nie nadają. Mówią (albo czytają!) teksty, które do nikogo nie trafiają, które nie odpowiadają na żadne pytania zadawane dziś przez zwykłego człowieka. Katastrofa kaznodziejstwa? Nie, nie chodzi

bowiem o natchnionych mówców, ale o ludzi, którzy z innymi współczesnymi sobie ludźmi wspólnie zadają trudne pytania. I szukają odpowiedzi, bez przymusu ich odnalezienia.

Spowiadanie? Nikt właściwie nie wie, co wyrabiamy w konfesjonale. A jest to niebywała okazja do rozmowy. Nie nauczki, którą wygłasza ksiądz i której często nie bardzo się słucha. Rozmowy o tym, co właśnie powiedział penitent. Wiem, coraz mniej ludzi w ogóle przystępuje do spowiedzi. Wiem, wierni idą raz do roku, wszyscy na Wielkanoc. Ale wiem też, że wciąż nie brak ludzi szukających mądrego księdza, który w konfesjonale naprawdę wysłucha i nie będzie się wymądrzał.

Ksiądz... Oczywiście są mądrzy świeccy, wcale nie księża, ale mówię tu o księżach, bo na takim jeszcze etapie jesteśmy, że od księdza się spodziewamy mądrego słowa, dobrej rady. Wskazania kierunku. Więc jeszcze do tamtych czynności „rytualnych” dodajmy rozmowę. Po prostu w sprawach ważnych, gdy potrzebujemy spojrzenia z boku kogoś bezstronnego, życzliwego, lecz niezależnego od nas. W naszej tradycji, przynajmniej w tradycji starszych pokoleń, był ksiądz – doradca. Czy jeszcze teraz jest?

Proces, który zachodzi w Ameryce, wcale nie musi się przenieść do Polski. Praca Kościołów jest tam nieco inna niż u nas. Nie mówię, że lepsza czy gorsza. Inna. Inne też są tego konsekwencje. Szanse również są inne. Jestem pewien, że przyjdzie czas, kiedy księży u nas będzie nieporównanie mniej, niż jest dzisiaj, ale – wierzę i w to – będą lepszej jakości niż my dziś. Tymczasem żyjemy tu i teraz i nie przestajemy szukać księdza, który okaże się Jezusem. ©P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Weź Tygodnik na majówkę – już 24 kwietnia!
Weźże, bo warto!**

BĘDZIE O TYM, z czym na ptaka – czyli jak i gdzie ptaków szukać i po co w ogóle je podglądać. Będzie także o wierze zdrowej emocjonalnie, czyli o tym, jak nie zwariować, wierząc. Miłośnicy adrenaliny dowiedzą się, czym jest futbol australijski i czy w Polsce ktoś w to gra.

Przeczytacie również o tym, co się stało z rosyjskim „sercem na dłoni”. Prócz tego będzie o książkach, filmach, poradnikach, o świecie i historii. No i oczywiście o polityce naszej codziennej. **Aż tyle w majówkowym, podwójnym numerze „Tygodnika Powszechnego”!**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



20 Prawdy lokalne

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Po wyborach samorządowych każdy ma swoją narrację. Nikt się specjalnie nie przejmuje, że stoją one ze sobą w sprzeczności i nie układają w spójny obraz tego, kto faktycznie zwyciężył.

51 Francuski atom nas ochroni?

SZYMON ŁUCYK
Arsenał atomowy Paryża jest sam w sobie zbyt skromny, by mógł obronić całą Europę. Ale zdaniem francuskich ekspertów oferta pewnego rozszerzenia jądrowego „parasola” mogłaby być interesująca dla niektórych krajów NATO, w tym Polski.



64 On, ona, ono

ROZMOWA Z MALARKĄ BETTINĄ BEREŚ:

Bałam się, że jak urodzę, to dostanę fiola, rodzicielstwo mnie zaślepi, sztuka zejdzie na plan dalszy. Ale jak już urodziłam syna, okazało się, że przyszedł dla mnie najlepszy czas twórczy.



60 Po co są filozofowie

ROZMOWA Z FILOZOFEM WOJCIECHEM SADYM:

Twórcy mechaniki kwantowej pisali artykuły z pogranicza fizyki i filozofii, o naturze ludzkiej wiedzy, bo musieli pisać wzory na coś, czego nie rozumieli. Później zrezygnowali z filozofowania, przyjęli postawę „zamknij się i licz”.

40 Przypowieść o przyszłości

PIOTR POPIOŁEK

W „Diunie” wątek polityczny nierozdzielnie spleta się z wizją wzorcowej religii przyszłości – w pełni inkluzywnej, etycznej, racjonalnej i ekumenicznej.



71

Jeśli coś może pójść źle, pójdzie gorzej

MICHAŁ WALKIEWICZ

Spalona ziemia, porośnięte bluszczem stacje benzynowe i szpitale zamienione w ostatnie bastiony ludzkości. Cykl gier „Fallout” od niemal trzech dekad wyznacza standardy postapokaliptycznych narracji. Teraz wchodzi na małe ekrany.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Świat wstrzymał oddech
MAREK KĘSKRAWIEC

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Prawdy lokalne
PIOTR ŚMIŁOWICZ

23 Sumienie i kalkulacja
MAŁGORZATA SOLECKA o sporach
wokół aborcji: Wnioski, jakie płyną
z dwóch sejmowych dni, nie są ani
jednoznaczne, ani optymistyczne

25 Egzamin z języka
ANNA GOC: Jak to możliwe, że
uczniowie w ósmej klasie nie potrafią
czytać i pisać?

28 Euro dla opornych
MAREK RABIJ: Czy Polska szybko
powinna przyjąć euro

■ ■ WIARA

34 Religia nonów
ROZMOWA Z PASTOREM
BAPTYSTYCZNYM RYANEM
BURGE'EM: Nadal jesteśmy
społeczeństwem głęboko wierzącym

**38 Kościół przestaje udawać,
że ma odpowiedź**
ARTUR SPORNIĄK: Nowy dokument
Watykanu o godności ludzkiej
przynosi kilka rewolucyjnych
nowości. I nareszcie potępia
penalizację homoseksualizmu

40 Przypowieść o przyszłości
PIOTR POPIOŁEK

■ ■ ŚWIAT

44 Katolicy na nieludzkiej ziemi
FILIP RUDNIK: Od rozpoczęcia
inwazji na Ukrainę w Rosji narasta
polityczny klimat niechęci do Kościoła
katolickiego

TEMAT TYGODNIKA



12 Lewica: komu to potrzebne

JAKUB DYMEK

Obiektywne kryteria wykluczenia zostały
zastąpione dzisiaj na lewicy przez kryteria
subiektywne, uczucia. Demografia i brutalna
wyborcza arytmetyka udowadniają,
że z mniejszości nie da się uezbiierać większości.

■ STRONY SPECJALNE ■

32 NA ŚWIATOWYM POZIOMIE

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **59** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

WŁODZIMIERZ CZARZASTY, MAGDALENA BIEJAT
I ADRIAN ZANDBERG, 25 PAŹDZIERNIKA 2023 R.

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Redaktorka prowadząca:
MONIKA OCHĘDOWSKA

48 Co piją Rosjanie

PATRYCJA BUKALSKA: Problem
dotyczy nie tylko drogich alkoholi,
ale także leków, elektroniki czy rud
manganu. W jaki sposób te produkty
docierają nadal na rosyjski rynek?

51 Francuski atom nas ochroni?
SZYMON ŁUCYK

52 Pomieszkac za darmo
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: W Hiszpanii
są ponad 4 mln pustych mieszkań,
które należą do banków i funduszy
inwestycyjnych. Kara za ich nielegalne
zajmowanie jest znikoma

■ ■ HISTORIA

56 Republikańsin z Podola
PIOTR HAPANOWICZ o historii
polityka, żołnierza, a także
najpłodniejszego, obok Kraszewskiego,
polskiego pisarza Teodora Tomasza
Jeża

■ ■ NAUKA

60 Po co są filozofowie
ROZMOWA Z WOJCIECHEM SADYM

■ ■ KULTURA

64 On, ona, ono
ROZMOWA Z MALARKĄ BETTINĄ
BEREŚ

68 Dłatego, że jest
JERZY JARNIEWICZ o wydanej właśnie
po polsku powieści nowojorskiego
pisarza i poety Charlesa Reznikoffa

**71 Jeśli coś może pójść źle,
pójdzie gorzej**
MICHAŁ WALKIEWICZ

74 Okiem reportera
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Civil War” Alexa Garlanda

75 Zejście pod ziemię
LEKTOR o książce Jacka Leociaka
„Podziemny Muranów”

■ ■ ZMYŚŁY

78 Za Pocięsną Wodą
BEATA CHOMĄTOWSKA: Rzeczywista
historia Rabki-Zdroju ma cechy
baśniowe – i w tym tkwi jej siła

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ Ogromne powodzie w Rosji

Tama za miliard rubli pękła, bo „myszy przegryzły ją na wylot”.
A przecież po wygranej Putina miało być tak pięknie
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

➤ Wojna pod Wawelem

Kto zostanie nowym prezydentem Krakowa: Gibala czy Miszałski?
Zacięta walka będzie się toczyć do samego końca
– opisuje ją **MAREK KĘSKRAWIEC** | powszech.net/krakow

Tvoja pierwsza prenumerata **17**
JESZCZE MOŻESZ ZAMÓWIĆ... zobacz na stronie

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



**OBRAZ
TYGODNIA**

Demonstranci z irańskimi i palestyńskimi flagami w noc irańskiego ataku zebrali się pod brytyjską ambasadą w Teheranie. 14 kwietnia 2024 r.

ATTIA KENARE / AFP / EAST NEWS

ŚWIAT WSTRZYMAŁ ODDECH

Jeśli Izrael odpowie na atak z irańskiego terytorium, może zacząć się konflikt o ogromnych konsekwencjach dla całego świata. Tylko Stany Zjednoczone mogą mu zapobiec.

MAREK KĘSKRAWIEC

DZIWNIE TO ZABRZMI, BO w grę wchodził nalot przy użyciu ponad 300 dronów i rakiet, ale nocny atak Iranu na Izrael to nie był akt wojny, lecz próba deeskalacji napięcia. Wyglądająca bardzo groźnie, ale jednocześnie teatralna i nastawiona na polityczny, nie militarny efekt. Choć był to bezprecedensowy, pierwszy w historii bezpośredni atak z irańskiego terytorium, to zarazem został on niemal oficjalnie zapowiedziany (w dodatku jako jednorazowy), a Izrael i jego sojusznicy z USA oraz NATO mieli dużo czasu na obserwację dronów i rakiet, a potem ich strącenie.

PEŁNOSKALOWA wojna wyglądałaby inaczej. W jej trakcie Teheran starałby się przekroczyć masę krytyczną chroniącej izraelskie niebo Żelaznej Kopyty i wysłałby nie setki, a tysiące rakiet i dronów. A przede wszystkim użyłby do inwazji finansowanego od wielu lat libańskiego Hezbollahu. W przeciwieństwie do Hamasu jest to nie tyle dobrze przeszkolona partyzantka, co regularna armia, posiadająca w swym arsenale ponad 100 tys. rakiet. Tylko gwałtowny atak miałby więc dla Iranu sens, z każdym kolejnym dniem zaznaczałaby się bowiem przewaga technologiczna Izraela oraz jego głównego sojusznika, czyli USA.

WYGLĄDA NA TO, że do nocnego nalotu doszło, gdyż Teheran uznał, iż po dwóch tygodniach musi już odpowiedzieć na izraelski atak rakietowy na konsulat przy ambasadzie Iranu w Syrii, w którym 1 kwietnia zginęli wysocy oficerowie elitarnych oddziałów Al-Quds. Prowadzą one zagraniczne operacje na rozkaz dowództwa Korpusu Strażników Rewolucji, zapewniającego irańskim ajatollahom trwałość systemu w cyklicznie buntującym się społeczeństwie. Jednym z zabitych był gen. Mohammad Reza Zahedi, komendant Al-Quds na terenie Libanu i Syrii. Jego śmierć na terenie placówki dyplomatycznej

nej to wielkie upokorzenie dla Iranu, *nota bene* kolejne. Cztery lata temu pod Bagdadem Amerykanie zabili za pomocą uzbrojonego drona samego Qasema Sulejmaniego, legendarnego przywódcę Al-Quds, gdy jechał na spotkanie z premierem Iraku.

Pozostawienie kolejnego takiego przypadku bez odpowiedzi wysyłałoby do sojuszników Iranu oraz jego regionalnych rywali sygnał, że ajatollah Ali Chamenei się boi. Fakt, przywódcy Iranu zdają sobie sprawę, że są potęgą jedynie regionalną i w starciu z Izraelem ich kraj nie mógłby zwyciężyć z uwagi na zaangażowanie sił USA. Zarazem jednak w prowadzonej przez dumnych Persów długofalowej polityce warstwa symboli ma ogromne znaczenie. Ponad 300 dronów można uznać za taki właśnie symbol. Głośny, ale w praktyce niegroźny, bo w Izraelu wywołał więcej paniki niż realnych strat.

SZEF SZTABU irańskiej armii oświadczył, iż Teheran po weekendowej demonstracji siły uważa sprawę za zamkniętą. Teraz wszystko zależy od Izraela. Prezydent Joe Biden na razie zmusił Tel Awiw do wstrzymania odwetu, nie wiadomo jednak, co będzie dalej. Premier Benjamin Netanjahu stał się ostatnio bardzo asertywny – zamachu na irański konsulat w Damaszku, łamiącego prawo międzynarodowe, nie zechciał nawet skonsultować z Amerykanami, co robił w przeszłości.

Netanjahu ma od dawna poważne kłopoty polityczne, zmagając się z licznymi zarzutami korupcyjnymi, a mieszkańcy Izraela protestują przeciwko niemu i domagają się wyborów mimo trwającej zbrojnej interwencji w Gazie. Brutalnie sprawę ujmując, wojna jest dla premiera Izraela w pewnym sensie ucieczką do przodu. W jej trakcie ignoruje coraz mocniejsze protesty wasyngtońskiej administracji, domagającej się zmiany charakteru inwazji na Strefę Gazy. Zdaniem USA, skala destrukcji tego terytorium już dawno przekroczyła uzasad-

nioną proporcjonalność odwetu za haniebny atak Hamasu 7 października.

IRAN TO INNA HISTORIA: 90-milionowy kraj z bardzo dużą, dość nowoczesną armią, która bez trudu mogłaby doprowadzić do ruiny transport ropy przez Cieśninę Ormuz, z którą sąsiaduje, a przez którą płynie niemal 40 proc. wszystkich morskich transportów ropy – w sumie to jedna piąta całego światowego eksportu tego surowca. Gdyby doszło do pełnoskalowej wojny, to nawet siła USA nie byłaby w stanie przekonać któregośkolwiek z armatorów do wypłynięcia na to terytorium. To zaś prowadzi nas bezpośrednio do potężnego kryzysu na rynku paliw i zapewne przekroczenia granicy 150 dolarów za baryłkę, co miałyby katastrofalne skutki dla ekonomii na całym świecie, zwłaszcza tej zachodniej. Ręce zaś zacierałaby Moskwa.

Może nie dostawałaby z Iranu już tylu bojowych dronów, ale – po pierwsze – nie mają one w masie rosyjskiego sprzętu takiego znaczenia jak w 2022 r., a po drugie zyski z eksportu ropy wyrównałyby te straty z potężną nawiązką (o korzyściach w postaci mniejszego zaangażowania USA i całego NATO w wojnę w Ukrainie nie wspominając). Z drugiej strony, sprzedawcy ropy muszą mieć jak ją dostarczać swym klientom, a akurat Iran jest bardzo od tego surowca uzależniony, więc na długiej wojnie ogromnie by stracił – kolejny kryzys to przecież niemal pewne kolejne protesty społeczne. W lepszym położeniu jest Rosja, która korzysta w dużej mierze z rurociągów i nie obchodzi jej zbytnio Ormuz.

KRYTYCZNE BĘDĄ najbliższe dni. Albo skończy się na wzajemnym pohukiwaniu, ewentualnie równie teatralnym geście militarnym ze strony Izraela, który Chamenei jakoś przełknie – albo na Bliskim Wschodzie dojdzie do wojny, której konsekwencji nie jesteśmy sobie w stanie nawet wyobrazić. To może zmienić cały świat. ©P



Azyl zaostrożany

WOJCIECH PIĘCIAK

FIŃSKO-ROSYJSKIE PRZEJŚCIA GRANICZNE MIAŁY zostać otwarte 14 kwietnia. Pozostałą zamkniętą. Finowie zamknęli je jesienią 2023 r., gdy nad granicą pojawili się migranci z Afryki i Azji. Uznając, że to ruch sterowany („kara” Kremla za akces do NATO), zamknęli przejścia, uniemożliwiając składanie wniosków o azyl. Rosjanie nie zdecydowali się przekierować migrantów na zieloną granicę. Wgląd w ich dyskusję w grupach na Telegramie (pisze o tym szwajcarski dziennik „NZZ”) pokazuje, że migranci mieli nadzieję, iż „nie będziemy musieli iść do Mińska” (jak ktoś pisał), bo Finowie otworzą przejścia. Tak się nie stanie, co rząd uzasadnia tym, iż „zagrożenie jest oczywiste”. Aby jednak nie trzymać granicy zamkniętej, przygotowano projekt ustawy, która pozwoli zawracać z granicy osoby, które chcą prosić o azyl, bez dania im możliwości złożenia wniosku.

Fiński rząd uważa, że konwencja o uchodźcach tego nie zakazuje: że jej art. 33 pozwala zawracać osoby, jeśli są odsyłane do kraju, gdzie nie grożą im represje (a takim jest dla nich Rosja, skoro przybyli tu z własnej woli i korzystali z pomocy jej służb). Z kolei art. 34 mówi, że można odesłać osoby, co do których są podstawy, by uznać je za zagrożenie dla państwa. Ten radykalny krok wpisuje się w trwającą w Europie dyskusję:

jak daleko mogą posunąć się państwa demokratyczne, by chronić się przed nielegalną migracją oraz przed użyciem jej jako oręża hybrydowego.

Także Parlament Europejski zaostriżył unijne prawo azylowe. Przyjęta 10 kwietnia regulacja ma sprawić, by efektywniej można było ustalić, kto jest uchodźcą, a kto podającym się za uchodźcę ekonomicznym migrantem i może być szybko deportowany (chyba że dany kraj uzna, iż chce go przyjąć). Przewidziano też mechanizm relokacji, jeśli jakiś kraj nie radzi sobie z migracją.

Reforma przeszła niewielką większością. Jedni uważają, że idzie za daleko. Inni, że nie zahamuje nielegalnej migracji. Premier Tusk powiedział, że z powodu relokacji polski rząd będzie przeciwny przyjęciu jej przez Radę UE. Dzień później mówił: „Mamy coraz więcej sygnałów, że reżim Łukaszenki chce wykorzystać ponownie kwestię migracji i presję na naszą granicę wschodnią z Białorusią, dla uzyskania celów politycznych, dezintegracji, dezinformacji i dla własnego pseudobiznesu”. ©P



Sienkiewicz marnuje szansę

STEFAN SĘKOWSKI

SPOSÓB, W JAKI POSZCZEGÓLNI MINISTROWIE rozwiązują problemy w podległych im instytucjach, pokazuje, czy chcą depisizacji systemowej, czy też ograniczają się do wymiany kadr na własne i zmiany narracji. W odniesieniu do ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza (na zdjęciu) znacząca jest wymiana kierownictwa w Instytucie Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego. PiS założył go, by „kultywował, chronił, badał i prezentował myśl narodową i chrześcijańsko-demokratyczną”. Instytut wydawał miliony złotych z naszych podatków, głównie na organizację prawicowe, katolickie i harcerskie, w tym blisko związane z ówczesną partią władzy. Przy okazji zaspokojoano ambicje prof. Jana Żaryna, którego – po tym jak przestał być senatorem – trzeba było jakoś zagospodarować.

Po wyborach Sienkiewicz mógł pójść dwoma drogami. Gdyby wybrał systemową depisizację, Instytut Dmowskiego i Paderewskiego po prostu by zlikwidował. Nie jest potrzebny, gdyż od badania myśli politycznej mamy szereg katedr historii i politologii na uczelniach, które obowiązują naukową rzetelność i obiektywizm,

inaczej niż instytucję rządową. Instytut to zwykła pozostałość po budowaniu przez PiS systemu partyjno-klientelistycznego, w którym państwo służy do realizacji interesów ekipy rządzącej.

Minister kultury wybrał jednak drogę depisizacji personalnej, a przez to powierzonej. Żaryna zastąpił Adamem

Leszczyńskim, historykiem i publicystą lewicowym. Instytut zmieni prawdopodobnie szyld, a Dmowskiego i Paderewskiego zastąpi najpewniej Gabriel Narutowicz.

Z pewnością zmieni się też lista beneficjentów współpracy z tą jednostką, dojdzie więc do przekierowania dużego strumienia pieniędzy na konta stowarzyszeń lewicowych i liberalnych.

Sienkiewicz zaprzepaszcza szansę na odejście od ideologizacji działalności podobnych instytucji, faktycznie wpisując się w program PiS, tyle że o innym wektorze ideowym. Sygnalizuje, że państwo jest od tego, by pod kuratelą rządu promować lub krytykować wybrane nurty myśli politycznej, pod warunkiem że będą to nurty, które władza wskaże. To działanie głęboko w duchu Jarosława Kaczyńskiego. ©



NA PUNKTY

KONCERT

„O Grzegorz Braun, o Grzegorz Braun, kto zgasić świecę tak będzie umiał”: grupa rozweselonych posłów zaśpiewała podczas głośnej imprezy w hotelu sejmowym przeróbkę dawnego przeboju zespołu Myslovitz. Imprezy głośnej w sensie ścisłym: „Mieszkańcy ulicy Frascati, Wiejskiej dzwonią na policję, że nie da się spać, bo ktoś wyje w hotelu poselskim” – potwierdził rewelacje tabloidów marszałek Hołownia.

GALA

Głośna impreza (z udziałem m.in. posłów PiS) miała miejsce 10 kwietnia, w rocznicę katastrofy smoleńskiej. Tego samego dnia Jarosław Kaczyński próbował uszkodzić, a następnie zabrał spod pomnika przy pl. Piłsudskiego wieniec z napisem obciążającym winą za tragedię jego brata-prezydenta.

FESTIWAL

W hotelu sejmowym można było w minionym tygodniu nie tylko śpiewać, ale i obejrzeć na kanale parlamentu transmisję zamkniętego posiedzenia klubu Lewicy, podczas którego omawiano m.in. strategię dotyczącą głosowań aborcyjnych. Kancelaria Sejmu przeprosiła Lewicę za „błąd techniczny”. ©P

DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



Świętość dzieje się w codzienności

MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ NA FILIPINACH rozpoczął proces beatyfikacyjny Niñy Ruiz Abad, zmarłej w 1993 r. 13-latki. Według relacji rodziny i znających ją osób dziewczynka od najmłodszych lat modliła się z wyciągniętymi ramionami przed Najświętszym Sakramentem, w szkole rozdawała święte obrazki i modlitewniki, chodziła ubrana na białą z różańcem na szyi. Dowiedziawszy się

o śmiertelnej chorobie serca, miała powiedzieć matce, by się nie martwiła, bo przecież opiekuje się nią Bóg. Postulator procesu ks. Dennis Ruiz postawił Niñę za wzór dla „dzisiejszej młodzieży”, pochłoniętej „technologiami i przyjemnościami”. Biskupi Filipin stwierdzili, że życie dziewczynki „inspiruje dzieci i młodzież do prowadzenia życia zakorzenionego w modlitwie”.

Ostatnie kilkanaście lat przyniosło beatyfikację kilku młodych ludzi – m.in. Carla Acutisa, Chiary Badano czy Sandry Sabbatini. Rozmawiałem ostatnio z uczniami uczestniczącymi w rekolekcjach wielkopostnych poświęconych Acutisowi, 15-latkowi zmarłemu na białaczkę w 2006 r. Kaznodzieja podkreślał, że Carlo codziennie był na mszy, zajmował się seniorami, opiekował bezdomnymi

mi itp. Część młodzieży była znudzona, część miała z tego „beke”. Niczego nie ujmując zasługom Niñy Ruiz Abad – wydaje się, że warto zapytać o to, jak Kościół opowiada o świętości. Z kontrreformacyjnego chyba przyzwyczajenia ma odruch budowania narracji heroicznych, dla współczesnej młodzieży po prostu niewiarygodnych – i przede wszystkim niepraktycznych. W rezultacie także świeccy szukają świętości w ekstremalnych przejawach czyjejs pobożności. A może ona dzieje się naprawdę w zwykłej codzienności? ©P



„Babciowe”

MAŁGORZATA NOCUŃ

PROJEKT USTAWY „AKTYWNY RODZIC” DOTYCZY rodziców wracających na rynek pracy i kontynuujących opiekę wychowawczą. Określa m.in. zasady dofinansowania opłat za żłobek i przyznawania „babciowego”, świadczenia, które ma pomóc, szczególnie matkom, w powrocie do pracy po urlopie macierzyńskim. „Babciowe” będzie wypłacane od października br. i wyniesie 1500 zł (1900 otrzymują rodzice wychowujący dziecko z niepełnosprawnością).

„Potrzeba całej wioski, aby wychować dziecko” – wie o tym każda matka rocznego dziecka, która chce wrócić do pracy. Dotąd do wyboru miała dwie opcje: oddanie malucha do żłobka (w publicznych brakuje miejsc, prywatne są drogie) albo wynajęcie niani (koszt niejednokrotnie równa się z jej pensją albo nawet ją przewyższa, nianie pracujące w pełnym wymiarze chcą być zatrudnione na etat). Wiele matek uważało, że każdy z tych wyborów jest zły i decydowało się na bezpłatny urlop wychowawczy.

Kobiety czuły się niewspierane przez państwo i wypychane z rynku pracy.

Regułą było, że po powrocie z urlopu macierzyńskiego bądź wychowawczego proponowano im zatrudnienie w mniejszym wymiarze godzin i często na niższym (gorzej płatnym) stanowisku albo po prostu po kilku miesiącach je zwalniano. Poszukiwanie nowego zatrudnienia było zadaniem karkołomnym, bo co można napisać w CV np. po trzech latach w domu?

Polki z zazdrością spoglądały więc na rozwiązania stosowane w Europie. Tam na różne sposoby próbuje się zachęcać kobiety do aktywności: praca zdalna, praca w niższym wymiarze godzin (w Polsce pracodawca często krzywo patrzy nawet na kobietę karmiącą piersią i korzystającą z prawa siedmiodziennej pracy), domowe minizłobki czy klubiki dziecięce i żłobki organizowane przy pracy. Dzięki „babciowemu” będzie łatwiej: rodzice otrzymają pieniądze, które będą mogli przeznaczyć na dopłatę do żłobka czy wynagrodzenia niani. Oczywiście „babciowe” pokryje część kosztów, ale kobiety zyskają motywację do wyjścia z domu. Nie będą już pracować „za darmo”, czyli oddawać całego swojego honorarium opiekunce. Świadczenie pomoże też w aktywizacji senierek i zmniejszy – ogromną – szarą strefę, w której funkcjonują nianie. ©



Okiełznać Orlensteina

MAREK RABIĆ

PO PONAD DWÓCH MIESIĄCACH wakatu największa firma w Polsce ma znowu prezesa. Daniela Obajtka na stanowisku szefa Orlenu zastąpił Ireneusz Fąfara.

W raportach Orlen prezentuje się jak gigant, któremu do kasy w ubiegłym roku wpadło 372,6 mld zł. W rzeczywistości koncern pozostaje zbiorem bytów, które Obajtka z politycznymi mecenasami wyantyzambrował w resorcie aktywów państwowych. Poza samym Orlenem pod tym szyldem działają także Lotos, Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo, Energa, a także kwiatek do energetycznego kozucha, jakim jest wydawnictwo Polska Press. Analitycy giełdowi złośliwie nazywają twór Obajtka Orlensteinem, bo na razie nie widać tam poważniejszych prób koordynacji działania poszczególnych firm ani zmiany organizacji całości.

Nie znaczy to jednak, że koncern w kształcie nadanym mu przez PiS jest niezdolny do egzystencji. Poprzedni zarząd pchnął go w stronę działalności multienergetycznej. Orlen to dziś nie tylko paliwa płynne, ale też gaz ziemny (PGNiG) oraz energia elektryczna (Energa), co czyni go w całości bardziej odpornym na szoki popytowe, jakie mogą się wydarzyć czy to z powodu kryzysu klimatycznego, czy w wyniku konfliktów takich jak wojna w Ukrainie. Wielki Orlen może się więc Polsce

przysłużyć, ale pod warunkiem że państwo, jako główny akcjonariusz, będzie miało nań pomysł, wyposaży w długofalową strategię i odeśle do zarządu odpowiednich ludzi. Nominacja Ireneusza Fąfary nie wróży temu, niestety, najlepiej.

Firmą o przychodach równych 65 proc. zeszłorocznego budżetu Polski pokieruje bowiem menedżer znany w branży głównie z politycznej spolegliwości. Fąfara był w przeszłości szefem BGK, potężnego kapitałowo, ale operacyjnie zależnego od rządu banku, który jest *de facto* skarbniką ministrów, kiedy kończą im się pieniądze w budżecie. Potem pracował w ZUS i wreszcie, za rządów Jacka Krawca, trafił do Orlenu jako szef rafinerii w litewskich Możejkach. Jego nazwisko nie pojawiała się wcześniej wśród kandydatów na szefa Orlenu, co potwierdziło tylko znana obserwacja, że w gabinecie Tuska opinia „pewnego kandydata” na szefa spółki Skarbu Państwa jest pocałunkiem śmierci. Za faworyta do stanowiska szefa Orlenu rynek niemal zgodnie uważał Krzysztofa Zamasza, profesora Politechniki Śląskiej z bogatym dorobkiem menedżerskim w dużych spółkach energetycznych, ostatnio zarządzającego firmą ciepłowniczą Veolia Poland. Wedle nieoficjalnych informacji Zamasz przegrał wyścig, bo do zarządu chciał wejść z zaufanym wiceprezsem do spraw finansowych. ©P

Piknik Orlenu „Dobry kierowca”. Nowy Dwór Mazowiecki, 15 lipca 2021 r.



MAREK M. BEREZOWSKI / REPORTER



RONALD WITTEK / EPA / PAP

Działaczki stowarzyszenia Seniorki dla Klimatu po wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Strasburg, 9 kwietnia 2024 r.

Seniorki w walce o klimat

POLITYKA KLIMATYCZNA ■ Sprawa od początku była wyjątkowa. Na ławie oskarżonych: Szwajcaria, naprzeciwko: ponad dwa tysiące kobiet z grupy Seniorki dla Klimatu. Wykazały one, w jaki sposób ocieplający się klimat narusza ich prawa – m.in. przez to, że jako starsze osoby są najbardziej narażone na śmierć podczas coraz częstszych i dłuższych fal upałów w Europie.

Fundamentem takich sporów prawnych są pytania: czy stabilny klimat jest prawem człowieka i czy jest na to paragraf? Nigdy wcześniej nie dostaliśmy tak jednoznacznie twierdzącej odpowiedzi, jak w wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z 9 kwietnia. Po pierwsze: sąd w uzasadnieniu podkreślił, że polityka Szwajcarii nie była oparta na wiedzy naukowej; do tej pory prawo i nauka często chodziły osobnymi ścieżkami. Po drugie: wyrok jest poważną wyrwą w dotychczasowym *status quo*, w którym rozmyta odpowiedzialność oznacza kompletną bezkarność.

Wyrok jest prawomocny, nie nakłada żadnych kar, to raczej forma nacisku na Szwajcarię i inne państwa, by poważniej traktować politykę klimatyczną. I tak przede wszystkim należy to postanowienie rozumieć – jako historyczny precedens, być może najważniejszy w ostatniej dekadzie.

Czy Szwajcaria może to wszystko zignorować? Tak, do tego zresztą od początku nawołuje wielu polityków i przedstawicieli mediów. Czy będzie zalew podobnych spraw? Raczej nie – ETPC rozpatruje (a co dopiero mówić o uznaniu winy) najwyżej 10 procent spraw. Tego samego dnia, kiedy sędziowie skazali Szwajcarię, oddalili dwa inne pozwy o klimat – skargę portugalskich aktywistów oraz Damiena Carême, burmistrza francuskiego miasteczka zalewanego przez podnoszący się poziom wód.

Szwajcarska sprawa skończyła się inaczej, bo idealnie pasowała do sztywnej litery prawa. Każdy kolejny precedens trochę mocniej przeciera sądowe szlaki. „Zwycięstwo w szwajcarskiej sprawie jest też wygraną dla nas i sukcesem dla wszystkich” – powiedziała 19-letnia Sofia Oliveira, jedna z grupy aktywistów, których pozew przeciwko Portugalii i innym europejskim państwom został oddalony.

©© KRZYSZTOF STORY

Rosja niszczy energetykę Ukrainy

WOJNA ■ Po długich dyskusjach parlament ukraiński przyjął w końcu przepisy porządkujące zasady mobilizacji i służby wojskowej. Celem jest doprowadzenie do wzrostu liczby zmobilizowanych, co jest dziś jedną z głównych bolączek armii ukraińskiej. Na efekty przyjdzie poczekać, ale Kijów ma nadzieję, że uda się znacząco zwiększyć liczbę żołnierzy bez ogłaszania wielkiej mobilizacji (to byłoby trudne z powodów politycznych).

W tle widoczne są kolejne postępy na froncie Rosjan, którzy małymi krokami posuwają się do przodu. Byłoby to trudniejsze, gdyby nie coraz większy deficyt amunicji artyleryjskiej po stronie ukraińskiej. Kijów bardzo liczy na USA, ale w Kongresie trwa od miesięcy pat związany z blokowaniem przez Republikanów pakietu wojskowego dla Ukrainy w wysokości 61 mld dolarów. Trudno przesądzić, czy w najbliższym czasie możliwe jest znalezienie rozwiązania. A bez pomocy amerykańskiej sytuacja Ukrainy będzie się pogarszać. Co prawda wydaje się, że w najbliższym czasie do załamania frontu nie dojdzie, ale za kilka miesięcy sytuacja może być krytyczna.

Wielką troską Ukrainy w ostatnich tygodniach stały się skuteczne ataki rosyjskie na elektrownie i elektrociepłownie, co doprowadziło do utraty co najmniej jednej trzeciej generacji energetycznej i ciepłej. Rosja ewidentnie

zmieniła taktykę i skupiła się na atakach na duże obiekty zasilające miasta w energię i ciepło. Straty są bardzo poważne, a odbudowa będzie czasochłonna i nie uda się jej przeprowadzić przed zimą 2024/25.

Ponadto Rosjanie koncentrują ataki na Charkowie, drugim największym mieście kraju, próbując w ten sposób zmusić mieszkańców do ucieczki. Widać, że Kreml konsekwentnie zmierza do pozbawienia Ukraińców ducha walki, przekonując o bezsensie dalszej obrony. Codzienne ataki raketowe są niestety coraz skuteczniejsze, bo Ukrainie brakuje obrony przeciwlotniczej – mimo kolejnych prób kierowanych do Zachodu.

Ciągłe problemy z zachodnim wsparciem i pogarszająca się sytuacja międzynarodowa – w tym ostatnie irańskie ataki na Izrael i groźba dalszej destabilizacji Bliskiego Wschodu – to wprost wymarzony prezent dla Rosji. Nic dziwnego, że Moskwa nabiera pewności siebie, uznając, że zwycięstwo jest kwestią czasu. Jednak, mimo trudnej sytuacji, Ukraina nie jest skazana na porażkę. Warunkiem jest tu mobilizacja Zachodu, który – co niezmiennie zadziwia – sprawnie wciąga, jakby wciąż nie zdawał sobie sprawy ze stawki tego konfliktu.

© WOJCIECH KONOŃCZUK



ANDRII MARIENKO / AP / EAST NEWS

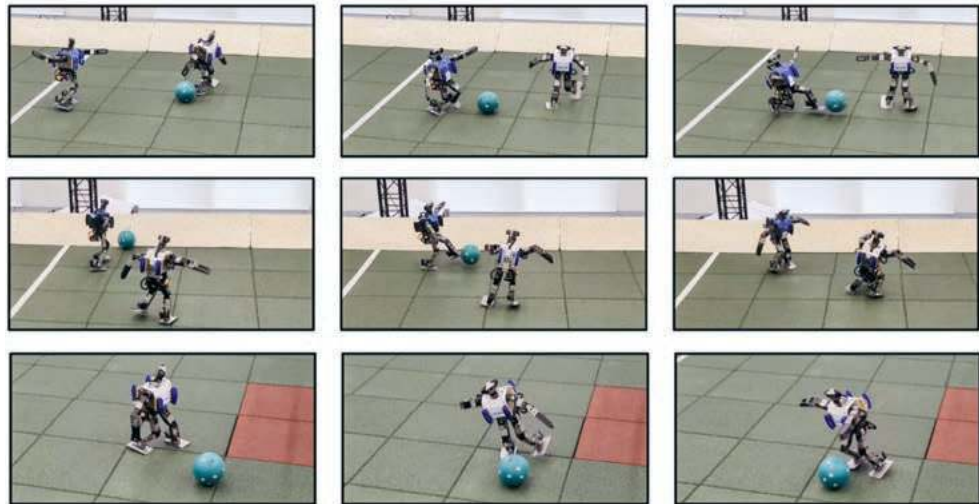
Pracownicy naprawiają elektrownię zniszczoną przez rosyjskie rakiety w pobliżu Charkowa. Ukraina, 12 kwietnia 2024 r.

Robot, który został piłkarzem

TECHNOLOGIA ■ Sztuczna inteligencja zagraża miejscom pracy... piłkarzy? DeepMind, laboratorium zaawansowanej AI należące do Google, stworzyło algorytm, który nauczył się grać w piłkę. Kontrolowane przez sztuczną inteligencję robociki strzelają, kiwają, blokują, a nawet markują zwroty, żeby zmylić przeciwnika.

Algorytm, korzystając z tzw. głębokiego uczenia się ze wzmocnieniem, sam zrozumiał, jak kontrolować roboty, i sam dąży do wyznaczonego celu – czyli do strzelania bramką i uniemożliwienia zdobywania goli przeciwnikowi. Rezultatem są zaskakująco płynne i celowe zachowania boiskowe małych robocików, które w eksperymencie rywalizowały w pojedynkach jeden na jednego.

„Roboty wykazywały nowe zachowania w postaci dynamicznych umiejętności mo-



Mecz robotów. Jednym kierowała samoucząca się AI, drugim – skrypt stworzony przez programistów.

torycznych, takich jak zdolność do wstawiania po upadkach, a także taktycznych, jak obrona piłki przed przeciwnikiem”, stwierdza współautor badania Amos Matsiko. „Agent nauczył się łączyć nabyte wcześniej umiejętności, udoskonalać je oraz przewidywać zachowanie przeciwnika”. W testach roboty chodziły o 181 proc. szybciej, obracały się o 302 proc. szybciej, a wstanie po upadku zajmowało im o 63 proc. mniej czasu w porównaniu z maszynami, którymi kierowała nie AI, ale stworzone przez programistów skrypty.

DeepMind ma już spore doświadczenie w opracowywaniu sztucznych inteligencji grających w gry. Jej AI same nauczyły się grać w gry komputerowe, osiągnęły arcymistrzowski poziom w szachach czy go. Celem nie jest, rzecz jasna, tylko zabawa. Gry stanowią doskonały poligon pozwalający w kontrolowanych warunkach tworzyć rozwiązania, które potem mogą być wykorzystywane do całkiem poważnych zastosowań. Np. stworzony przez DeepMind algorytm AlphaFold potrafi modelować złożone, trójwymiarowe kształty białek, potencjalnie przy-

spieszając prace nad nowymi lekami.

Algorytmy, które potrafią nauczyć się płynnie poruszać i planować działania na piłkarskim boisku, mogą posłużyć także do tworzenia maszyn, które będą w stanie efektywnie współdziałać z człowiekiem w zmiennych i nieprzewidywalnych sytuacjach – choćby w domu z dwójką dzieci i psem wprowadzającymi element chaosu. A kto wie, w przyszłości może nawet wyjść na boisko przeciw prawdziwym, ludzkim zawodnikom. I, na przykład, pokonać Mołdawię.

© © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Jeden z najstarszych manuskryptów na sprzedaż

HISTORIA ■ Media zelektryzowała wiadomość z londyńskiego domu aukcyjnego Christie's o wystawieniu na sprzedaż manuskryptu z III/IV wieku znanego pod nazwą kodeksu Crosby'ego-Schøyena. Najcenniejszą zawartością tego kodeksu są kompletna Księga Jonasza oraz Pierwszy List św. Piotra, ale znajdują się w nim również: wielkanocna homilia nieznanego autora, fragment Drugiej Księgi Machabejskiej oraz tekst Melitona z Sardes. Manuskrypt jest zapisany we wczesnochrześcijańskim języku koptyjskim przy pomocy greckie-

go alfabetu. Kodeks Crosby'ego-Schøyena został odkryty w 1952 r. w Egipcie wraz z grupą innych manuskryptów, które noszą nazwę Papirusów Bodmera (obecnie znajdują się one w szwajcarskiej bibliotece w Cologny).

Od 1988 r. kodeks jest częścią imponującej prywatnej kolekcji Martina Schøyena (od niego bierze się dziś zwyczajowa nazwa kodeksu), którą zapoczątkował jego ojciec Martin Olsen Schøyen. W posiadaniu norweskiego biznesmena znalazło się kilkanaście tysięcy starożytnych manuskryptów, przechowywanych w Oslo i Londynie, i uchodzi ona za największą tego typu prywatną kolekcję na świecie.

Kodeks Crosby'ego-Schøyena jest cenny nie tylko ze względu na wiek czy treść, ale i formę. Pochodzi z czasów, kiedy chrześcijańscy skrybowie zaczęli od-

chodzić od mniej praktycznego zwoju na rzecz zszytych kart papirusów, dziś zwanych właśnie kodeksem. Umożliwiło to chrześcijanom zarówno przechowywanie tekstów czterech ewangelii w jednym woluminie, jak i użycie drugiej strony papirusu do zapisu, dzięki czemu oszczędzano na materiale. Nie bez znaczenia było również to, że dużo szybciej dało się znaleźć fragment tekstu w kodeksie niż w zwoju. Nowatorskie w tamtych czasach kodeksy są najbliższymi przodkami tego, co dziś nazywamy książką. W tym świetle wystawienie na sprzedaż jednego z najstarszych kodeksów dla współczesnego posiadacza książek jest wydarzeniem wartym odnotowania.

Christie's szacuje wartość kodeksu między 2,8 a 3,6 miliona dolarów. Za ile ostatecznie zostanie kupiony, dowiemy się 11 czerwca.

© PAWEŁ RAKOWSKI SJ



LEWICA: KOMU TO POTRZEBNE

Obiektywne kryteria wykluczenia – jak klasa, miejsce urodzenia czy sytuacja majątkowa – zostały zastąpione dzisiaj na lewicy przez kryteria subiektywne, uczucia.

Demografia i brutalna wyborcza arytmetyka udowadniają, że z mniejszości nie da się uzbierać większości.

JAKUB DYMEK

DLA KOGO JEST W POLSCE LEWICA I PO co w ogóle istnieje? To pytanie, które po kiepskim wyniku reprezentujących tę formację komitetów i kandydatów w wyborach samorządowych zadaje wielu obserwatorów krajowej polityki. Nie po raz pierwszy, oczywiście. Bo zaoczny sąd nad lewicą, załamywanie rąk nad jej słabością i rytualne stwierdzenia, że „jakaś lewica jest Polsce potrzebna”, to przecież tradycja.

Lewicowy sztandar metaforycznie „wynoszono” po 1989 r. nie raz, a co najmniej kilkakrotnie. Nie brakowało też upokarzających porażek komitetów ze słowem „lewica” w nazwie. Były afery z początku XXI stulecia, żenująca kampania Magdaleny Ogórek, wypadnięcie z parlamentu na całą kadencję, w końcu pożegnanie z szyldem SLD i podporządkowanie się Donaldowi Tuskowi.

A jednak lewicowy szyld wszystko zniósł i jest stałym elementem polskiej polityki. Formacja ta nie dorasta do marzeń publicystów o „prawdziwej lewicy” czy „europejskiej socjaldemokracji”, ale też nie wymiera i nie poddaje się.

Liderzy Lewicy:

*Joanna Scheuring-Wielgus,
Anna Maria Żukowska, Magdalena Biejat,
Adrian Zandberg i Włodzimierz Czarzasty.
Warszawa, 13 października 2023 r.*

Tyle że jej problemy nie są tylko polską specyfiką – po części to także globalne zjawisko. Choć sytuacja lewicy w naszym kraju jest nie do pozazdroszczenia, to przyczyny, dla których tak jest, dotyczą czegoś szerszego niż tylko jedna nieudana kampania czy kiepska jakość politycznego przywództwa.

Polską lewicę dotyczą globalne tendencje i kulturowe trendy, które rozrywają także socjaldemokratyczne, progresywne czy centrolewicowe ruchy na całym świecie.

Nowa Lewica i koniec historii

Cofnijmy się do początków XXI w. W licznych krajach Europy rządziły wtedy silne partie socjaldemokracji. Ugrupowania (jak to się wówczas mówiło) „trzeciej drogi”, jak brytyjskie New Labour premiera Tony’ego Blaira, Demokraci Billa Clintona w USA, zmierzające ku centrum niemieckie SPD czy polskie SLD, święciły tryumfy.

Owszem, w Stanach Zjednoczonych kandydat Demokratów Al Gore przegrał w 2000 r. z republikańskim gubernatorem Teksasu George’em W. Bushem. Lecz zwycięstwo temu drugiemu przyniosła specyfika amerykańskiego systemu elektorskiego, gdyż to Gore zdobył więcej głosów. A wygraną wyrwano mu w dalece kontrowersyjny sposób, po ba-

talii o ponowne liczenie głosów na Florydzie.

Niezależnie od tamtej porażki, wydawać się mogło, że to lewica znalazła formułę na politykę przyszłości. To znaczy: pogodzenie z kapitalizmem, wiarę w merytokrację i słusność liberalnego porządku, poparte wsparciem dla mniejszości. Głównonurtowa lewica uznała, że globalny porządek jest co do zasady słuszny i wszystko będzie szło tylko w dobrym kierunku. Należy jedynie pomóc mniejszościom i ofiarom dyskryminacji, by znalazły dla siebie lepsze miejsce w nowym, wspaniałym świecie.

Im bliżej końca pierwszej dekady XXI w., tym mniej pewna wydawała się jednak diagnoza o słusności tej drogi. Nowa Lewica tak dobrze odnalazła się w kapitalistycznej rzeczywistości, że straciła zdolność, by ją krytykować. Odrzucała też coraz mocniej grupy niezadowolone ze zglobalizowanego kapitalizmu, inwazji na Irak i kolejnych „humanitarnych interwencji” czy liberalnego rozumienia wolności i praw człowieka. Oddaliła się od robotników („zbyt konserwatywni”), socjalistów i związkowców („niedzisiejsi”) oraz krytyków liberalno-kapitalistycznego porządku („zbyt radykalni”).

Nie brakowało autorów, którzy zauważyli to w porę. Amerykański publicysta Thomas Frank w „Co z tym Kansas?” ➔

→ (2004, wyd. polskie 2007) notował, że teraz to prawica mówi językiem ludu, trafiając do serc i umysłów klasy robotniczej – lewica zaś do elit. Problemy lewicy i demokratów – ekologia, zdrowa żywność i spory o poprawność polityczną – nie zajmują ludzi, którzy mają całkiem realne, materialne zmartwienia.

Kilka lat później wybitna socjolożka Arlie Russell Hochschild pojechała do Luizjany, by przekonać się, że amerykańscy biedni biali („Obcy we własnym kraju” 2016, wyd. polskie 2017) woła głośno o milionerów z Partii Republikańskiej, panicznie bojąc się redystrybucji oraz wszelkiego „rozdawnictwa”, nawet jeśli sami z niego korzystają. Wkrótce po książce Hochschild filozof Mark Lilla zauważył, że partie odwołujące się tylko do mniejszości alienują większość, co opisał w „Końcu liberalizmu, jaki znamy” (2017, wyd. polskie 2018).

Kolejni autorzy po obu stronach Atlantyki odkrywali więc tę samą prawidłowość. Gdy doszło do sukcesu Trumpa, brexitu i triumfów tzw. „populistycznej” prawicy – przekonanie o tym, że lewica i demokraci stracili lud, stało się już powszechne i oczywiste.

Gdzie ten lud?

Jak to się ma do dzisiejszej sytuacji lewicy w naszym kraju? Dość jednoznacznie. Polskie siły lewicowe ulegały światowemu procesom, tylko – jak to na periferiach – z jeszcze większą intensywnością. W 2015 r. lewica (podzielona na dwa komitety) wypadła z Sejmu. Prowadziła jednak w innej dziedzinie: w badaniach CBOS była partią wyborców, którzy najlepiej oceniali swoją pozycję materialną (72 proc. wyborców lewicy), o najwyższym po Nowoczesnej udziale osób z wyższym wykształceniem w elektoracie (50 proc.) i najmniejszym udziale robotników (2 proc.). Gdy lewica do Sejmu wróciła, to w koalicji z odzegnującą się od lewicowego gospodarczo-społecznego programu Wiosną oraz Partią Razem. Spoiwem była chęć odsunięcia PiS-u od władzy i szczerza niechęć do prawicowego klerykalizmu i konserwatyzmu.

Ale im dłużej socjalno-etatystyczny PiS był u władzy, tym bardziej wyborcy lewicy gardzili wszystkim, co państwowe. Regularnie pojawiały się w tym czasie badania, które dowodziły, że w kwestiach liberalizmu gospodarczego, niechęci do

Lewica oddaliła się
od robotników
(„zbyt konserwatywni”),
socjalistów i związkowców
(„niedzisiejsi”) oraz krytyków
liberalno-kapitalistycznego
porządku („zbyt radykalni”).

powszechnych świadczeń społecznych czy stosunku do własności publicznej wyborca lewicy mieści się gdzieś na skali między Koalicją Obywatelską i Konfederacją. Pytany o program 500+, był mu bardzo niechętny. Równie często jak sympatyk Konfederacji deklarował, że należy go ograniczyć tylko do wsparcia dla najuboższych (CBOS, 2020) albo zabrać w czasach pandemii (IPSOS dla Oko.press, 2020).

Wyborcy deklarujący w sondażach poglądy lewicowe faktycznie wyznawali bardzo liberalny światopogląd. Trudno się dziwić, że socjolog i poseł lewicy Maciej Gdula przekonywał wiosną 2021 r. na łamach kwartalnika „Zdanie”, że „miejsce Lewicy na scenie politycznej wyznacza dziś pryncypialne stanowisko w kwestii wolności do przerywania ciąży, równego traktowania księży przez organy ścigania oraz praw osób LGBT+”. I dodawał, że nie można zawieść tych, którzy liczą przede wszystkim na rozliczenie nadużyć PiS-owskiej władzy. W tych okolicznościach zwrot w stronę bardziej wspólnotowego, egalitarnego i skupionego na redystrybucji lewicowego programu był jeszcze trudniejszy.

A lewica i tak nie była partią klasy ludowej, lecz profesjonalistów. A konkretnie: trzech wcieleń etosu merytokracji i edukacyjnego awansu. SLD odwoływało się do pamiętającej PRL „inteligencji technicznej”, wykształconych pracowników (a raczej już emerytów) z mniejszych i większych ośrodków, którzy byli beneficjentami awansu edukacyjnego w Polsce ludowej i gardzili PiS-owskim „ludomąństwem” i „rządami ciemniaków”. Wiosna zwracała się do beneficjentów III RP – menedżerów, przedsiębiorców czy lepiej sytuowanych pracowników sektora

kreatywnego. Jej program był ogólnie postępowy, ale w żaden sposób nie zagrażający dorobkowi i symbolicznej pozycji zamężnej klasy średniej. Słowem: ma być zielono, tolerancyjnie i „po europejsku”, ale bez „radykalizmów”.

Partia Razem zaś gromadziła najmłodsze pokolenie edukacyjnych elit: doktorantów i doktorantki, pracowników nauki i wielkich korporacji, którzy odnaleźli serce po lewej stronie; generację specjalistów w swoich dziedzinach wychowaną już na programach Erasmus i zagranicznych stypendiach.

Wszystkie te grupy deklaratywnie czują sympatię i solidarność z robotnikiem czy panią z załady. W rzeczywistości wrażliwość i kody kulturowe tworzą między nimi nieprzekraczalny mur. Ale to nie jest tylko – jak powiedzieliśmy – polski problem. Podział według linii edukacji dzieli społeczeństwa Zachodu bardziej czytelnie niż nawet klasa czy rasa i objawia się we wszystkim, od stosunku do „politycznej poprawności” i pandemii Covid po preferencje wyborcze.

Ale obok tego podziału jest jeszcze jeden, nie mniej istotny.

Panie na lewo

Lewica w Polsce całkiem świadomie wybrała tożsamość „partii kobiet”. Do kobiet adresowane są kolejne kongresy i programy partii oraz slogany promocyjne w rodzaju „kobiety do polityki” i „kobiety na wybory”. Choć wszystkim ugrupowaniom tworzącym lewicowy klub w Sejmie przewodzą mężczyźni – Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń i Adrian Zandberg – to wizerunek lewicy jest sfeminizowany do granic. Na wyborczych grafikach publikowanych przez Partię Razem widnieją wizerunki samych liderów ugrupowania, a posłanki lewicy regularnie przypominają, że należy skończyć z „dziadoceniem” i „czasem starszych panów” w polityce.

Zarówno Włodzimierz Czarzasty, jak i Robert Biedroń wielokrotnie mówili, że „Lewica jest kobietą”. W programie KW Lewica w 2023 roku słowo „kobieta” pada ośmiokrotnie, „dzieci” czterem, „młodzi” pięciokrotnie, „mężczyźni” zaś ani razu – z wyjątkiem dziedziczenia alimentów po mężu. Mężczyźni pojawiają się w wiecowych przemówieniach lewicy w innej roli: „januszy biznesu”, zacofanych księży, domowych



KARINA KRYSIOŚ / REPORTER

Posłanki Lewicy Katarzyna Kotula, Wanda Nowicka, Joanna Scheuring-Wielgus wraz z parlamentarzystkami i parlamentarzystami z całej Europy pokazują polskiemu rządowi czerwoną kartkę w rocznicę wydania wyroku na kobiety. Warszawa, 22 października 2021 r.

sadystów i gwałcicieli. „90 proc. sprawców przemocy to mężczyźni. Przemoc ma płęć. Płęć ma znaczenie, kiedy mówimy o przemocy w rodzinie” – przekonywała z sejmowej mównicy posłanka Magdalena Biejat. Wtórowała jej Anna Górska z zarządu krajowego Partii Razem, domagająca się „domniemania winy” mężczyzn. Przykłady podobnych wypowiedzi – kosztem cierpliwości czytelników – można ciągnąć długo.

Politycy lewicy wybrali tę drogę nieprzypadkowo. Wprowadziły ich na nią ukazujące się regularnie od czasu Strajków Kobiet sondaże, które pokazywały wielkie poparcie dla lewicy wśród najmłodszych wyborców, a kobiet w szczególności. CBOS w 2020 r. wskazywał, że poglądy lewicowe deklaruje 40 proc. młodych kobiet, a po raz pierwszy po 1989 r. lewicowość jest najczęściej wybieraną postawą w przedziale 18-24 lata. Analogiczny rezultat przyniosły o rok później badania „Pęknięte pokolenie rewolucjonistów”, zrealizowane na zlecenie Fundacji Friedricha Eberta i Centrum Daszyńskiego. Poglądy lewicowe deklarowało w nich 37 proc. badanych młodych kobiet (i 17 proc. młodych mężczyzn).

Podobnie wysokie odsetki poparcia w tej grupie wiekowej sugerowały także publikowane w mediach sondaże przedwyborcze. Politycy i polityczki potraktowali je jako drogowskaz i bojowe zawoła-

nie. „Skoro popierają nas młode kobiety, to właśnie do nich musimy zwrócić swój przekaz” – zakładali.

Cała ta logika mogła jednak łatwo rozbić się o realną przeszkodę: demografię. W 2023 r. w Polsce 20-latków jest o połowę mniej niż 40-latków. Nawet 75-latków jest dziś więcej (niecałe 360 tys. osób) niż 20-latków (o 10 tys. mniej).

W programie KW Lewica w 2023 roku słowo „kobieta” pada ośmiokrotnie, „dzieci” czternastokrotnie, „młodzi” pięciokrotnie, „mężczyźni” zaś ani razu – z wyjątkiem dziedziczenia alimentów po mężu.

Lewica postanowiła zatem oprzeć swoją strategię na rocznikach niżu demograficznego i najmniej licznej, najbardziej kapryśnej wyborczo i niepewnej pod względem frekwencji grupie. To wyjątkowo odważny pomysł, bo szeroko pojęta kategoria młodych wyborców, od 18. do 29. roku życia, to zaledwie 11-12 proc. obywateli.

Biorąc poprawkę na to, że lewica postanowiła z tego grona przekonywać tylko kobiety, czyli połowę – wychodzi nam z tego partia na kilka procent. Taka, jak wynik w wyborach samorządowych. Wielka premia frekwencyjna w wyborach październikowych – gdy rzeczywiście młodzi zagłosowali licznie – pomogła lewicy przekroczyć Konfederację. Gdy się skończyła, rezultat był odwrotny.

Wojny kultur i uśmiechnięta Polska

Jednak także przepaść między poglądami młodych kobiet głosujących na lewicę a popierającymi ugrupowania (dalekiej) prawicy mężczyznami nie jest polską specjalnością. Badaczka Alice Evans z King's College London od lat pisze o „wielkim globalnym rozjeździe płci”, wskazując, że w większości krajów Zachodu drogi kobiet i mężczyzn mocno się rozeszły. Nie tylko w USA czy Wielkiej Brytanii, ale w krajach rozwiniętych, od Korei po Portugalie.

Jak liczył „The Economist”, rozjazd na osi poglądów między młodymi kobietami i mężczyznami w Polsce przebiega 50 punktów procentowych i należy obok Korei do najwyższych w świecie. Swoje do tego dokładają wojny kulturowe i podziały wokół coraz bardziej tożsamościowych kwestii – orientacji seksualnej, stylu życia, wyborów konsumenckich, diety, stosunku

→ do zmian klimatu, prostytucji czy zaimków i feminatywów.

Wielkie klasy społeczne rozdrobniły się na mniejsze, a rola wielkich struktur społecznych, z Kościołem włącznie, spada. Trudno sformułować wielką i spójną narrację dla lewicy, która musi godzić sprzeczne odruchy i postawy. Z jednej strony proponować program gospodarczy, który odwołuje się do solidarności, egalitaryzmu i powszechnej równości. Z drugiej formułować postulaty społeczno-obyczajowe, które opierają się na uznaniu wszystkich indywidualnych żądań i potrzeb jako równoprawnych – bo nie można nikogo wykluczać. Co prowadzi do tego, że w nowej aksjologii lewicy nowymi wykluczonymi może być zamożny adwokat (bo jest gejem) albo dyrektorka w banku (bo natknęła się na szklany sufit). Dla odmiany taksówkarz czy bezrobotny młody chłopak należy do „klasy uprzywilejowanej”, bo jest białym, heteroseksualnym mężczyzną.

Czy lewica w związku z tym nadal może utrzymywać, że reprezentuje wykluczonych? Oczywiście, bo obiektywne kryteria wykluczenia – jak klasa, miejsce urodzenia czy sytuacja majątkowa – zostały zastąpione przez kryteria subiektywne, uczucia.

Ten rozjazd najbardziej zwięźle wyjaśnił w polskim kontekście prof. Rafał Chwedoruk. „Nie jest łatwo w dobie kapitalizmu reprezentować sprzeczne interesy. Nie można być z dogorywającą

Lewica postanowiła oprzeć swoją strategię na rocznikach nizu demograficznego. To wyjątkowo odważny pomysł, bo szeroko pojęta kategoria młodych wyborców to niewiele ponad 10 proc. obywateli.

klasą robotniczą, słabo opłacanymi młodymi pracownikami usług i równolegle z wielkomięską klasą średnią, która jest zafiksowana na punkcie ekologii i postulatów LGBT. (...) Pytanie, czy miejsce lewicy jest wśród emerytów w Częstochowie, czy na paradach ze zneurotyzowaną awangardą klasy średniej” – mówił w 2020 r. Piotrowi Witwickiemu na stronach „Rzeczpospolitej”.

Lewicy pozostaje więc zbierać mniejszości i uprawiać akrobatykę zwaną „polityką tożsamości”. Gdy skupi się na prawach kobiet, wzburzą się mężczyźni. Lecz gdy dowartościuje mężczyzn, pogniewa się tęczowa młodzież i feministyczny aktyw. Gdy pójdzie w Paradzie Równości ręką w rękę z korporacjami pod tęczowym sztandarem, obrażą się ci, którzy chcą nieprzejednanej antykapitalistycznej

postawy. Gdyby zaś nie poszła, obraziłaby się oczywiście strona przeciwna. I tak dalej.

Co więc tłumaczy tak złe wyniki? Demografia i brutalna wyborcza arytmetyka – z tych mniejszości nie da się w Polsce uzbierać większości. Szczególnie w sytuacji, w której lewicę i tak można ograbić z dwóch stron. Konserwatyści czy „populistyczna” prawica mogą sięgnąć po program transferów społecznych, język egalitaryzmu i gospodarczy protekcjonizm. Liberalowie po emancypacyjny język, prawa jednostki i społeczno-obyczajowy sztandar awangardy. Trwając w koalicji z jednymi lub drugimi lewica w Polsce może albo z niej wyjść i obronić swoją autonomię, albo zostać i dać sobie złamać kręgosłup.

Tyle tylko, że na tle tych wszystkich zarzutów trzeba odnotować jeszcze jedno. Polska lewica jest taka jak jej wyborcy – ani lepsza, ani gorsza. A tych łączy przede wszystkim wrogość wobec PiS-u i podwójny (społeczny i gospodarczy) liberalizm, dystans do Kościoła oraz poparcie dla aborcji. Dalej: należą do elit edukacyjnych i wierzą w merytokrację (a najlepiej: rządy wykształconych, dobrze ubranych i uśmiechniętych polityków). Wyborcy lewicy deklarują w badaniach, że chcą współpracy, odsunięcia od władzy prawicy i tego, żeby „jakaś lewica w Sejmie była”. Skoro więc osiągnęli to już w październiku, utracili powody do głosowania na swoich wybrańców. © JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui, Michał Okoński,
 Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
 Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
 Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
 Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieć, Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
 Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
 Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski,
 Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
 Olga Drenda, Eliza Kačka, Stanisław Manciewicz,
 Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
 Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
 Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
 Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
 ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
 Eliza Kačka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
 Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
 Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
 Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
 Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
 Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski,
 Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
 kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
 Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
 Marcelina Sumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
 GRUPA TOŻA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Twoja pierwsza prenumerata

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy!**
23 kwietnia 2024 roku kończy się promocja prenumeraty „Tygodnika Powszechnego” dla nowych Prenumeratorek i Prenumeratorów.
Szczegóły – w tabelce poniżej.

Zachęcamy Was do prenumeraty, ponieważ to dzięki Wam, naszym Czytelniczkom i Czytelnikom, jesteśmy suwerenni. Przetrawianie pisma zależy od Was, a nie od władzy politycznej czy zawirowań w światowej gospodarce. Prenumerując „Tygodnik Powszechny”, macie pewność,

że znacząco przyczyniacie się do tego, że nasze publikacje są niezależne, autorzy mają swobodę pisania i robią to tak, jak lubią, czyli obiektywnie, z szacunkiem dla faktów, podejmując sprawy najważniejsze. Stając się naszymi prenumeratorem, współuczestniczycie w naszej misji, a brzmi ona tak: „Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat.

Zachęcamy do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Poszerzamy horyzonty myślenia i wolności. Traktujemy prawdę jako wartość nadrzędną. Szanujemy innych i nie zamykamy się na dialog. Wierzymy, że świat da się naprawić”.



Tak ją jeszcze zamówisz:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ

CENA

Z WYSYŁKĄ
EKONOMICZNĄ

Z WYSYŁKĄ
PRIORYTETOWĄ

■ Kwartał – 13 wydań plus jedno Wydania Specjalne gratis!	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania 60 wydań, czyli 2 miesiące gratis!	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania 60 wydań, czyli 2 miesiące gratis w ofercie POKOLENIA*	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

MAŁGORZATA

Kordowicz: Ósma struna



Z PEWNĄ DOZĄ ROZRZEWNIEŃ WPATRUJĘ się w pożółkłe białe klawisze kaliskiego fibigera. Pięć całych tonów i dwa półtony – razem heptatonia. Siódmka stanowi całość: ósme „do” jest jak pierwsze „do”, tylko oktawę wyżej. Tydzień ma siedem

dni, tęcza – siedem kolorów. W Biblii też niejednokrotnie natykamy się na siódmki: w szabat Najwyższy odpoczywa po dziele stworzenia, menora w Świątyni ma siedem ramion, Pesach i Święto Szalasów trwają siedem dni. Siedem tygodni dzieli Pesach i Szawuot czy Wielkanoc i Zielone Świątki. Siódmka reprezentuje świat przyrody.

„I wystawią Mi świątynię, abym zamieszkał w pośród nich” (Wj 25, 8; Cyllkow) – rzecze Najwyższy. Bóg ma mieć swój Dom w fizycznym świecie? Kiedy Przybytek i jego sprzęty są gotowe, Mojżesz przez siedem dni przygotowuje brata i jego synów do pełnienia funkcji kapłańskich. Po czym w Przybytku „stało się dnia ósmego... ukazał się Majestat Wiekuistego całemu ludowi: I wyszedł ogień z przed Wiekuistego i pochłoniął na ofiarnicy całopalenie i łoje; i widział to lud cały i wydali okrzyk i padli na oblicze swoje” (Kpł 9, 1. 23-24). Ósmy dzień to nie przypadek – ósemka oznacza wyjście poza naturę, świat duchowy stojący ponad przyrodą, leżąca symbolizuje nieskończoność.

Midrasz pyta, ile strun zawierały liry, na których grali lewici w Świątyni Jerozolimskiej. Rabin Juda odpowiada, że siedem, wywodząc to z wersu: „Wskazesz mi drogę życia, pełnia [hebr. *sowa*] radości jest przed obliczem Twojem, rozkosz u prawicy Twojej wiecznie” (Ps 16, 11). Sugeruje on, by zamiast *sowa* czytać *szewa* [hebr. siedem], co jest w pełni uprawnione, gdy słowo to nie jest zwokalizowane. Również król Dawid mówi: „Siedmkroć [hebr. *szewa*, czyli siedem] dziennie sławię Cię, dla praw Twoich sprawiedliwych” (Ps 119, 164).

W epoce mesjańskiej lira zyska dodatkową strunę, o czym informuje nas twórca w didaskaliach do Ps 6: „Przewodnikowi chóru, przy towarzyszeniu instrumentów smyczkowych, na ośm głosów [hebr. *alha-szeminit*, dosł. na ósemkę; nie jest sprecyzowane, czego bądź kogo ma być osiem, przez analogię do innych określeń chordofonów uprawnione jest zinterpretowanie *szeminit* jako ośmiostrunowej liry]. Psalm Dawida” (wers 1.). Natomiast w przyszłym świecie ten instrument wzbogaci się o kolejne dwie struny, albowiem jest powiedziane: „Panie, pieśń nową zaśpiewam Ci, na lutni dziesięciostrunnej zanuć Ci” (Ps 144, 9). Przywodzi mi to na myśl dziesięciowymiarową – jak dziesięć Bożych emanacji w Kabale – czasoprzestrzeń z teorii superstrun. Może być ona dwudziestosześciowymiarowa – jak wartość numeryczna czteroliterowego, wymawianego tylko raz w roku w Świątyni przez arcykapłana, Imienia Bożego. Przypadek? ©

O. WACŁAW

Oszajca: Pasterz w gumofilcach



NA ŚWIĘTYCH OBRAZKACH WYGLĄDA TO przepięknie. Jezus w bielusińskiej tunice, za Jego plecami zieloniutka łączka i stadko bielusińskich owieczek, świeżo wykpanych i utrefionych. Jedną z nich Jezus niesie na barkach i prawie że daje się

słyszeć szemranie potoku i śpiew słowika. Papież Franciszek, nawiązując do tego obrazka, przestrzegał duszpasterzy, żeby przestali zajmować się wyłącznie pięknotkami i zajęli się przede wszystkim tymi brudniejszymi i niesfornymi.

W świetle tej przestrogi jakże inaczej wygląda przypowieść Jezusa o dobrym pasterzu. Odnosi się ona przede wszystkim do pasterzy, a nie do owiec; do kleru, a nie do laikatu. Spróbujmy wyjść poza agrarne skojarzenia i za Pawłem Apostołem mówić o Kościele jako o ciele Jezusa, Jego organizmie i dzisiejszym sposobie Jego istnienia. Przecież 99,9 proc. obecnych na mszy, jeśli miało do czynienia z kierdem owiec, to na zdjęciach, a jeśli na pastwisku, to z daleka. A wiadomo przecież, że aby coś o owcach sensownego powiedzieć, trzeba najpierw je powąchać, ale wtedy czar słodkiego Jezusa pasterza i anielskich dusz prysnie jak tęczowa bańka mydlana. Ale to prawda wyzwala, a nie złudzenia.

Jeśli chciałoby się namalować dzisiejszego Jezusa, zapewne za model bardziej niż tyrolski pastuszek z szopki betlejemskiej pasowałby baca albo juhas, ale nie w niedzielno-odпустowej cusze, białych portkach z kolorowymi parzenicami, z pasem sięgającym pod same pachy, tylko w codziennych, pastwiskowych, obłożonych gumofilcach, znoszonym skafandrze zalatującym wonią owiec i dymem, w sportowym kaszkiecie nabytym na targowicy pod Gubąłówką. A co się tyczy zagubionej i odnalezionej owcy, to nie próbujmy jej zazdrościć. Jeśli nadal zacznie znikać z koszar, z obawy przed tym, żeby nie zdemoralizowała pozostałych owiec, wyląduje w kotle i ubogaci kwaśnicę.

Jan Apostoł mówi: „Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi: i rzeczywiście nimi jesteśmy. Świat zaś dlatego nas nie zna, że nie poznał Jego. Umiłowani, obecnie jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzemy Go takim, jakim jest”. Kłopot jednak w tym, że najwidoczniej coraz mniej ludzi (nie tylko Europejczyków) widzi w nas owe dzieci Boże, skoro Kościół, Boży koszar, się wyludnia i słyszymy: „Jezus tak, Kościół nie”. Wielu odchodzących twierdzi też, że odrzucając Kościół, nie odrzucają Boga. Socjologowie dopowiadają, że procentowo rzecz biorąc, po pandemii do Kościoła nie wrócili ci, którzy przed epidemią deklarowali się jako głęboko wierzący. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Świadectwo, Słowo, Duch

*Myśli rozbijają się
nawzajem.
Dobre myśli rozbijają
złe i są z kolei rozbijane
przez tamte.*

EWAGRIUSZ Z PONTU



*Łatwo jest mieć
spokój w niedziałaniu,
trudno jest mieć spokój
w działaniu,
ale spokój w działaniu
jest prawdziwym
spokojem.*

SHUNRYU SUZUKI



Wybrał PIOTR SIKORA



JEZUS MÓWI W EWANGELII niedawno czytanej: „Kto z nieba przychodzi, Ten jest ponad wszystkim. Świadczy o tym, co widział i słyszał, a świadectwa Jego nikt nie przyjmuje. Kto przyjął Jego świadectwo, wyraźnie potwierdził, że Bóg jest prawdziwy. Ten bowiem, kogo Bóg posłał, mówi słowa Boże, [dosł.] ponieważ bez miary udziela Ducha” (zob. J 3, 31-36).

W pierwszej chwili nie do końca wiadomo, jak „otworzyć” to słowo. Wydaje się bardzo abstrakcyjne, wypowiedziane gdzieś „ponad głowami”, bez konkretnego związku z naszym życiem. Dłuższe zatrzymanie się przy nim pozwala jednak odkryć bardzo konkretny model działania Jezusa – model, który zadany jest również nam w dziele ewangelizacji.

W jaki sposób Jezus głosi Ewangelię? Odpowiedź (w świetle przytoczonego dopiero co tekstu) brzmi: 1) dając świadectwo; 2) głosząc Słowo; 3) udzielając Ducha. Otwarcie procesu jest świadectwo. Świadectwo nie jest słowem głoszonym, tylko ukazaniem własną osobą i życiem. Jak powiedział Benedykt XVI, „Torą Mesjasza jest sam Mesjasz”. Nie musimy Go słuchać; wystarczy na Niego popatrzeć, by poznać prawdę o Bogu i o człowieku w relacji z Bogiem.

Świadectwo jest otwarciem procesu, gdyż świadectwo rodzi pytania – a skoro one padną, otwiera się przestrzeń do przepowiadania Słowa. Słowo jest odpowie-

dzią na wzbudzone świadectwem pytanie. Wtedy trafia, dotyka bowiem człowieka rozbudzonego, otwartego, zainteresowanego. Wtedy też ma szansę okazać się przekonujące. Nie dlatego, że jest szczególnie mądre czy atrakcyjne, ale dlatego, że towarzyszy mu wylanie Ducha, i to bez ograniczeń. Duch daje zawsze całego siebie. A jest związany z przepowiadaniem Słowa, nie tylko z udzielaniem sakramentów. Wystarczy popatrzeć do 10. rozdziału Dziejów Apostolskich: kiedy Piotr w Cezarei zaledwie zaczął ogłaszać kerygmat Korneliuszowi i jego domownikom, natychmiast „Duch Święty zstąpił na wszystkich, którzy słuchali nauki”, ku totalnemu zdumieniu wszystkich, „którzy przybyli z Piotrem”.

Wyczytujemy z tego tekstu: 1) dyscyplinę i 2) obietnicę. Dyscyplinę: Słowo głoszone potrzebuje poprzedzającego je świadectwa. Nie wystarczy „kazanie”; potrzebne jest również „u-kazanie”. Konieczne są i świadectwo, i przepowiadanie. Jedno bez drugiego nie wystarczy. Obietnica natomiast dotyczy daru Ducha. To dzięki Jego działaniu głoszone Słowa są „Boże” – On je wypowiada (w czasie terazniejszym, nie tylko przeszłym, skoro np. zostały zapisane w Biblii). On też na nie otwiera – działa równocześnie w przepowiadającym i w słuchaczu.

Bóg posyła nas nie tylko ze Słowem, ale i ze świadectwem (wymaganie) oraz z Duchem (obietnica). Wtedy i tylko wtedy ten, do którego się zwracamy w procesie ewangelizacji, otrzymuje nie jedynie wiedzę, lecz „życie wieczne”. ©

CYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 IV)

4. niedziela wielkanocna: Dz 4, 8-12; Ps 118; 1 J 3, 1-2; J 10, 11-18;
Poniedziałek: Dz 11, 1-18; Ps 42; J 10, 1-10;
Wtorek, uroczystość św. Wojciecha: Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
Środa: Dz 12, 24 – 13, 5a; Ps 67; J 12, 44-50;
Czwartek: 1 P 5, 5b-14; Ps 89; Mk 16, 15-20;
Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;
Sobota: Dz 13, 44-52; Ps 98; J 14, 7-14;
5. niedziela wielkanocna: Dz 9, 26-31; Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8.

PRAWDY LOKALNE

Po wyborach samorządowych każdy ma swoją narrację. Nikt się specjalnie nie przejmuje, że stoją ze sobą w sprzeczności i nie układają się w spójny obraz tego, kto naprawdę zwyciężył.

PIOTR ŚMIŁOWICZ



PRZYPOMINA SIĘ KSIĄDZ JÓZEF TISCHNER i jego słynne trzy prawdy. Można na przykład napisać, że wybory wygrał PiS, skoro uzyskał sumarycznie największe poparcie w sejmikach, czyli na tym szczeblu samorządu, w którym wyniki są najbardziej adekwatne dla porównań z wyborami parlamentarnymi. Poparcie 34 proc. głosujących sprawiło, że partia – uznawana za pogrążoną od pół roku w kryzysie – zachowała po wyborach władzę nawet w pięciu sejmikach: lubelskim, podkarpackim, małopolskim, świętokrzyskim, a być może też w podlaskim. Straci ją na pewno tylko w woj. łódzkim, choć i tam PiS zdobył najwyższe poparcie.

To sukces, gdyż partia, mimo odsunięcia od wpływu na publiczne media,

obroniła się przed naturalnym po utracie władzy odpływem elektoratu, a głosy kwestionujące przywództwo Jarosława Kaczyńskiego umilkły. Stało się tak, pomimo że jeszcze dwa miesiące przed lokalnymi wyborami niektóre sondaże dawały PiS-owi szanse na zwycięstwo jedynie na Podkarpaciu.

Analizujący od lat szczegółowo wyniki polskich wyborów dr hab. Jarosław Flis z Uniwersytetu Jagiellońskiego ma w tej kwestii interesującą tezę, wedle której PiS-owi wręcz pomogło to, że zabrano mu telewizję. Jej przekaz był męczący dla wyborców nie angażujących się na co dzień w politykę i od dawna wcale nie zwiększał poparcia dla PiS. – Wyborcy KO nie byli już drażnieni komentarzami w rodzaju „für Deutschland”, co wcześniej ich mobilizowało. PiS zaś przekonał się, że bez „für Deutschland” nie dostaje się wcale gorszego wyniku, a elektorat nie musi być karmiony takim przekazem – komentuje socjolog.

Kłęska malkontentów

Nie można jednocześnie zarzucić nieprawdy komuś, kto stwierdzi, iż lokalne wybory były sukcesem ugrupowań tworzących „koalicję 15 października”. W latach 2018-24 PiS rządził w sześciu, a okresowo nawet w ośmiu sejmikach, tymczasem teraz sojusz skupiony wokół Donalda Tuska będzie bez żadnych zagrożeń sprawować władzę w jedenastu. To premia za zdolność do porozumienia między czterema ugrupowaniami, mimo istotnych różnic programowych, co jest dziś poza zasięgiem Kaczyńskiego.

Prawdą jest też, że wybory prezydentów miast okazały się zdecydowanym zwycięstwem Koalicji Obywatelskiej w jej odwiecznym starciu z PiS. Tu partia Kaczyńskiego jeszcze pogorszyła i tak słabą sytuację z ostatniej kadencji, gdy miała prezydentów tylko w kilku niedużych ośrodkach, takich jak Chełm czy Stalowa Wola. Teraz ma co prawda szansę powalczyć w drugiej turze w Poznaniu, Rzeszowie czy Rybniku, ale w innych wielkich miastach, takich jak Kraków czy Wrocław, kandydaci PiS w przeci-

wieństwie do 2018 r. nie dostali się nawet do drugiej tury. A w Warszawie i Gdańsku zostali przez pretendentów z KO wprost zdeklasowani.

Według Jarosława Flisa w wyniku wyborów w dużych miastach PiS stracił pozycję „etatowego malkontenta”, który wcześniej umiał zaznaczyć swoją siłę kandydatami wchodzącymi do drugiej tury, nawet jeśli był za słaby, żeby gdziekolwiek wygrać. – Tam, gdzie kandydat PiS ma w drugiej turze rywala w postaci obecnego prezydenta, jak w Rzeszowie czy Poznaniu, nie ma szans na wygraną. Tymczasem tam, gdzie rywalem aktualnego prezydenta jest ktoś z innego niż PiS ugrupowania, jak we Wrocławiu, wynik jest sprawą otwartą – przyznaje Flis.

Inna droga Wrocławia?

W kolejce do ogłaszania sukcesów po 7 kwietnia stoi też Trzecia Droga. Może ona akcentować choćby dobry wynik Izabeli Bodnar w wyborach na prezydenta Wrocławia. W drugiej turze zmierzy się ona z dotychczasowym włodarzem miasta Jackiem Sutrykiem, który do niedawna wydawał się murowanym kandydatem do zwycięstwa w cuglach.

Kiepski humor prezydentów, którzy od dawna mieli niekwestionowaną pozycję w swych miastach, to też cecha klimatu po wyborach samorządowych. Były miejsca, gdzie wyborcy po wielu latach nagle odwrócili się od dotychczasowego lidera. Najbardziej ewidentnym przykładem jest Gdynia, gdzie wieloletni prezydent Wojciech Szczurek nawet nie wszedł do drugiej tury. Podobnie wygląda sytuacja w Jaworznie, gdzie nazwisko rządzącego od 2002 r. prezydenta Pawła Silberta będzie na kartach do głosowania 21 kwietnia, ale w rywalizacji z kandydatem KO ma on małe szanse. W Krakowie nominat rezygnujący z dalszej walki o miasto Jacka Majchrowskiego (rządził 22 lata) uzyskał ledwie 7 proc. W Toruniu Michał Zaleski, roznoszący przez ponad dwie dekady swych rywali, przegrał z kandydatem KO i ma marne szanse w drugiej turze.

Inny los spotkał Rafała Trzaskowskiego, który zdecydowanie wygrał w stolicy i chyba tym samym rozwiął wątpliwości co do jego nominacji jako kandydata KO na prezydenta Polski (zrazem dewastując szanse Tobiasza Bocheńskiego na nominację z ramienia PiS). ➔



MARTYNA NIECKO / AGENCIA WYBORCZA.PL

Aleksandra Dulciewicz w wyborach na prezydenta Gdańska zdeklasowała Tomasza Rakowskiego, kandydata PiS, który zdobył 20 proc. głosów. Gdańsk, 7 kwietnia 2024 r.

→ Co ciekawe, podczas wieczoru wyborczego Trzaskowski dziękował liderom Trzeciej Drogi – ta bowiem zdecydowała się nie wystawiać w Warszawie kandydata na prezydenta, pomagając w ten sposób odnieść spektakularne zwycięstwo faworytowi z KO.

Z badań Jarosława Flisa wynika, że prawda o wyniku wyborczym trzeciej siły politycznej w Polsce jest złożona. W porównaniu bowiem do lokalnej elekcji z 2018 r., gdy PSL startował samodzielnie, a Szymon Hołownia był jeszcze poza polityką, wynik w mniejszych gminach, czyli w tradycyjnym elektoracie PSL, okazał się gorszy. Ten elektorat wiejski jest, zdaniem Flisa, utracony na rzecz PiS na lata.

Zarazem jednak Trzecia Droga ma lepszy wynik w małych miastach i powiatach niż w 2018 r. W ramach tego sojuszu na różnych szczeblach znacznie lepiej wypadli tam kandydaci PSL, a nie Polski 2050 (inaczej niż jesienią). Sukces w sejmiku świętokrzyskim, gdzie Trzecia Droga uzyskała drugi wynik, ustępując jedynie PiS, to zasługa głównie ludowców.

Sukces na siłę

Najmniej powodów do chwalenia się sukcesem w tych wyborach samorządowych ma lewica, ale i to ugrupowanie próbuje na siłę tworzyć narrację sukcesu, wskazując na wynik Magdaleny Biejat w Warszawie (prawie 13 proc.). Trochę to radość przez łzy, bo kandydatka odpadła z wyścigu, ale ten rezultat może pomóc jej w uzyskaniu nominacji prezydenckiej ugrupowań lewicy i przełamaniu męskiej dominacji w środowisku.

Jednocześnie lewica poniosła największe straty w stosunku do wyborów z 15 października. Zamiast 8,6 proc. otrzymała w sejmikach poparcie rządu 6,3 proc. Włodzimierz Czarzasty przyznał już, że ten wynik nie jest rewelacyjny, a jako przyczynę wskazał brak wspólnego startu KO i lewicy (za co nie miał wielkich pretensji do Donalda Tuska, ale raczej do siebie i do Razem). Prze-

Skalę kryzysu lewicy najlepiej odzwierciedla „sukces”, jakim się ona chwali, czyli wynik Magdaleny Biejat w Warszawie.

Było to niecałe 13 proc. głosów.

konywał, że gdyby ustalono wspólną listę, odbito by z rąk PiS jeszcze kilka sejmików, gdyż nie zmarnowałyby się głosy oddane na lewicę w tych sejmikach, gdzie nie przekroczyła ona 5-procentowego progu.

Jednak z analiz Jarosława Flisa wynika, że konstatacja wicemarszałka Sejmu to raczej tischnerowska „trzecia prawda”. Nawet zsumowanie głosów KO i lewicy tam, gdzie nie przekroczyła ona progu, nie zmieniłoby wiele, gdyż dotyczyłoby sejmików i tak już przejętych przez koalicję 15 października. Albo tych, gdzie PiS ma bezpieczną większość.

Flis zauważa, że wynik lewicy łatwo było przewidzieć przed wyborami. Liczba miejsc, w których lewica wystawiała kandydatów pod swoim szyldem, była mniejsza niż w poprzednich wyborach. To jest jednak zjawisko, przyznaje socjolog, które w wyborach samorządowych objęło więcej ugrupowań.

Kandydatom na burmistrza czy prezydenta opłaca się dziś wysiąść z tramwaju o nazwie „partia”. – One są od tego, by wystawiać kandydatów, a jak już to robią, powinny się od nich odczepić, bo partie są lokalnie bardziej skuteczne w zniechęcaniu do siebie niż w zachęcaniu. Organizatorzy kampanii wychodzą więc z założenia, że elektorat i tak rozpozna swoich, natomiast jeśli kandydat zbyt silnie identyfikuje się z partią, może spowodować do działania jej negatywny elektorat – zwraca uwagę socjolog z UJ. To jest

właśnie przypadek kandydatów PiS w dużych miastach.

Wracając do lewicy, są też inne powody słabego jej wyniku. Racje ma być może Trzecia Droga przekonując, że aborcyjna awantura (okraszona wulgaryzmami Anny Marii Żukowskiej), wszczęta przed wyborami przez lewicę, nie tylko nie pomogła tej formacji, ale obniżyła poparcie dla całej koalicji. Z tego powodu liderzy PSL mieli się tuż po wyborach domagać renegotjacji umowy koalicyjnej i odebrania słabnącej lewicy jednego z resortów albo oddania obiecane go Czarzastemu w drugiej połowie kadencji stanowiska marszałka. Sprawa jednak szybko zniknęła z politycznej agendy, gdyż groziła zbyt dużym kryzysem w koalicji, zwłaszcza w obliczu już trwającej kłótni o ustawy aborcyjne.

Młodzież zaskoczyła

Smutnym dla lewicy faktem jest również to, że wśród najmłodszego elektoratu większe poparcie uzyskała Konfederacja (przeskoczyła lewicę we wszystkich sejmikach), co dla sojuszu Czarzastego, Biedronia i Zandberga musi być poważnym ostrzeżeniem. Nie znaczy to uwiądowi wszystkich lewicowych idei, raczej dowodzi, że wiele z nich jest na sztandarach dużo silniejszej i sprawczej KO. Sama zaś Konfederacja, co potwierdza Flis, nie może jednak lokalnych wyborów uznać ani za sukces, ani za porażkę, bo utrzymała poparcie z jesieni. Niewiele też pomógł jej sojusz z częścią Bezpartyjnych Samorządowców, choć są miejsca, gdzie radni Konfederacji będą „języczkiem u wagi”, decydującym o większości, jak w sejmiku podlaskim.

Wybory samorządowe przyciągnęły o jedną trzecią mniej głosujących, ale i tak jest to jeden z najlepszych wyników w historii lokalnych elekcji. Do urn poszły głównie twarde elektoraty, więc ci, co mieli wygrać, wygrali jeszcze bardziej. Dysproporcję widać zwłaszcza w południowo-wschodniej Polsce, gdzie zdecydowanie wygrał PiS, oraz w Polsce północno-zachodniej, którą zdominowała Koalicja Obywatelska.

Jarosław Flis wskazuje też na inne zjawisko, czyli powrót tendencji sprzed 2018 r., kiedy w wyborach samorządowych frekwencja w dużych miastach zawsze spadała, a była wyższa w mniejszych gminach, odwrotnie,

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

niż to się działo w wyborach parlamentarnych.

Rok 2018 był inny, co – jak przypomina Flis – miało związek z kalendarzem wyborczym; wybory samorządowe odbyły się po dłuższej przerwie, i to przed parlamentarnymi. Obie strony się zmobilizowały, więc frekwencja w miastach i małych gminach się zrównała. Od tamtego czasu frekwencja wszędzie wzrosła, a różnica urbanizacyjna się zmniejszyła – duże miasta szły w górę, ale wieś robiła to jeszcze szybciej. – Aż do 15 października, gdy zjawisko osiągnęło apogeum – mówi socjolog.

Wybory z 7 kwietnia były mniej popularne, bo takie zawsze są elekcje lokalne, a poza tym odbyły się niedługo po emocjonujących wyborach do parlamentu, więc straciły charakter próby sił. – Wyborca z 7 kwietnia wrócił do starych nawyków, choć nieco odmieniony – mówi Flis. Wróciła stara tendencja z wyborów samorządowych, czyli wyższej frekwencji w małych gminach niż w miastach – w niektórych była ona nawet wyższa niż w październiku.

Święta prawda

Jednocześnie inne listy niż ogólnokrajowe, jak mówi Flis, dostały o połowę mniej głosów niż w poprzednich wyborach samorządowych, np. w 2018 r. Pozwala to na wniosek, że 7 kwietnia w mniejszym niż poprzednio stopniu zaistniały komitety lokalne. Zarazem stosując najbardziej obiektywne porównanie danych z 15 października i tych z 7 kwietnia, dojdziemy do wniosku, że proporcjonalnie PiS otrzymał 95 proc. tego, co 15 października, Koalicja Obywatelska 101 proc., Trzecia Droga 99 proc., lewica 75 proc., a Konfederacja 102 proc. A gdy się porówna łączny wynik koalicji rządzącej i łączny wynik opozycji, czyli PiS i Konfederacji liczonych razem mimo niechęci tej ostatniej do współpracy z Kaczyńskim, to w stosunku do jesieni każda z tych formacji dostała proporcjonalnie dokładnie 96 procent tego, co 15 października ubiegłego roku.

Wszystko to oznacza, że „święto prawda” jest taka, iż 7 kwietnia był remis.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



Dzwon „Głos nienarodzonych” wystawiony przed Sejmem przez Ordo Iuris w czasie głosowania nad projektami ustaw okołaborcyjnych. Warszawa, 12 kwietnia 2024 r.

Sumienie i kalkulacja

MAŁGORZATA SOLECKA

Koalicja rządząca uzbierała większość pozwalającą na przedłużenie starań o liberalizację prawa antyaborcyjnego. Ale wnioski, jakie płyną z dwóch sejmowych dni, nie są ani jednoznaczne, ani optymistyczne.

CZY MOŻNA STREŚCIĆ PONAD SZEŚCIOGODZINNY maraton wypowiedzi w jednym zdaniu? Na przykład: „ciszej nad tą debatą”. Albo: „*Stop making stupid people famous*”. Kierując się tą zasadą, można przejść nad ubiegłotygodniowym pierwszym czytaniem czterech projektów do porządku dziennego, odnotowując jedynie, że się odbyło i nie brakowało w nim niczego, co polski parlamentaryzm ma do zaoferowania: populizmu, inwektyw, odwoływania się do niskich instynktów, prób manipulacji, z rzadka tylko przetykanych sensownymi i racjonalnymi argumentami. I to wszystko z obu stron barykada, nawet jeśli nie „po równo”.

Zakaz nie działa

Jeśli któryś z głosów zasługuje na zauważenie, to deklaracja jednej z posełek lewicy: „W Polsce jedna na trzy kobiety ma za sobą aborcję. Jestem jedną z nich”. Posłanka nie powiedziała nic, co nie byłoby wiadome. Już wiele miesięcy temu

prezes PiS twierdził, że ciążę można przerwać „na każdym rogu w Warszawie i w wielu innych miejscach też”. I że nikt za to nie ściga. Zasadniczo Kaczyński powiedział prawdę, choć nie jest to takie jednoznaczne, co pokazał choćby przykład pani Joanny z Krakowa, upokorzonej przez policję, gdy szukała profesjonalnej opieki, albo ginekolożki ze Szczecina, do gabinetu której wkroczyło jakiś czas temu CBA.

A jednak deklaracja posłanki skierowała światła jupiterów na to, czego politycy z oczu tracić nie powinni, przynajmniej przy okazji takich debat: aborcja jest. Zakaz nie działa.

Fatalny wniosek

Poza tym? W pierwszej części dyskusji (użycie tego słowa budzi opór, dyskusja zakłada wzajemne wsłuchiwanie się w racje i argumenty stron), gdy kluby prezentowały swoje stanowiska, nie było aż tak źle, aż tak irracjonalnie, aż tak niemerytorycznie. Było natomiast

→ przewidywalnie. Największą niespodzianką okazała się informacja, że klub Prawa i Sprawiedliwości składa wnioski o odrzucenie w przypadku trzech projektów – dwóch Klubu Lewicy oraz Koalicji Obywatelskiej – natomiast w przypadku projektu Trzeciej Drogi posłowie mają głosować zgodnie z sumieniem.

Nawet to jednak trudno uznać za sensację: po przegranych w październiku wyborach prominentni politycy PiS (m.in. były premier Mateusz Morawiecki, który ostatecznie pomylił się przy głosowaniu) zidentyfikowali jako jedną z przyczyn porażki werdykt Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. Ba, pojawiły się głosy, że był on „fatalny”, a nawet – „błędny”. Bo że kosztował politycznie bardzo dużo, przyznał nawet prezes Kaczyński. Po wyborach okazało się, że w klubie PiS jest niemała grupa „światopoglądowych liberałów”. Zwłaszcza przy uchwalaniu ustawy o finansowaniu leczenia niepłodności metodą *in vitro* niektórzy posłowie PiS deklarowali, że zawsze byli „za”, choć to ich rząd w 2016 r. zakończył – na osiem długich lat – finansowanie tego programu.

Czy jednak rzeczywiście w klubie PiS w sprawach aborcyjnych ma decydować „sumienie”, czy zwykła kalkulacja polityczna? Bez wątpienia byłoby ogromnym sukcesem tej partii, gdyby po wyborach samorządowych Koalicja 15 Października musiała się zmierzyć z konsekwencjami odrzucenia projektów lewicy oraz KO i z jednoczesnym skierowaniem do komisji nadzwyczajnej wyłącznie projektu Trzeciej Drogi.

Koalicjanci tego nie zapomną

Nie ma żadnych wątpliwości, że liderzy partii koalicyjnych zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji, patrząc z obawami na ławy PSL, Klubu, w którym w kwestiach światopoglądowych nie ma dyscypliny i jednocześnie zasiada w nim grupa posłów, którym bliżej do ultrakonserwaty-

Budująca była jedność koalicji rządzącej

w głosowaniu nad projektem Trzeciej Drogi. Został skierowany do komisji, choć nie realizuje obietnic ani KO, ani lewicy.

stów z PiS i Konfederacji niż choćby do Polski 2050. Gdy w piątek przed południem w sejmowych kuluarach pojawiła się informacja, że Władysław Kosiniak-Kamysz imiennie zwrócił się do swoich posłów o niegłosowanie za odrzuceniem projektów, był to jasny sygnał, jak duże są obawy, iż scenariusz pisany na Nowogrodzkiej może się zrealizować.

Nie zrealizował się, mimo że klub PSL w głosowaniach nad projektami lewicy i Koalicji Obywatelskiej rzeczywiście, mówiąc bardzo oględnie, zachował się niejednolicie. Ośmioro posłów głosujących za odrzuceniem ręką w rękę z Konfederacją i PiS, przy piętnastu wstrzymujących się (tak głosował m.in. Władysław Kosiniak-Kamysz) to wynik, którego koalicjanci zapewne nie zapomną. To zresztą ogromny paradoks: posłowie PSL, korzystając z komfortu podejmowania decyzji we własnym sumieniu (w miejsce partyjnej czy też klubowej dyscypliny), odmawiają kobietom prawa do kierowania się własnym sumieniem w sprawie o ileż bardziej ich bezpośrednio dotyczącej.

Budująca była natomiast jedność koalicji rządzącej w głosowaniu nad projektem Trzeciej Drogi – mimo że praktycznie nie realizuje on obietnic ani lewicy, ani Koalicji Obywatelskiej, obydwa kluby zagłasowały przeciw odrzuceniu w pierwszym czytaniu. Zagłosowali tak również wszyscy posłowie PSL – choć wcześniej pojawiały się informacje, że nawet ten projekt jest kontestowany. Z koalicyjnych drobiazgów warto odnotować, że w głosowaniach nad projektami nie wziął udziału Roman Giertych. Polityk, startując z list Koalicji Obywatelskiej (przypomnijmy, że Donald Tusk zapowiedział wyrzucenie z klubu każdego, kto zagłasuje przeciw liberalizacji aborcji), zapowiedział, że nie zmieni swoich poglądów w tej sprawie, ale obiecał

też, że nie będzie brać udziału w głosowaniach – a więc „przeciw” nie zagłasuje.

Obiecaliśmy koniec kłótni

Jak głosowali posłowie PiS? Zgodnie z zapowiedziami, za odrzuceniem trzech projektów (dwóch lewicy i KO). W sprawie projektu Trzeciej Drogi również lwia część klubu (156 posłów) zajęła takie samo stanowisko, ale czworo (w tym była minister zdrowia Katarzyna Sójka i były wiceminister zdrowia i minister cyfryzacji Janusz Cieszyński) głosowało przeciw odrzuceniu, a 21 posłów (w tym Jarosław Kaczyński) wstrzymało się od głosu.

„Obiecaliśmy dość kłótni i dotrzymaliśmy słowa. W Polska 2050 uważamy, że największą szansę na zmianę daje referendum, ale głosowaliśmy za wszystkimi projektami. Zrobiliśmy to z szacunku do demokracji i troski o trwałość koalicji. Teraz oddajemy los tych ustaw w ręce członków i członków komisji” – taki komentarz pojawił się bezpośrednio po głosowaniach na profilu Szymona Hołowni na platformie X. Trwałość koalicji została ocalona? Na pewno nie została poddana kolejnej ciężkiej próbie. Zyskano czas.

Projekty trafią teraz do komisji nadzwyczajnej... w której znów wszystko będzie zależeć od PSL. Komisja ma liczyć 27 posłów, miejsca według parytetu: PiS – 11, KO – 9, TD PSL, TD Polska 2050 i lewica – po 2, Konfederacja – 1. W klubie Szymona Hołowni większość, jak można usłyszeć, wprost popiera rozwiązania liberalizujące przepisy, więc można założyć, że razem z lewicą i KO będzie 13 głosów „progresywnych” – umownie rzecz ujmując. PiS i Konfederacja mają razem 12 głosów. PSL tymczasem delegował do komisji dwie posłanki: Urszulę Paślawską i Urszulę Nowogórską. Pierwsza głosowała „przeciw” odrzuceniu projektów lewicy i KO, druga – za odrzuceniem (i została jedną z wiceprzewodniczących).

To ważne, zwłaszcza w kontekście informacji, że przynajmniej na razie nie ma mowy o referendum: kluby PSL oraz Polski 2050 nie zebrały wystarczającej liczby podpisów (69) pod swoim wnioskiem. To unieważnia sekwencję: powrót do tzw. kompromisu aborcyjnego sprzed jesieni 2020 r., a w drugim kroku referendum.

Decyzję podejmie Sejm.

© MAŁGORZATA SOLECKA



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycje

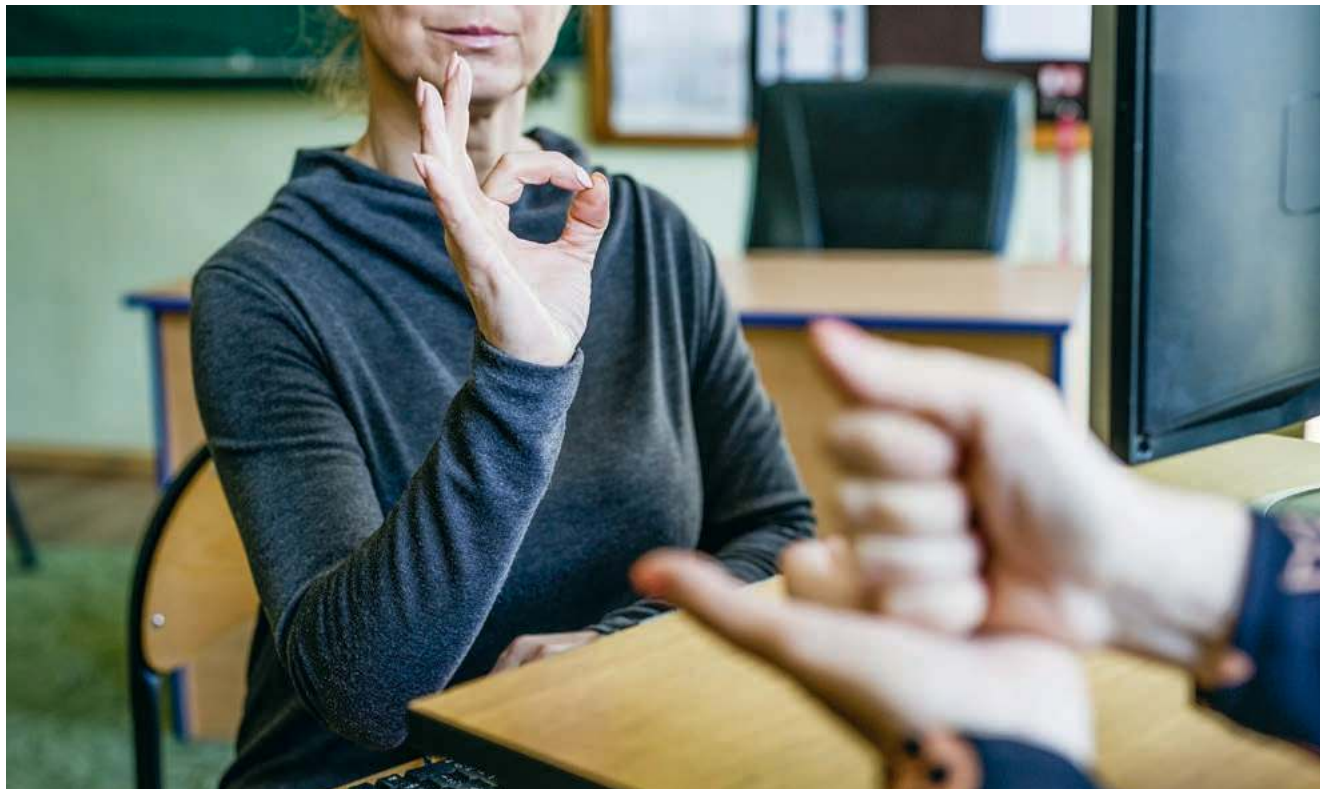
można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM



DANIEL DMITHRIEW / FORUM

Lekcja w języku migowym. Lubliniec, 9 kwietnia 2021 r.

Egzamin z języka

ANNA GOC

W tej historii jedno pytanie nie daje spokoju: jak to możliwe, że uczniowie w ósmej klasie nie potrafią czytać i pisać?

GŁUSI NIE SŁYSZĄ, ALE PRZECIEŻ MOGĄ czytać – to dość powszechne przekonanie. I nie zawsze prawdziwe.

PROŚBA | Magda i Marcin Kraśkiewiczowie zwrócili się do Justyny Maciejak, dyrektorki Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci niesłyszących w Poznaniu, z pewną prośbą. Ich głuchy syn Franek lubi matematykę, ma dobre oceny, ale na próbnym egzaminie ósmoklasisty zdobył zaledwie trzy punkty. Na dwadzieścia pięć.

– Nie zrozumiał treści poleceń – przyznaje Magda Kraśkiewicz. – Gdyby były w polskim języku migowym, rozwiązałby zadania.

Okręgowa Komisja Egzaminacyjna w Poznaniu w porozumieniu z Centralną Komisją Egzaminacyjną odpowiedziała szkole, że podczas egzaminu można za-

pewnić tłumacza, „jeżeli jest to niezbędne do uzyskania właściwego kontaktu z uczniem oraz/lub pomocy w obsłudze specjalistycznego sprzętu i środków dydaktycznych”.

Rodzicom nie chodziło jednak o to, by tłumacz był na sali i tłumaczył informacje o przebiegu egzaminu, tylko żeby mógł przetłumaczyć treść zadań – z języka polskiego na polski język migowy (PJM) – i żeby, gdy ich syn zamiga odpowiedzi, przełożył je na język polski.

Na to jednak zgody nie uzyskali.

– Dla naszego syna polski jest językiem obcym – mówi Piotr Kraśkiewicz. – Choć wspólnie zrobiliśmy wszystko, co było możliwe, syn nie nauczył się języka, którego nie słyszy. Nie potrafi czytać ze zrozumieniem. A jeśli pisze, to używa podstawowych słów, nie stosuje zasad gramatyki i składni.

– Czy tylko dlatego, że jest głuchy i posługuje się innym językiem, ma nie zdać państwowych egzaminów? – pyta Magda Kraśkiewicz. – Przecież prawo do edukacji jest zapisane w konstytucji.

PODSTAWA | Marcin Smolik, dyrektor CKE, wyjaśnia, że każdego roku zespół CKE i OKE dostosowuje warunki przeprowadzania egzaminu ósmoklasisty do potrzeb bardzo różnej grupy uczniów z niepełnosprawnościami. Podaje przykłady dostosowań: dla uczniów niewidomych – mniej zadań z geometrii, dla ucznia leżącego – wyświetlanie zadań na suficie z rzutnika, dla innych wymagających specjalnych warunków – np. znaczne wydłużenie czasu zdawania, a nawet podzielenie egzaminu z jednego przedmiotu na dwa dni.

Z obecności tłumacza polskiego języka migowego na egzaminie ósmoklasisty korzystało w ubiegłym roku 46 zdających, a z obecności surdopedagoga przygotowanego do pracy z uczniami głuchymi korzystały 764 osoby. Jednak ani tłumacz, ani surdopedagog nie mogli tłumaczyć treści zadań.

– Arkusz dla uczniów niesłyszących zawiera teksty i zadania już dostosowane do ich potrzeb przez surdopedagogów, często zadania zupełnie inne niż zadania

→ dla uczniów bez niepełnosprawności – wyjaśnia Marcin Smolik. – Zgadza się na dostosowanie egzaminu do potrzeb uczniów, ale dostosowanie to nie może spowodować, że kluczowa umiejętność określona w postawie programowej nie będzie mogła być sprawdzona – precyzuje.

Podstawa programowa dla dzieci głuchych jest od 2009 roku taka sama jak dla pozostałych.

– Czytanie i pisanie w języku polskim to fundamentalne umiejętności kształcone w zakresie zajęć edukacyjnych z języka polskiego, nie ma zatem możliwości wykluczenia ich z egzaminu, jeżeli nie istnieją obiektywne bariery do ich sprawdzania, co na przykład miałyby miejsce w przypadku czterokończynowego porażenia lub nawet złamania ręki. Wówczas zdający może dyktować odpowiedzi nauczycielowi wspomagającemu – mówi Smolik.

I dodaje: – Jeśli głuchy uczeń ósmej klasy w ogóle nie pisze i nie czyta po polsku, to problemem nie jest egzamin. Raczej pojawia się pytanie, jak to możliwe, że do tego doszło? Oczywiście jest dla nas, że uczniowi niesłyszącemu może być nieźmiernie trudno opanować język polski w stopniu zbliżonym do ucznia bez niepełnosprawności, dla niego język polski jest jak język drugi bądź obcy. Możemy dostosować zasady oceniania rozwiązań zadań, zrezygnować z oceniania np. jakości języka, poprawności, ale nie możemy zrezygnować ze sprawdzania elementarnych umiejętności określonych w podstawie programowej.

EKSPERCI | Zanim zadamy to pytanie: „jak do tego doszło?”, Magda i Piotr opowiadają historię Franka. O tym, że jest głuchy, dowiedzieli się tuż po porodzie. „Głuchy jak pień”, zapamiętała Magda słowa lekarza i informację: ubytek 120 dB oznacza, że ich syn nie słyszy nic.

Franek był pierwszą głuchą osobą, którą poznali. Nie wiedzieli, co to znaczy być głuchym. Zaczęli szukać lekarzy, pedagogów, logopedów. Organizacji, stowarzyszeń, poradni.

Trzy miesiące później Franek miał już aparaty słuchowe, a przed pierwszymi urodzinami przeszedł operację wszczepienia implantu ślimakowego. Kilka miesięcy później – kolejną, na drugie ucho.

Piotr: – Rehabilitacja słuchowa trwała cztery lata. Najlepszy ośrodek w regionie.

W edukacji głuchych
wciąż brakuje świadomości,
że głuche dziecko
nie potrafi nauczyć się
języka polskiego na tej samej
zasadzie, co słyszące.

**Nie przyswaja go
od rodziców,
bo go nie słyszy.**

Wyteżone treningi słuchowe, codzienne ćwiczenia w domu. Robiliśmy wszystko. Nasz syn nie zaczął mówić, nie rozumie mowy. Równocześnie obserwowaliśmy, że niektórzy z jego głuchych rówieśników, którzy przeszli podobną drogę, zaczynają mówić.

– Wszyscy eksperci, a my wraz z nimi, byliśmy nastawieni na jeden cel: Franek ma zacząć mówić – przyznaje Magda. – O nauce migania nikt nie wspominał, a jeśli ten temat się pojawiał, to PJM był przedstawiany jako slang, który zakłóci rozwój językowy dziecka. „Zacznij migać, nie będzie chciał mówić. Miganie go rozleniwi” – powtarzano. Dopiero gdy Franek miał cztery lata, a my dalej nie mogliśmy się z nim komunikować, powiedziano nam, że skoro „się nie udało”, to może warto rozważyć język migowy.

SYSTEM | Franek rozpoczął edukację wczesnoszkolną z migającą pedagogką, a jego rodzice kurs „języka migowego”, na którym uczyli się głównie słówek. W czwartej klasie jedna z nowych nauczycielek Franka biegle migła, ale jakoś inaczej. Okazało się, że posługuje się PJM, czyli naturalnym językiem głuchych, a Franek i rodzice uczyli się dotąd systemu językowo-migowego (SJM), nazywanego też miganą polszczyzną.

Językoznawcy pytani o różnicę między SJM a PJM wyjaśniają, że PJM ma własną gramatykę, różną od gramatyki języka polskiego. SJM to sztuczny kod – to tak jakby zapisać zdanie w języku francuskim, a pod nim zdanie po polsku, tłumacząc słówko po słówku, ale bez uwzględnienia reguł gramatycznych.

W 2011 roku głusi rodzice Justyna i Łukasz Michaliszynowie starali się o zapew-

nienie edukacji w PJM dla trojga swoich głuchych dzieci uczących się w poznańskim ośrodku. O tym, jak wygląda edukacja, opowiadali także inni rodzice: „Największym problemem jest to, że większość nauczycieli nie zna PJM. Nasze dzieci nie rozumieją lekcji. To tak, jakby w polskich szkołach uczyli ludzie mówiący po japońsku” – mówiła jedna z matek. A inna: „Odkryliśmy to teraz, w czasie pandemii. Widzimy na ekranach nauczycieli, którzy mówią do naszych dzieci. Pytają je przez kamerkę: „Marek, słyszysz mnie?”

Ówczesna dyrektorka ośrodka przyznała, że w jej placówce zaledwie kilkoro nauczycieli posługuje się biegle PJM, część używa SJM, ale są też nauczyciele, którzy prawie wcale nie migają.

Magda Kraśkiewicz: – Franek wracał do domu i nie potrafił powiedzieć, o czym było na niektórych lekcjach. Otwieraliśmy zeszyty, książki, tłumaczyliśmy mu zadania na PJM, a gdy Franek migał odpowiedzi, literowaliśmy mu słowa alfabetycznie migowym, a on zapisywał je w zeszycie po polsku.

Półtora roku później ukazał się raport Najwyższej Izby Kontroli „Edukacja głuchych i niedosłyszących do reformy”, który potwierdził, że poznańska szkoła nie jest wyjątkiem. Wynika z niego, że w 15 skontrolowanych placówkach znajomość PJM zadeklarowało tylko 40 proc. nauczycieli, a znajomość SJM – 35 proc.

W tym samym czasie w poznańskim ośrodku zmieniała się dyrekcja.

– Dzięki wsparciu finansowemu, które otrzymaliśmy z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Wielkopolskiego, nasi nauczyciele zapisali się na kursy PJM. Teraz mamy 49 pedagogów, którzy skończyli kurs PJM na różnych poziomach, w trakcie kursu jest 15. Zatrudniliśmy także w szkole tłumacza PJM – mówi Justyna Maciejak, obecna dyrektorka. – Nasi poloniści, którzy biegle posługują się PJM, mają wykształcenie, które pozwala im stosować metody nauki języka polskiego jako obcego w pracy z głuchymi uczniami. Zdajemy sobie sprawę z konieczności wprowadzenia edukacji dwujęzycznej, brakuje nam jednak pedagogów z biegłym PJM.

JĘZYK | Wróćmy do pytania: jak to możliwe, że niektórzy uczniowie ósmej klasy, a także dorośli głusi, absolwenci polskich

szkół dla głuchych, nie potrafią czytać i pisać po polsku?

– Do naszego ośrodka, w którym kształcimy na poziomie ponadpodstawowym, przychodzą uczniowie z całej Polski – z ośrodków specjalnych, szkół ogólnodostępnych i integracyjnych, z bardzo różnymi kompetencjami językowymi. Zdarzają się wśród nich także czternasto- i piętnastoletni głusi, którzy nie potrafią pisać i liczyć – przyznaje Anna Stopińska, dyrektor Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Głuchych im. Jana Siostrzyńskiego w Warszawie. – Nie wiemy, jaka była ich droga edukacyjna i rehabilitacyjna. W ramach zajęć rewalidacyjnych doskonalimy kompetencje językowe i komunikacyjne. Mamy zajęcia z PJM, języka polskiego, logopedyczne, z pedagogiem, psychologiem. I zwykle obserwujemy wzrost kompetencji językowych. Choć złotego okresu, czyli pierwszych lat życia, kiedy głuche dziecko nie miało dostępu do żadnego języka, zwykle nie jesteśmy w stanie nadrobić.

Nie ma przedmiotu „polski język migowy”, do którego byłaby przygotowana podstawa programowa, podobnie jak nie ma programu do nauczania języka polskiego jako obcego dostosowanego do potrzeb głuchych uczniów. Głusi migać przez dekady uczyli się od innych głuchych w szkole, choć coraz częściej w planie lekcji jest godzina PJM, nierzadko prowadzona przez głuchych nauczycieli.

– Brakuje rozwiązań ministerialnych, więc sami szkolimy się z metod glottodydaktycznych, szukamy nowych rozwiązań i metod pracy. Wspólnie z zespołem opracowaliśmy program do kształcenia językowego dla głuchych, który opiera się

na standardach kształcenia obcokrajowców – mówi Stopińska. – Wiele lat pracy i doświadczeń wskazuje, że nasi uczniowie i uczennice rozwijają swoje umiejętności w zakresie języka polskiego.

– Sytuacja, w której dorosła głucha osoba nie potrafi czytać i pisać, nie jest wyjątkowa – mówi Małgorzata Czajkowska-Kisil, surdopedagożka z Instytutu Głuchoniemych i wykładowczyni Uniwersytetu Warszawskiego, autorka opisu lingwistycznego PJM. – W edukacji głuchych wciąż brakuje świadomości, że głuche dziecko nie potrafi nauczyć się języka polskiego na tej samej zasadzie, co słyszace. Nie przyswaja go od rodziców, bo go nie słyszy. Gdy przychodzi do pierwszej klasy szkoły podstawowej, zwykle nie posługuje się językiem polskim.

Zwraca też uwagę, że reforma edukacji głuchych powinna zacząć się od zmiany programów nauczania surdopedagogów. – Przyszli nauczyciele w szkołach dla głuchych powinni wiedzieć, jak uczyć głuche dzieci języka polskiego, a tej wiedzy zwykle nie wynoszą ze studiów. Na niektórych uczelniach wciąż można dowiedzieć się, że do głuchych dzieci nie należy migać, bo to spowalnia naukę języka polskiego, choć wiadomo od dawna, że to błędne przekonanie. Szwede już w latach 80. wiedzieli, że jeżeli głuche dziecko zna biegle język migowy, czyli jedyny przystępny dla niego język, to ma punkt wyjścia do nauki kolejnego, czyli szwedzkiego. Potrzebny jest jednak też migający pedagog, który potrafi głuchemu dziecku o tym drugim języku opowiedzieć – mówi Czajkowska-Kisil.

To założenia edukacji dwujęzycznej – modelu, w którym głuchy uczeń

najpierw dostaje język, który jest w stanie opanować, a potem uczy się kolejnego, jako obcego. Chodzi o to, by nie dopuścić do sytuacji, w której przez kilka pierwszych lat życia dziecko nie ma dostępu do żadnego języka.

DWUJĘZYCZNOŚĆ | O edukację dwujęzyczną głusi walczą od kilkunastu lat. Reforma kształcenia kadry pedagogicznej, umożliwienie głuchym uczniom zdawania egzaminów w PJM, a także wsparcie rodzin, w których urodziło się głuche dziecko – to tylko część postulatów, które wylicza Krzysztof Kotyniewicz, prezes Polskiego Związku Głuchych.

Pytanie: dlaczego głusi mają problem z nauczeniem się języka polskiego, zadaje Magdalena Dunaj, autorce książki „W stronę edukacji dwujęzycznej dzieci głuchych w Polsce. Co wiemy? Czego nie wiemy? Co należy zrobić?”, która analizowała modele edukacji dwujęzycznej głuchych w krajach europejskich.

– Pisanie i czytanie jest wtórne wobec języka mówionego, który przyswajamy naturalnie. Gdy słyszace dziecko uczy się pisać i czytać, zwykle zna już język, posługuje się nim. Uczy się tylko innej formy używania tego języka – odpowiada.

I zwraca uwagę na jeszcze jedną kwestię. – Polski język migowy nie jest wciąż rozpoznany jako język naturalny w naszym systemie prawnym i w edukacji. Sytuację zmieniłaby ustawa uznająca PJM jako język mniejszości. Wtedy głusi mogliby w PJM zdawać egzaminy państwowe. A sam język byłby traktowany jak dobro kulturowe, a nie jak proteza dla osób z niepełnosprawnością.

© P ANNA GOC

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

SŁUPSK, czwartek 18 kwietnia, godz. 17.00, spotkanie z Robertem Kuśnierzem, „Komunizm sowiecki jako nowa religia”, Cepelin Books (Stary Rynek 7/28)

POZNAŃ, piątek 19 kwietnia, godz. 19.00, spotkanie z Kazimierzem Tischnerem, „Mój brat ks. Józef Tischner”, Kahawa (pl. Cyryla Ratajskiego)

GLIWICE, wtorek 23 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, „Wolność jest w języku. O twórczości Wiesława Myślińskiego”, Stacja Artystyczna Rynek (Rynek 4/5)

BIELSKO-BIAŁA, środa 24 kwietnia, godz. 17.00, spotkanie z Martą Titaniec, „Odpowiedź Kościoła na dramat wykorzystania seksualnego” Punkt 11 (ul. 11 Listopada 24)

KATOWICE, środa 24 kwietnia, godz. 18.00, spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, „Chodzi o to, by człowiek pozwolił sobie na radość” Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (pl. Rady Europy 1) / hybrydowe /

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Euro dla opornych

MAREK RABIJ

Od 20 lat jesteśmy w Unii, ale bez euro. Odpowiedź na pytanie, kiedy zastąpić nim złotego, jest trudniejsza niż w 2004 r. – choć i zwolennicy, i przeciwnicy tego kroku twierdzą, że ją znają.

W MAJU 2004 R. NIEWIELU ZAKŁADAŁO, że dwudziestolecie członkostwa w UE będziemy świętować z rodzimą walutą. Od tamtego czasu polski złoty przetrwał dwie wstępnie wyznaczone daty wycofania go z obiegu i czterech rządowych pełnomocników w randze ministra, którzy mieli do tego doprowadzić.

Powitanie euro po raz pierwszy zaplanowano na rok 2011. Na przeszkodzie stanął jednak światowy kryzys finansowy i w połowie 2010 r. rząd Donalda Tuska odłożył to na spokojniejsze czasy. Drugie okienko otworzyło się już rok później, po wyborach. Platforma Obywatelska w projekcie umowy koalicyjnej z PSL zasugerowała partnerowi ustalenie daty wejścia do strefy euro do końca kadencji. Ludowcy się jednak nie zgodzili i sprawa znów spadła z agendy. Po kolejnych wyborach klimat dla euro zrobił się w Polsce jeszcze cięższy. W 2018 r., w odpowiedzi na opublikowany w „Rzeczpospolitej” apel ekonomistów o jak najszybsze wejście do strefy euro, premier Mateusz Morawiecki określił ją jako „nieoptymalny w obecnym kształcie obszar walutowy”. W podobnym tonie wypowiadał się prezydent Andrzej Duda.

Polskie euro wylądowało w politycznej zamrażarce. Prędzej czy później będzie musiało ją jednak opuścić: do przyjęcia wspólnej waluty zobowiązaliśmy się przecież – bez wskazywania dat – w traktacie akcesyjnym. Inna sprawa, że na polskiej scenie politycznej nie ma dziś nikogo, komu by na tym naprawdę zależało.

Rozbić bank (centralny)

Bodaj najważniejszy polski eurosceptyk, jakim od 20 lat pozostaje Jarosław Kaczyński, w kwestii zamiany złotego na euro ma poglądy od lat niezmiennie. Jego zdaniem właściwy moment na to nadejdzie z chwilą, gdy pod względem

PKB *per capita* Polska dogoni Niemcy – czyli za jakieś 30 lat. Prezes wprawdzie nie rozdaje już kart w polskiej polityce, ale identycznie o euro myśli jego zaufany polityczny kompan, szef Narodowego Banku Polskiego. Adam Glapiński wielokrotnie podkreślał, że podczas jego rządów w NBP Polska na pewno nie porzuci złotego. Druga, ostatnia kadencja prezesa dobiegnie końca w czerwcu 2028 r. – do tego czasu rozmowy o przyjęciu euro pozostaną więc dywagacjami, bo bez zgody szefa NBP taka operacja jest niemożliwa.

Dla Zjednoczonej Prawicy bank centralny to jednak ostatnia reduta realnej władzy, dlatego jej politycy niemal każdej krytyce Glapińskiego próbują nadać pozory zamachu stanu. Najnowszym argumentem w tej palecie jest opowieść o postawieniu prezesa przed Trybunałem Stanu lub wymuszeniu na nim dymisji właśnie po to, żeby w ten sposób usunąć ostatnią przeszkodę do wprowadzenia euro. Autorzy tej spiskowej hipotezy lekceważą jednak fakt, że rządząca koalicja raczej unika tematu polskiego euro. W zeszłorocznej kampanii najodważniej wypowiadali się o tym przedstawiciele Trzeciej Drogi, którym zdarzyło się napomykać, że pożegnanie ze złotym uważają za realne w perspektywie roku 2030 – ale i oni od razu dodawali, że w tej sprawie koalicjanci mają rozbieżne opinie.

Euro a sprawa polska

PiS – jak mówi Michał Kobosko z Trzeciej Drogi – zohydziło Polakom euro. Ta wypowiedź wpisuje się zarazem w główny kierunek myślenia polskiej klasy politycznej, która nie uważa już wspólnej europejskiej waluty za strategiczny element naszej transformacji. Dziś to po prostu jeszcze jeden wątek w doraźnej politycznej rozgrywce, w dodatku taki, po który sięga głównie prawica – jako symbol zagrożenia



nia dla polskiej tożsamości narodowej. Tym wygodniejszy, że w pakiecie oferuje słynny „efekt cappuccino”, czyli rzekomo horrendalne podwyżki spowodowane zaokrągleniem cen w górę po przeliczaniu ich ze starej waluty na nową (w pierwszych latach istnienia euro takie ryzyko było realne, ale dziś wiadomo, jak je ograniczać).

W tym zainteresowaniu kwestią euro PiS i jego akolici pozostają jednak osamotnieni. Dla lewicy i centrum z okolic PO, PSL i Trzeciej Drogi temat od dłuższego czasu nie jest czymś, do czego warto wracać. Było, minęło. Opłacałaby się może jeszcze gra na polaryzację, bo na stosunek Polaków do euro największy wpływ mają właśnie poglądy polityczne. Badanie przeprowadzone przez firmę SW Research we wrześniu ub. roku pokazało, że porzuceniu złotego sprzeciwia się aż 76,4 proc. elektoratu Zjednoczonej Prawicy. Za przyjęciem euro opowiedziało się natomiast 67,9 proc. osób deklarujących poparcie dla Koalicji Obywatelskiej, 62,1 proc. wyborców lewicy i 44,9 proc. wspierających Trzecią Drogę.

Mówiąc euro stanowczo „nie” lub równie mocno „tak”, każda strona polskiej sceny politycznej dotrze więc głównie do swych najzagorzalszych zwolenników. Po co to zatem robić? W arsenale polskiego populizmu nie brakuje przecież



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Personifikacja Europy trzymającej znak euro przed budynkiem Parlamentu Europejskiego. Bruksela, 12 kwietnia 2023 r.

tematów łatwiejszych w użyciu niż niuanse polityki monetarnej, w których gubią się nawet eksperci.

„To skomplikowane”

34 znanych polskich ekonomistów, których „Rzeczpospolita” poprosiła niedawno o odpowiedzi na pytania o euro w Polsce, nie zdołało przemówić w tej sprawie skoordynowanym głosem. W miarę zgodnie badacze odnieśli się do pytania, czy nowa waluta przyspieszyłaby tempo rozwoju naszej gospodarki („tak” odpowiedziało 62 proc. ankietowanych) i do tezy, że złoty odgrywa coraz mniejszą rolę jako narzędzie do jej stymulacji (74 proc. odpowiedzi na tak). Ekonomisci podkreślali, że podczas kryzysów NBP niezmiennie rzadko decyduje się na osłabianie złotówki, żeby w ten sposób pomóc np. polskim eksporterom; priorytetem jego polityki monetarnej nawet wówczas są kryteria, które Polska musi spełnić, żeby wejść do strefy euro.

Dlatego najczęściej trudności przysporzyło badaczom pytanie o to, czy Polska powinna wyznaczyć sobie termin wejścia do unii walutowej najpóźniej do 2030 r. Część ankietowanych uważała, że taka cezurą podziałalaby mobilizującą na naszą politykę gospodarczą. Deklaracja przyjęcia euro w ciągu sześciu lat oznaczałaby, że Polska nie mogłaby dłużej tolerować

wysokiego deficytu finansów publicznych, który w tym roku zapewne solidnie przekroczy 5 proc. PKB.

Tzw. kryteria konwergencji, czyli zasady wchodzenia do strefy euro określone w traktacie z Maastricht, wymagają od kraju kandydackiego deficytu na poziomie do 3 proc. PKB – a przynajmniej udowodnienia, że jest na drodze do realizacji takiego celu. Podobnie traktat podchodzi do inflacji. Średnioroczne wahania cen w państwie ubiegającym się o euro nie mogą przekroczyć 0,8 proc., a to automatycznie wykluczałoby politykę podobną do tej, którą po lockdownie uprawiał NBP (na polityczne zamówienie PiS bank centralny długo nie reagował wówczas na przyspieszającą inflację). Kryteria z Maastricht kazałyby wreszcie Polsce przez co najmniej dwa lata utrzymywać kurs złotego do euro w przedziale plus minus 15 proc. od tzw. kursu centralnego, który wyznaczyłaby Unia.

Spełnienie tych wymagań otwierałoby drogę do euro, ale przy okazji zapewniło inne korzyści, na czele z większą przewidywalnością kursu rodzimej waluty. Jak cenna to zdobycz, pokazuje najlepiej przykład Danii. Kopenhaga od 25 lat funkcjonuje w mechanizmie ERM-2, który jest monetarnym przedszkolem dla przyszłych kandydatów do strefy, mimo że ani myśli zegnać się ze swoją koroną.

W 2020 r. ze swoim lewem dołączyła do ERM-2 także Bułgaria – choć akurat jej pozostałe kraje Unii nie chcą na razie nawet w Schengen.

Za wyznaczeniem terminu przyjęcia euro jednoznacznie opowiedziało się tylko 24 proc. ankietowanych ekonomistów, a 32 proc. kolejnych dostrzegало w tym więcej korzyści niż strat. Aż 38 proc. badaczy kategorycznie się temu jednak sprzeciwilo, podkreślając, że realizacja kryteriów z Maastricht pozbawi Polskę możliwości elastycznego reagowania na zagrożenia, jakie mogą w tym czasie wystąpić. Prof. Marcin Piątkowski z Akademii Leona Koźmińskiego wprost zarzucił Europejskiemu Bankowi Centralnemu anachroniczną wizję finansów publicznych rodem z lat 90. Jego zdaniem ton nadają tam wciąż ortodoksyjni miłośnicy taniego państwa, którzy nie rozumieją, że doświadczonych wojnami Polsce intensywne nadrabianie cywilizacyjnych zaległości kosztem wyższego długu potrzebne jest o wiele bardziej od higieny finansów publicznych.

„Zareczmy się z euro, ale nie spieszmy się z małżeństwem” – skwitował Piątkowski.

Jakoś to będzie

Grecki kryzys finansowy sprzed 14 lat to najlepszy dowód, że spieszyć się faktycznie nie warto. Euro jest bowiem walutą wielu krajów zaliczanych do gospodarczych prymusów globu, ale nie zapewnia z automatu członkostwa w tym elitarnym klubie.

Na początku tego stulecia Grecy postanowili jednak dostać się do niego za wszelką cenę, licząc na to, że pożegnanie z drachmą stanie się lekarstwem na wszystkie choroby ich gospodarki. W kraju od lat obowiązywały przepisy, które zmuszały prywatne firmy do zakupu obligacji, z których państwo następnie dofinansowywało nieefektywnie zarządzane przedsiębiorstwa państwowe. Na system ubezpieczeń społecznych składało się blisko trzysta funduszy, które zatrudniały łącznie niemal 1 proc. wszystkich czynnych zawodowo obywateli. Decyzją administracyjną podniesiono też pensje minimalne najslabiej wykwalifikowanym pracownikom, co w efekcie doprowadziło jedynie do skoku bezrobocia.

W finansach publicznych nie było lepiej. W momencie wejścia do strefy euro grecki dług publiczny był niemal dwa razy

→ wyższy od maksimum, na jakie kandydatom pozwalał traktat z Maastricht. W 2000 r. ponad jedną czwartą budżetu kraju pochłaniały pensje pracowników rozdętego ponad miarę sektora budżetowego. Ateny nie panowały także nad inflacją, a drachma nie trzymała kursu do innych walut.

W sytuacji gospodarczej Grecji nic nie przemawiało więc za tym, żeby od 1 stycznia 2002 r. kraj mógł bezpiecznie posługiwać się tą samą walutą, którą miały przyjąć również Niemcy, Francja czy Austria. Wygrała jednak polityka i EBC ostatecznie zadowolili się zapewnieniami Aten, że sytuacja w Grecji, choć zła, zmierza przynajmniej w dobrą stronę. Po kilku latach okazało się, że Ateny nawet nie zbliżyły się do realizacji kryteriów z Maastricht, a dane, które miały wskazywać, że Grecja obniża dług publiczny, temperuje inflację i trzyma na wodzy kurs swojej waluty, zostały w części sfabrykowane. Zadłużone po uszy państwo, od lat finansujące sporą część potrzeb budżetowych z długu zagranicznego, stało się niewiarygodnym partnerem dla kredytodawców i stanęło na progu bankructwa.

Gdyby w tej chwili próby Grecja była poza strefą euro, rząd miałby jeszcze narzędzia w postaci własnej waluty i suwerennej polityki monetarnej. Drachma z pewnością osłabiłaby się do euro, dolara czy rubla, ale krajowi, którego PKB w blisko jednej trzeciej zależy od turystyki, wyszłoby to paradoksalnie na zdrowie; dzięki temu przyciągnąłby jeszcze więcej gości zza granicy. Inwestorów zagranicznych można by było z kolei kusić wysoko opro-

Gdyby podczas kryzysu Grecja znajdowała się poza strefą euro, jej rząd poradziłby sobie lepiej.

Lekcja Aten wpłynęła na Polskę trzeźwiąco.

centowanymi obligacjami. Niestety, o rentowności greckich papierów wartościowych decydował już EBC, który ani myślał ratować Ateny kosztem 11 innych członków strefy euro. Wyrzucenie Grecji z unii walutowej było niemożliwe bez jednoczesnego wyjścia tego kraju z Unii, a na to musieliby się zgodzić z kolei sami Grecy.

Krajom strefy euro pozostało jedno wyjście – ratować Helladę pożyczkami, jednocześnie wymuszając na niej reformy i bolesne oszczędności. Kraj wpadł w głęboki kryzys, z którego na dobrą sprawę nie wyszedł po dziś dzień. Od 2010 r. PKB Grecji skurczył się o jedną czwartą.

Złoty górą

Tamta lekcja z pewnością trzeźwiąco podziałała na bezkrytycznych euroentuzjastów, którzy w przyjęciu wspólnej waluty widzieli ostatni etap przywracania Polski do standardów „zachodniej normalności”. Przypadek Grecji pokazał, że euro może pomóc w poprawie jakości życia tylko wtedy, jeśli staje się walutą zdrowej, konkurencyjnej gospodarki.

Jak podkreśla dr Wojciech Paczos, ekonomista z Cardiff University, dane hi-

storyczne z krajów członkowskich pokazują, że przyjęcie euro niemal w każdym kraju skutkowało bardzo wysokimi wzrostami w handlu międzynarodowym, sprzyjało spadkowi inflacji i dawało też krótkotrwały impuls dla wzrostu potencjalnego PKB. Ten impuls szybko jednak gasł i jeśli gospodarka nie miała zdrowych fundamentów, sama zmiana waluty nie była w stanie ich zastąpić.

Grecki kryzys finansowy apogeum miał w 2010 r. Od tamtej pory produkt krajowy brutto Polski wzrósł z 475,7 do ponad 860 mld dolarów. Staliśmy się szóstą największą gospodarką UE – za Niemcami, Francją, Włochami, Hiszpanią i Holandią. Polski PKB liczony na głowę i z uwzględnieniem siły nabywczej w tym samym czasie urósł z 63 do 80 proc. średniej unijnej. Euro miałoby zatem dziś w Polsce o wiele większą rację bytu niż w czasach, kiedy elity faktycznie planowały jego wprowadzenie, ale i bez niego – jak wiadać – jesteśmy w stanie szybko nadrobić cywilizacyjne zaległości. Wiedząc o tym, polscy politycy tym bardziej nie będą się do niego śpieszyć, w czym utwierdzą ich tylko wyniki kolejnych sondaży, które pokazują, że do euro nie pali się też większość Polaków. W ostatnim badaniu pracowni IBRIŚ aż 62,9 proc. ankietowanych odpowiedziało, że nie chce, żeby nowy rząd pożegnał się ze złotym.

Wspólna waluta Europy przez 20 lat spowszechniała nam najwyraźniej na tyle, że przestaliśmy widzieć w niej cel. Uważamy ją za narzędzie do jego osiągnięcia. I to jest naprawdę dobra zmiana.

© P. MAREK RABIJ

TP W NASTĘPNYM PODWÓJNYM NUMERZE „TYGODNIKA” NA MAJÓWKĘ

dodatek Dwadzieścia lat minęło. Polska w UE

Jak i na co wykorzystaliśmy te dwie dekady? Co Unia zmieniła w nas, a co my w Unii? Jak oceniają ją Polacy, którzy w dorosłość wchodził w 2004 roku, oraz ci, którzy nie pamiętają Polski poza granicami Schengen?

Już za tydzień materiały na dwudziestolecie członkostwa Polski w UE, m.in.:

- esej Marcina Napiórkowskiego o tym, że narracja o Unii jest komedią romantyczną *
- reportaż Aleksandry Wojtaszek o „pokoleniu Erasmusa”
- opowieść Olgi Drendy o fenomenie wyjazdów „city break”
- rozmowa z Markiem Bieńczykiem o tym, jak zmieniała się Polska i Europa **

PARTNERZY WYDANIA:



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT



* MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY
Z PRZEDSTAWICIELSTWEM KOMISJI
EUROPEJSKIEJ W POLSCE



Komisja
Europejska



** MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY
Z BIUREM PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO
W POLSCE.



Parlament Europejski
Biuro w Polsce



TOMASZ

Stawiszyński: Czego nie wolno mówić



ŻE MAMY DZISIAJ – W POLSCE, W EUROPIE i na świecie – problem z rozmową, o tym nikogo chyba nie trzeba przekonywać. Polaryzacja jest zjawiskiem globalnym, a wpływ ma na to wiele czynników, spośród których w czołówce znajdują się: nowe technologie, ogólna niepewność i poczucie zagrożenia oraz rosnący rozżew pomiędzy religijnym a naukowym obrazem świata. A także rozmaite narracje, polityczne i nie tylko, wedle których racjonalna rozmowa nie stanowi żadnej specjalnej wartości, a nawet wprost przeciwnie: może być formą opresji.

Najpełniej wciela tego typu myślenie teza, że racjonalność jest, jak wszystko, konstruktem społecznym wypracowanym przez określoną grupę (białych mężczyzn) w celu podtrzymania jej dominacji. Brzmi to na pierwszy rzut oka intrygująco, ale ktoś, kto stawia powyższą diagnozę, powinien odpowiedzieć sobie najpierw na jedno zasadnicze pytanie. Mianowicie: czy teza, że wszystko jest konstruktem społecznym, też jest konstruktem społecznym? Proszę zwrócić uwagę, że jeśli jest – wówczas nie obowiązuje obiektywnie, a zatem nie wszystko jest konstruktem społecznym. Jeśli natomiast nie jest – wówczas nie wszystko jest konstruktem społecznym, bo przynajmniej jeden element (teza, że wszystko jest konstruktem społecznym) znajduje się poza tym zbiorem. Gołym okiem widać, że jest to twierdzenie wewnętrznie sprzeczne, no ale oczywiście ktoś może zaraz powiedzieć, że niesprzeczność jest tylko konstruktem społecznym, nie należy się zatem nią tak bardzo przejmować. Zapytam wtedy: czy założenie, że niesprzeczność jest tylko konstruktem społecznym, też jest konstruktem społecznym? I tak dalej, w nieskończoność.

W każdym razie pogląd, że jest w racjonalnej dyskusji jakiś ukryty ładunek opresji, to jeden z czynników przyczyniających się do kryzysu rozmowy, a zatem zwiększania sumy nieporozumień w świecie. Co z kolei sprzyja rozwojowi jeszcze innego, stosunkowo nowego zjawiska, względem tego głównego pozostającego nieco z boku. Ale niewątpliwie również godnego uwagi. Mam na myśli krążące coraz częściej po internecie posty, w których asertywnie, a czasami wręcz impetycznie wylicza się rzeczy, jakich pod żadnym pozorem w określonych okolicznościach nie wolno wypowiadać na głos. Tego czy tamtego np. – wywodzi się w tych

postach – mówić absolutnie nie wolno do kogoś, kto się źle czuje; tak albo siak nie mają prawa odzywać się starzy do młodych; o tym to a tamtym zabrania się dyskutować w obecności tego lub owego. Przy czym – zaznaczmy to jasno – nie chodzi o wypowiedzi, które naruszają kanony obyczajności czy kultury osobistej, o chamstwo czy grubiaństwo, lecz o sprawy z pozoru całkiem niewinne. Weźmy wspomniany przykład: komuś, kto się źle czuje, nie wolno ponoć oznajmić, że też się podobnie kiedyś czuliśmy albo teraz czujemy – jest to bowiem (zgaduję) jakiś zamach na intensywność bądź autentyczność jego złego samopoczucia.

Otóż pracuję tutaj, mam wrażenie, gdzieś pod spodem pewna fantazja – w gruncie rzeczy cokolwiek infantylna, a jednocześnie autorytarna (dość częste połączenie). Fantazja, że inni ludzie powinni od razu domyślać się, co siedzi w naszych głowach, i mówić do nas wyłącznie to, co życzymy sobie usłyszeć. I co potwierdza jednoznacznie nasz obraz siebie oraz inne posiadane już przekonania oraz emocje, w żadnym razie natomiast niczego nie kwestionuje albo nie opatrzuje znakiem zapytania, bo w dysonansie, z definicji, kryje się straszne niebezpieczeństwo. Usłyszenie od innych czegoś, czego usłyszeć nie chcemy, z czym się nie zgadzamy, albo w ogóle czegoś, co nie jest świadectwem głębinowej wobec nas uważności oraz wczuwania się w nasze potrzeby, staje się w takim ujęciu źródłem nieznośnej frustracji i zagrożenia. I właśnie dlatego produkuje się te instruktaże, a na ich naruszenie natychmiast reaguje – w najlepszym razie drażliwością, w najgorszym hejtem.

Tak jak powiedziałem wcześniej, jest to część szerszego zjawiska. Związanego zarówno z kryzysem dyskusji, jak i, niestety, z kryzysem widzenia i rozumienia innych (oraz siebie). A także z kryzysem komunikacji rozumianej jako – niekiedy trudny, ale konieczny – środek do wspólnego negocjowania kształtu świata i naszego w nim położenia. Bo, ostatecznie, ludzie mają prawo do nas mówić różne rzeczy, a my możemy im na to odpowiadać, zwłaszcza jeśli coś nam się w tym ich mówieniu nie podoba lub nie zgadza. Co oczywiście nie oznacza z automatu, że muszą się oni naszym odpowiedziom podporządkować, podobnie jak i my nie mamy obowiązku podporządkowywania się z automatu ich pragnieniom i oczekiwaniom.

Po prostu – nie czytamy sobie nawzajem w myślach i dlatego właśnie musimy ze sobą rozmawiać. Jest to warunek *sine qua non* demokratycznego społeczeństwa: wolna dyskusja o sprawach, które dotyczą nas wszystkich, debata, w której każdy ma równe prawo głosu na każdy temat. Drażliwe oczekiwanie, że wszyscy mają obowiązek telepatycznie rozpoznawać, co też drzemie w naszych duszach, a następnie stuprocentowo się do tego dopasowywać, prowadzi niestety do coraz dalej idącej izolacji i agresji. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl



ADAM JANUSZ / WSIŁYZ2

NA ŚWIATOWYM POZIOMIE

Agata Jurkowska-Gomułka, prorektorka Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie:
Niezależnie od rewolucyjnych zmian, zależy nam, żeby kształcić ludzi otwartych,
ciekawych świata i, przede wszystkim, samodzielnie myślących.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Gdy sam byłem studentem, prestiżowo było wyjechać na zagraniczne uczelnie – teraz jest odwrotnie.

AGATA JURKOWSKA-GOMUŁKA: Po niemal 35 latach od rozpoczęcia transformacji ustrojowej doszłusowaliśmy już do globalnej pierwszej ligi – dlatego ludzie z całego świata coraz chętniej do nas migrują, także w poszukiwaniu wysokiej klasy edukacji. Powoli przestajemy być krajem tranzytowym, bramą do Niemiec czy Francji. Niestety, w naszej debacie publicznej wokół niepublicznego szkolnictwa wyższego nieustannie pojawiają kontrowersje, a ostatnia afera związana z Collegium Humanum zrobiła zły PR wszystkim uczelniom prywatnym Polsce.

To tylko wyjątek?

Zdecydowanie. Polskie uczelnie, państwowe i niepaństwowe, zapewniają naprawdę dobrą, praktyczną edukację, do tego coraz częściej po angielsku. Dlatego też możemy spokojnie konkurować z wieloma instytucjami z zachodniej Europy – zwłaszcza że u nas edukacja jest znacznie tańsza. Do tego wiele krajów, na przykład Holandia, która zawsze była liderem umiędzynarodowienia studiów wyższych – teraz się z tego wycofuje, bo zaczyna im brakować podstawowego zaplecza, takiego jak niedrogie mieszkania czy akademiki. Znam wiele przypadków, gdy młodzi ludzie dostali się na wymarzone holenderskie uczelnie, ale musieli wrócić do Polski, bo zwyczajnie nie mieli gdzie mieszkać. Między innymi dlatego zyskujemy coraz więcej nowych, zdolnych studentów.

To chyba szczególnie ważne dla niepublicznych uczelni w kontekście pogłębiających się niżów demograficznych.

To prawda, choć z naszych obserwacji wynika, że wszystkie uczelnie, także publiczne, mniej więcej równomiernie zaliczają spadki chętnych. Demografia to jednak nie wszystko. Statystyki od lat pokazują, że polscy studenci bardzo niechętnie podejmują studia II stopnia, poprzestając zazwyczaj na licencjacie.

Dlaczego?

Wielu osobom trudno jest przez tyle lat jednocześnie studiować i pracować, a często inaczej się nie da. Dodatkowo

na rynku pracy studia I stopnia wystarczają, aby zacząć już karierę, bez potrzeby czekania kolejnych dwóch lat.

Ile osób studiuje na Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania?

Łącznie ze słuchaczami studiów podyplomowych przeszło sześć tysięcy osób, z czego ponad tysiąc czterysta odbywa wszystkie zajęcia w języku angielskim. W zeszłym roku mieliśmy studentów z 53 krajów, a jeśli policzyć wszystkie narodowości, które przewinęły się przez naszą szkołę, to pewnie byłaby to liczba w okolicy osiemdziesięciu, łącznie z Japonią oraz Papuą-Nową Gwineą.

Wojna w Ukrainie wpłynęła na liczbę Waszych studentów?

W zaskakująco niewielkim stopniu. W 2022 r. baliśmy się, że konflikt zatrzyma napływ studentów ze wschodu, jednak tak się nie stało. Wręcz przeciwnie – dzięki zajęciom online, które wymusiła na nas pandemia, zainteresowanie naszą ofertą edukacyjną jeszcze się zwiększyło.

Polski rynek pracy potrzebuje więcej absolwentów-specjalistów, niż jesteśmy sami w stanie wykształcić?

Tak, dlatego potrzebujemy zdolnych ludzi z całego świata. Dodatkowo już teraz powinniśmy zmierzyć się z problemem migracji – czy to nam się podoba, czy nie, do Europy będzie chciało przybyć coraz więcej ludzi z globalnego południa. Powinniśmy już teraz wypracować standardy, na podstawie których będziemy ich przyjmować. Lepiej dla wszystkich jest, gdy nasi goście świadomie i z przekonaniem podejmują decyzję o studiowaniu w Polsce.

To często duże wyzwanie.

Sama podróż może trwać nawet kilka dni, a młodego człowieka, który decyduje się na taki krok, nierzadko wspiera materialnie cała jego rodzina. Dlatego też czujemy szczególną odpowiedzialność – chcemy, aby taka osoba otrzymała możliwie najlepsze wykształcenie, jakie jesteśmy w stanie jej zaoferować. Tacy studenci są szczególnie zmotywowani – mają

też w sobie otwartość na świat, są zaradni i szybko się uczą. Często bywa i tak, co nas bardzo cieszy, że zdobywana u nas wiedza i umiejętności są transferowane do ich rodzinnych krajów. Jeszcze niedawno zazwyczaj po zdobyciu dyplomu wyjeżdżali dalej na zachód w poszukiwaniu pracy. Dziś częściej decydują się na powrót do domu, gdzie szukają sposobów na wykorzystywanie zdobytych umiejętności.

Albo zostają w Polsce?

Tak, dziś najczęstszym problemem bywa... nasz klimat. Ale po pierwszej zimie spędzonej w Polsce idzie już z góry.

Tutaj pojawia się wrażliwy problem „podbierania” uboższym krajom zdolnych młodych ludzi – do tej pory byliśmy zazwyczaj po drugiej stronie tej barykady.

To rzeczywiście poważny problem etyczny. Żyjemy w świecie, gdzie rozwój wymaga stałego dopływu wyspecjalizowanych pracowników. Gdy nie można ich znaleźć na lokalnym rynku, szuka się ich dalej. Tutaj nie ma jednoznacznych odpowiedzi – trzeba szukać możliwie najlepszego dla wszystkich stron kompromisu. Polacy w latach 80. masowo wyjeżdżali do krajów Europy Zachodniej czy Ameryki, zdobywając tam bezcenne kompetencje. Wielu wróciło potem do Polski i aktywnie wspierało rozwój naszego kraju. Pamiętajmy też, że dla wielu naszych studentów wyjazd do Polski to radykalna poprawa sytuacji życiowej, a czasem wręcz ucieczka przed poważnymi zagrożeniami. Na to wszystko nakładają się zmiany klimatyczne. Trudno odmawiać komuś szans na lepsze życie. W wielu obszarach relacje między globalnym południem i globalną północą są napięte i raczej szybko się to nie zmieni.

Dochodzi jeszcze problem wizowy.

Uczelnia wspiera kandydatów w procesie wizowym. Przyjęliśmy pewne kryteria wyjściowe, żeby konsul, który podejmuje decyzję, miał przekonanie, że ci młodzi ludzie z Wietnamu, Indii czy Zimbabwe faktycznie chcą tu przyjechać i podjąć studia. W związku z tym wprowadziliśmy kilka „bezpieczników”. Mamy zespół ludzi, którzy są odpowiednio przeszkoleni w weryfikowaniu dokumentów, jesteśmy w stałym kontakcie z placówkami dyplomatycznymi. Mamy też na świecie wiele partnerskich uczelni, które nam pomagają. Innym mechanizmem zabezpieczającym jest konieczność zapłacenia czesnego za rok z góry. No i oczywiście nasi studenci wiedzą, że jeżeli nie będą się pojawiać na zajęciach przez dłuższy czas, zostanie to zgłoszone do odpowiednich służb. Brzmi to wszystko może nieco surowo, ale dzięki temu cały proces jest przejrzysty i ostatecznie pomaga naszym przyszłym studentom załatwić wszelkie formalności – procent odrzuconych wniosków wizowych jest u nas bardzo niski.

A inne problemy, z którymi kandydaci muszą się mierzyć?

Niewielka liczba polskich konsulatów na świecie – szczególnie w takich rejonach, jak Azja Południowo-Wschodnia czy Afryka. Umówienie się na rozmowę z konsulem to często droga przez mękę, bez szans na sukces. System internetowej rejestracji osób ubiegających się o wizę jest bardzo niewydajny i podatny na nadużycia – czasem o jedno miejsce bije się kilkadziesiąt osób, a więc gdy system otwiera się na przykład o 10 rano, to momen-

talnie kończą się wolne terminy. Bardzo nam zależy, żeby nasze państwo, także we własnym interesie, ten system usprawniło i ucywilizowało.

Co jeszcze nie działa, jak powinno?

Z mojej bogatej korespondencji z polskimi konsulatami na całym świecie wynika jasno, że nasze placówki dyplomatyczne są mocno niedofinansowane. W całych Indiach mamy tylko dwa konsulaty.

To chyba poważny problem.

Znacząco utrudnia nam rozmowy z partnerami akademickimi. Ale nie chodzi tu wyłącznie o nasz partykularny interes. Musimy sensownie podejść do problemu migracji – bo w tym momencie panuje chaos, który szkodzi żywotnym interesom naszego kraju. Władza powinna wypracować spójny, długofalowy model działania, w kooperacji z uczelniami. W jego ramach rzetelnie działające uczelnie powinny otrzymać administracyjne wsparcie w pozyskiwaniu zdolnych i zdeterminowanych do studiowania w Polsce osób z całego świata. Z nadzieją patrzymy na działania nowego rządu, który zadeklarował znacznie większą otwartość w tej kwestii niż poprzedni.

Nasza polityka wizowa jest tak restrykcyjna?

Nie w tym rzecz – państwo ma oczywiście prawo i obowiązek weryfikować proces wpuszczania obcokrajowców, tyle że to nie sam proces weryfikacji jest przeszkodą, ale czas oczekiwania na uzyskanie wizy, a następnie zezwolenia na pobyt. Często ten czas wynosi ponad dwa lata.

Jesteście uczelnią informatyczną – Polska ma szansę wykorzystać rewolucję związaną ze sztuczną inteligencją?

Myszę, że tak. Problemem jest tempo zmian – rzeczy, których uczymy naszych studentów na pierwszym roku w czasie trwania ich studiów licencjackich, potrafią się zdezaktualizować, zanim studenci skończą studia. Dlatego musimy być – i jesteśmy – bardzo adaptacyjni, choćby poprzez codzienną bliską współpracę z firmami IT.

Jest zainteresowanie tym tematem wśród studentów?

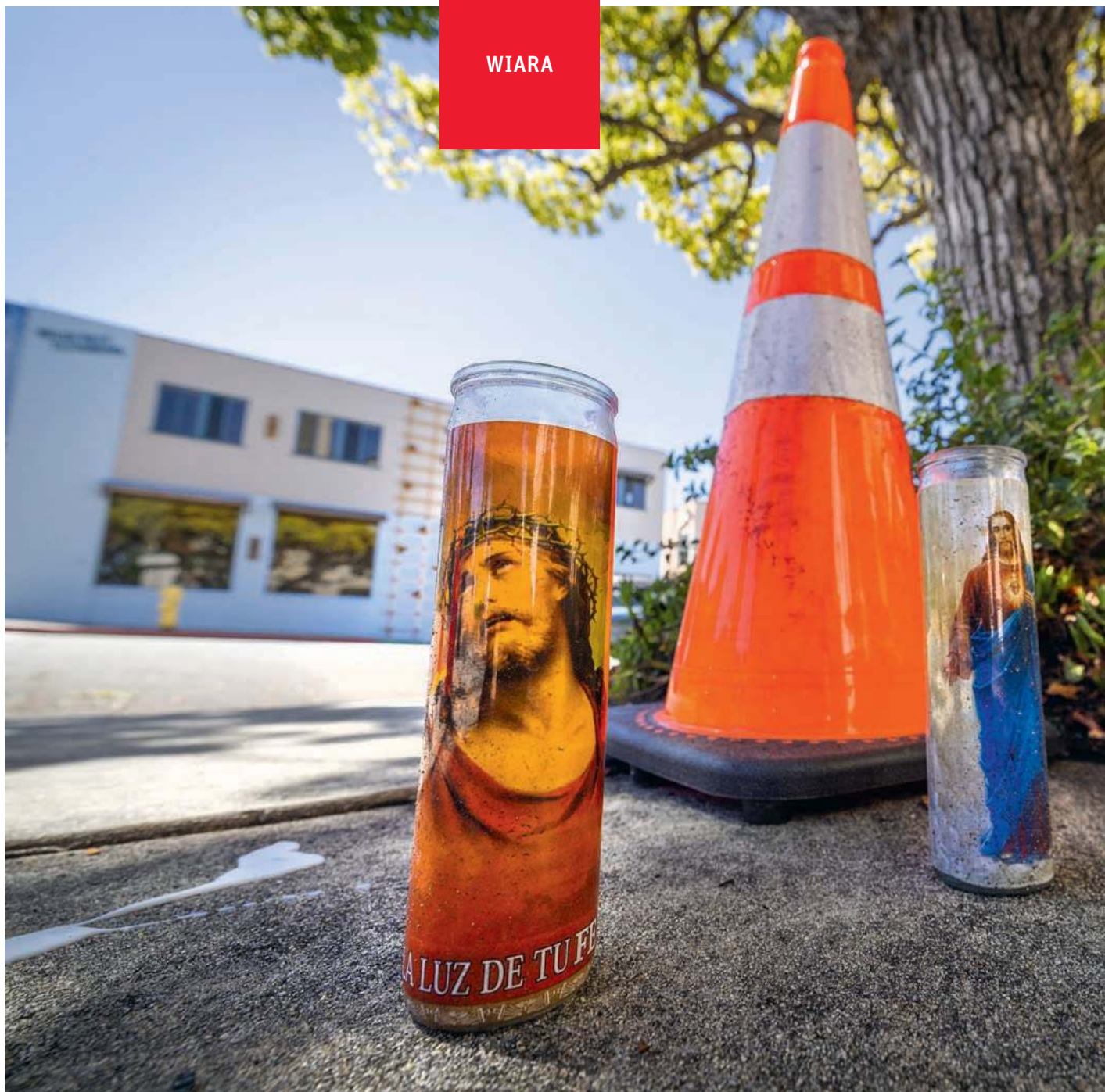
Ogromne. Nie tylko w obszarze samego programowania, ale również pobocznych, choćby w grafice komputerowej czy projektowaniu gier. Sztuczna inteligencja zmienia cały nasz dotychczasowy świat, także w obszarach nieoczywistych. Stawiamy między innymi na biomedycynę, czyli dyscyplinę, która jeszcze parę lat temu nie istniała, oraz na naukę zarządzania z uwzględnieniem zasad zrównoważonego rozwoju. Jednak niezależnie od rewolucyjnych zmian, zależy nam przede wszystkim, żeby kształcić ludzi otwartych, ciekawych świata i, przede wszystkim, samodzielnie myślących.

©© Rozmawiał Michał Sowiński



Agata Jurkowska-Gomułka – doktor habilitowana z zakresu nauk prawnych, prorektorka WSiLiZ ds. Nauki i Współpracy Międzynarodowej.

Powyżej z lewej: Studenci WSiLiZ w czasie uczelnianego International Day w czerwcu 2023 r.



Na miejscu śmiertelnego wypadku samochodowego. Rodendo Beach, Kalifornia, 9 kwietnia 2024 r.

RELIGIA NONÓW

RYAN BURGE, POLITOLOG I PASTOR BAPTYSTYCZNY:

Choć już więcej niż co czwarty Amerykanin odwrócił się od religii, to nadal jesteśmy społeczeństwem głęboko wierzącym.



LEN J. SCHABEN / GETTY IMAGES

Ameryka. W krajach takich jak Francja, Wielka Brytania czy Niemcy na msze chodzi mniej niż 10 proc. społeczeństwa. W Ameryce to ok. 25 proc., a w niektórych południowych stanach – 35 proc. Najmniej religijny stan w USA prawdopodobnie jest bardziej religijny niż przeciętny kraj w Europie.

W końcu Amerykanie muszą w coś wierzyć, nawet jeśli nie jest to konkretna religia.

Dokładnie tak. Tylko 10 proc. Amerykanów deklaruje, że są ateistami lub agnostykami. Spośród tych zaś, którzy uważają się za ateistów, tylko 65 proc. deklaruje, że nie wierzy w Boga. Prawie wszyscy amerykańscy noni wierzą w siłę wyższą i angażują się w jakąś formę duchowości: ćwiczą jogę, medytują, spędzają czas na łonie natury, wierzą w istnienie duszy, życie pozagrobowe czy reinkarnację. W USA mamy też mocno ugruntowaną religię obywatelską: na widok zasłużonych żołnierzy podczas parady wojskowej wstajemy w cisy i kładziemy rękę na sercu. To moment niemal religijny. Do tego flaga amerykańska nie może dotknąć ziemi, a jej spalanie można uznać wręcz za herezję. Religia mocno miesza się tu z patriotyzmem i nie ma oznak, by to zjawisko słabło. Jest wręcz przeciwnie.

Zanim porozmawiamy o splocie polityki i religii, opowie Pan o tym, jak z biegiem lat Amerykanie odwracali się od Kościoła?

Amerykański socjolog Glenn M. Vernon w 1968 r. opublikował artykuł pt. „The Religious »Nones«: A Neglected Category” (Noni: zaniedbana kategoria). Argumentował w nim, że należy poświęcić osobom niereligijnym więcej uwagi, bo nie ma żadnych badań na ich temat. W tamtych czasach noni stanowili ok. 5 proc. Amerykanów i tak pozostawało przez długi czas. W latach 1972-1991 ich odsetek wzrósł o zaledwie 2 pkt. proc. To zmieniło się między 1991 a 1996 rokiem: procentowy udział niereligijnych w społeczeństwie wzrósł z około 6 do 12 proc. Prawie trzy dekady później już niemal 30 proc. dorosłych Amerykanów nie identyfikuje się z żadną religią. Wśród młodych z pokolenia Z to ponad 40 proc. Ten trend będzie się utrzymywał.

Jak w takim razie wytłumaczyć badanie Gallupa z lat 2017-2022, z którego wynika, że przyrost nonów wyhamował?

Myślę, że to statystyczna aberracja. Starsi Amerykanie, bardziej religijni niż młodzi, będą stopniowo umierać, co tylko wzmocni zjawisko odwracania się od religii. Byłbym bardzo zaskoczony, gdyby za pięć lat udział nonów w społeczeństwie spadł. Raczej spodziewałbym się skoku do 33-34 proc. Bycie osobą niereligijną w Ameryce nadal bywa tematem tabu, jednak coraz liczniejsi przyznają się do tego w sondażach. Zresztą, tak naprawdę nie wiemy, czy z biegiem lat rzeczywiście przybyło osób niereligijnych, czy po prostu wielu bało się wcześniej dokonać coming outu. Może zawsze byliśmy mniej religijni, niż myśleliśmy, tylko po prostu jako naukowcy nie potrafiliśmy tego dobrze zbadać?

Czy bycie nonem jest tematem tabu w rolniczych rejonach stanu Illinois, gdzie Pan mieszka?

To zależy. Ateiści i agnostycy należą tutaj do rzadkości – przynajmniej ja nie znam żadnego. W Illinois, podobnie jak wszędzie na amerykańskiej wsi, wśród nonów przeważają osoby, które odwróciły się od instytucji kościelnych, ale niekoniecznie od Boga. Wiele kościołów w naszej okolicy [okolicy miasta Mount Vernon – red.] zaczęło się zamykać, w tym także nasz.

Ale przecież w First Baptist Church jest Pan pastorem od kilkunastu lat!

Niestety, prawdopodobnie już w lipcu zakończymy działalność. Ciężko znaleźć motywację do prowadzenia kościoła, gdy na mszę przychodzi garstka osób.

Ilu wiernych przychodzi do Pana w niedzielę do kościoła?

Około 10. Poza tym kończą nam się pieniądze: przez ostatnie 10-15 lat opłacaliśmy działalność z kościelnych oszczędności i to nie był problem, bo koszty życia nie były aż tak wysokie. W obecnej sytuacji trudno uregulować bieżące rachunki i kontynuowanie działalności przestaje mieć sens. Jednocześnie w okolicy rozwija się Kościół bezwyznaniowy, Central Christian Church, który naszej wspólnotie i innym wspólnotom protestanckim



MARTA ZDZIEBORSKA: Według sondażu Pew Research tzw. noni to dziś 28 proc. dorosłych Amerykanów – jest ich więcej niż katolików. W tej grupie znajdują się ateści, agnostycy i osoby zaznaczające w sondażach odpowiedź „żadne konkretne wierzenia” (*nothing in particular*). Jak amerykańscy noni różnią się od tych europejskich?

RYAN BURGE: Zaczniemy od tego, że Europa jest o wiele bardziej sekularna niż

→ podbiera wiernych. Co niedzielę modli się tam już około 1800-2000 osób.

Ludziom przestało zależeć na konkretnej doktrynie religijnej?

Na to wygląda. W Ameryce przybywa Kościołów, które nie wchodzą głęboko w teologię. Ich nabożeństwa przypominają pogadanki motywacyjne: ludzie chcą słuchać o tym, jak być lepszym ojcem, pracownikiem czy sąsiadem, a nie co Biblia mówi o życiu wiecznym. Patrzą na Kościół użytkowo: wybierają daną wspólnotę, bo np. lubią ją ich dzieci, przychodzą tam ich znajomi lub po prostu podoba im się muzyka. To, co pastory mówią podczas kazania, ma znaczenie drugorzędne.

Przekonuje Pan, że jedną z głównych przyczyn odwrótu Amerykanów od religii jest pogłębiający się sojusz między białymi chrześcijanami a Partią Republikańską. Jak do tego doszło?

Kiedyś religijność białych Amerykanów nie była w żaden sposób związana z konkretną partią polityczną. Wśród chrześcijan ewangelikalnych byli zarówno zwolennicy Demokratów, jak i Republikanów. To zaczęło zmieniać się w połowie lat 80., gdy Partia Republikańska oparła swoją strategię na ludziach wierzących. Próbując zdobyć ich poparcie, dryfowała na prawo, mówiąc o ochronie wolności religijnej czy sprzeciwie wobec aborcji i małżeństw jedнопłciowych. Z czasem liberalni chrześcijanie, z racji odmiennych poglądów, zaczęli czuć się w swoich wspólnotach obco.

Uderzyły mnie statystyki przytoczone w Pana książce „The Nones”. Aż 14 proc. religijnych Amerykanów przestało chodzić do kościoła w 2016 r., tuż po zdobyciu prezydentury przez Republikanina Donalda Trumpa.

Jeszcze bardziej szokują te dane: chrześcijańscy Demokraci w 1970 r. stanowili 40 proc. społeczeństwa. Dziś jest to zaledwie 13 proc. Nie ma prawie żadnej białej chrześcijańskiej wspólnoty w USA, która plasowałaby się w centrum lub po lewej stronie sceny politycznej. Może wyjątkiem jest Kościół episkopalny, ale to nieduża wspólnota: w całym kraju na nabożeństwa w niedzielę chodzi mniej niż 400 tys. wiernych. W Ameryce dokonał się ostry podział: jeśli jesteś białym chrześcijaninem, to popierasz Partię Republikańską i głosujesz na jej kandydatów. Nie możesz być chrześcijaninem ewangelikalnym i jednocześnie Demokratą. A jeśli nie jesteś biały i masz liberalne poglądy, to musisz być nonem.

Z drugiej strony pisze Pan, że ostatnie sezony wyborcze pokazały, iż noni to nie tylko skrajnie lewicowi zwolennicy Partii Demokratycznej. Czy to sygnał, że nasilił się odpływ Republikanów ze wspólnot ewangelikalnych? Niektóre tak się zradykalizowały, że traktują Trumpa jak półmieszasza stojącego na straży konserwatywnych wartości.

Myślę, że ci, którzy zamierzali uciec ze swoich wspólnot, już dawno to zrobili. Radykalizacja postępuje od dawna: kiedyś można było być Republikani-

nem i jednocześnie mieć liberalne poglądy na temat dostępu do aborcji. Dziś to nie do pomyślenia. W wielu kongregacjach pozostali już tylko ludzie, którzy mają zbieżne spojrzenie na świat, co jeszcze bardziej pogłębia polaryzację. Jednocześnie te podziały wzmacniają pastory głoszący takie poglądy, jakie chcą od nich usłyszeć wierni.

Czy spotykał się Pan z naciskami, by mówić podczas kazań o Trumpie?

Nie, w naszym Kościele nie dotykamy tematów politycznych. Mamy zresztą różne poglądy w tej kwestii. Polityki unikają też Kościoły bezwyznaniowe, bo wiedzą, jak głęboko polaryzujący jest to temat. Jeśli spojrzeć na badania, tak naprawdę pastory chwalcą Trumpa to ekstremum. Większość stroni od mieszania się w politykę. Upolitycznienie idzie z dołu, od wiernych.

Przekonuje Pan, że przyrost nonów w USA wynika z ucieczki przed radykalizacją wspólnot ewangelikalnych, ale to liberalni protestanci głównego nurtu stracili w ostatnich dekadach najwięcej wiernych. Jak to wytłumaczyć?

To jest jedna z kwestii, która nam, badaczom, nie daje spokoju. W 1975 r. protestanci głównego nurtu stanowili około 30 proc. Amerykanów. Dziś to zaledwie 10 proc. Wydawałoby się, że rozczarowani radykalizacją umiarkowani chrześcijanie nie odejdą całkowicie od religii, tylko zasilą szeregi Kościołów protestanckich głównego nurtu. Tak się jednak nie stało.

TP ZA TYDZIEŃ W MAJÓWKOWYM „TYGODNIKU” DODATEK HISTORYCZNY



EMILIA SZCZANIECKA (1804–1896)

ROMANTYCZNA POZYTYWISTKA

- W jej życiu jak w lustrze odbija się polski wiek XIX: ziemianka, uczestniczka kilku powstań przeciw Rosji i Prusom, równocześnie uczestniczyła w pracy organicznej np. stowarzyszeń kobiecych. Dlaczego już za życia uważano ją za najważniejszą kobietę XIX-wiecznej Wielkopolski? Na to pytanie odpowiada historyk Marek Rezler.
- W swoich dawnych dobrach patronuje szkołom i ulicom. W tych wsiach i miasteczkach każdy ją pamięta. I jest to dobra pamięć. Reporter Stanisław Zasada pojechał przez Wielkopolskę śladem miejsc związanych z „panną Emilią”.

„Tygodnik” z dodatkiem w dystrybucji od środy 24 kwietnia.

POZnań*

WYDAWNICTWO
MIEJSKIE
POZNANIA

Dlaczego?

Mam dwie hipotezy. Protestanci głównego nurtu od dekad przyciągali starszych Amerykanów z wyższym wykształceniem, przez co niektórym trudno się było z nimi utożsamiać. Innym problemem jest też to, że ta grupa protestantów nie zbudowała tak silnego przekazu jak chrześcijanie ewangelikalni. Ci drudzy stosują retorykę „my kontra oni”: powtarzają, że w przeciwieństwie do innych nie oglądają pornografii, nie palą papierosów, nie przerywają ciąży i się nie rozwodzą. To świat jest zepsuty. Wiele Kościołów protestanckich głównego nurtu stroni od takiego moralizatorstwa: nie potępia picia alkoholu i szanuje środowiska LGBT. Z wizerunkowego punktu widzenia to nie jest tworzenie silnej marki, która odciłaby się od amerykańskiej kultury.

Kościół katolicki za to trzyma się mocno: pomimo serii skandali obyczajowych na przestrzeni dekad jego udział w społeczeństwie spadł nieznacznie do 23 proc. Dlaczego amerykańscy katolicy rzadziej porzucają religię?

Wiara katolicka bywa w USA elementem tożsamości kulturowej: jeśli ktoś ma korzenie włoskie, hiszpańskie czy irlandzkie, to będzie deklarował w sondażach, że jest katolikiem, choć tak naprawdę na co dzień ma z tą wiarą niewiele wspólnego. Sondaże pokazują, że odsetek katolików chodzących regularnie na msze spadł z 50 do 25 proc., ale liczba osób identyfikujących się z tym wyznaniem poleciała w dół tylko nieznacznie. Z tej perspektywy patrząc, być



ARCHIWUM PRYWATNE

RYAN BURGE – doktor politologii z Eastern Illinois University, analityk danych i badacz korelacji między religią i polityką, autor kilku książek, m.in. „The Nones” (Noni) i „20 Myths about Religion and Politics in America” (20 mitów na temat religii i polityki w Ameryce). Jego artykuły ukazywały się w „The New York Times”, „The Wall Street Journal” i „Politico”. Pastor kościoła baptystycznego First Baptist Church w Mount Vernon w stanie Illinois.

może nawet skandale w Kościele nie zdołały zachwiać katolicką tożsamością: ludzie przestali chodzić na msze i posyłać dzieci do szkół katolickich, ale nadal mówią, że są w głębi serca katolikami, bo np. ich prababcia była katoliczką.

Spójrzmy jeszcze na Afroamerykanów: już co piąty jest nonem – to czterokrotnie więcej niż w 1980 r. Z czego wynika ten wzrost? W czasach segregacji rasowej

kościół służył im nie tylko jako miejsce modlitwy, ale także społecznej wsparcia.

Obecnie w wielu amerykańskich środowiskach, a szczególnie wśród czarnoskórych, rośnie niechęć do instytucji. Ludzie są sceptyczni wobec rządu, banków, mediów i świata biznesu. Dodatkowo według niektórych czarnoskórych Kościoł zrobił niewiele, by walczyć z instytucjonalnym rasizmem. Afroamerykanie mają przy tym swoją specyfikę: jeśli odchodzą od religii, to niemal nigdy nie zostają ateistami lub agnostykami, bo to w ich społeczności temat tabu. Aż 90 proc. czarnych nonów należy do grupy tzw. *nothing in particular*. Jednocześnie zachodzi także inny proces: najbardziej religijni Afroamerykanie odwracają się od Partii Demokratycznej, bo ta ich zdaniem dryfuje za bardzo na lewo.

Pisze Pan, że 60 proc. nonów z grupy *nothing in particular* kiepsko zarabia, a zaledwie co czwarty ma wykształcenie wyższe. Ludzie odwracają się od Kościoła, bo są rozczarowani życiem w Ameryce?

Myślę, że wielu straciło złudzenia i nadzieję na lepsze życie. Globalizacja mocno poturbowała naszą klasę średnią: to nie są już czasy, gdy wystarczyło skończyć szkołę średnią, pójść do fabryki i żyć spokojnie z jednej pensji. Teraz to niemożliwe: zarobki nie nadążają za kosztami życia i zarabiać muszą dwie osoby w rodzinie. Ludzie czują się opuszczeni przez amerykańskie instytucje: rośnie w nich przekonanie, że ani rząd, ani Kościół nie dba o to, by im pomóc. W rezultacie →

rE-medium

rozwiązanie CMS dla małych i średnich wydawnictw prasowych

Poznaj nowoczesny projekt technologiczny Fundacji Tygodnika Powszechnego, wspierający suwerenność niezależnych polskich mediów:

re-medium.tygodnikpowszechny.pl



Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Iceland
Liechtenstein
Norway
**Active
citizens fund**

→ przestają się angażować w politykę, wycofują się z systemu edukacji i życia społecznego. Uznają, że im to nie służy.

Jak to: wycofują się z systemu edukacji?

Istnieje silna korelacja między zaufaniem a edukacją. Jeśli dogłębnie nie ufam ludziom, to wizja tego, że idę na studia, jest paraliżująca. Musiałbym przecież wtedy dzielić pokój ze współlokatorami, rozmawiać z kolegami z roku i wchodzić w interakcje z prowadzącymi zajęcia. Niektórzy nie są w stanie pokonać tego lęku, w efekcie pozbawiając się szans na awans społeczny.

Czy można przyjąć, że z biegiem dekad Ameryka stanie się bardziej ateistyczna? Młodzi częściej deklarują w sondażach, że całkowicie porzucili wiarę w Boga.

To prawda, że młodzi są bardziej skłonni do bycia ateistami, ale to nie są duże różnice: np. wśród starszych Amerykanów odsetek ateistów wynosi około 6 proc., a wśród młodych 8-9 proc. Choć na pewno należy się spodziewać, że im więcej osób będzie robiło *coming out* jako ateści lub agnostycy, tym większe będzie na to społeczne przyzwolenie.

Ile jeszcze musi minąć dekad, by brak wiary w Boga przestał być politycznym strzałem w kolano? Amerykanie prędeż zagłosowaliby w wyborach prezydenckich na geja, lesbijkę lub muzułmanina niż na ateistę.

Myślę, że póki żyję, to nie doczekamy się kandydata-ateisty. W Kongresie zapewne jest wielu polityków, którzy nie wierzą w Boga, jednak się do tego nie przyznają, bo boją się odstraszyć chrześcijańskich wyborców. Choć już więcej niż co czwarty Amerykanin jest nonem, to nadal jesteśmy głęboko religijnym społeczeństwem. Świadczy o tym chociażby przywiązanie do sloganu: „*God Bless America*” (Niech Bóg błogosławi Amerykę) i wspomnianej religii obywatelskiej. Nie sądzę, by to się zmieniło, nawet jeśli kościelne ławy opustoszeją. Amerykanie są zbyt mocno duchowi.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.



Kościół przestaje udawać, że ma odpowiedzi

ARTUR SPORNIK

Nowy dokument Watykanu o godności ludzkiej przynosi kilka rewolucyjnych nowości. I nareszcie potępia penalizację homoseksualizmu.

KARD. VÍCTOR MANUEL FERNÁNDEZ tym razem się nie pomylił i trafnie przewidział reakcje – zapowiedział, że dokument nie będzie kontrowersyjny. W każdym razie nie wywoła tyłu kontrowersji, co niedawno opublikowana instrukcja „*Fiducia supplicans*”, zezwalająca na błogosławienie m.in. par jednopłciowych.

Konserwatyści i liberałowie

Kontrowersji obawiano się zwłaszcza w środowiskach konserwatywnych – spodziewano się, że papież może dokonać gestu idącego jeszcze dalej niż błogosławienie homoseksualistów. Dlatego

gdy Watykan opublikował deklarację o ludzkiej godności „*Dignitas infinita*”, konserwatyści przyjęli ją z dużą ulgą – w pierwszych komentarzach uznano wręcz, że to nowy doktrynalny młot na liberałów (najwyraźniej dość pobieżnie zapoznając się z tekstem).

Środowiska liberalne też z niepokojem oczekiwały długo zapowiadanego dokumentu, który miał traktować m.in. o teorii gender. Pamiętano ostre i niefortunne wypowiedzi Franciszka na ten temat. Przypomnijmy ostatnie: 1 marca papież nazwał gender „brzydką ideologią, która przekreśla różnice”, a w przemówieniu do korpusu dyplomatycz-



ANTONIO MASTIELLO

Demonstracja homoseksualnych matek, które domagają się uznania swoich praw do wychowywania dzieci. Watykan, 3 sierpnia 2023 r.

długo trwały prace, ile dramatycznych zwrotów akcji się w tym czasie dokonało (łącznie z wyrzucaniem gotowych projektów do kosza), wreszcie – dlaczego i czym uzupełniano zauważone braki.

Do tej pory zawsze otrzymywaliśmy gotowy „produkt”, najczęściej prezentowany jako oczywiste następstwo dotychczasowego nauczania i doskonałej współpracy z Duchem Świętym, gwarantującym nieomyślność Kościoła (nieważne, jakiej dogmatycznej rangi byłby to dokument).

Politykę „pewności siebie” umożliwiła tajemnica papieska nakładana na redaktorów, za złamanie której groziła nawet ekskomunika, którą zdjąć może tylko papież. Dla dociekających prawdy dziennikarzy archaiczna instytucja tajemnicy papieskiej to prawdziwa z mora, a dla Watykanu wygodne narzędzie unikania niewygodnych pytań i odpowiedzialności konkretnych hierarchów za publikowane „niewypały”.

To wszystko zostało przekreślone 8 kwietnia i doceniemy ten rewolucyjny krok. Co prawda krótki wstęp autorstwa kard. Fernándeza – ukazujący kontekst powstawania dokumentu – zamieszczony został również w instrukcji „Fiducia supplicans”, więc mamy do czynienia zapewne z nowym zwyczajem wprowadzonym przez prefekta mianowanego przez papieża 1 lipca 2023 r., niemniej dopiero przy deklaracji o ludzkiej godności widać zmianę nastawienia Watykanu na dużo większą transparentność kosztem pudrowanego do tej pory wizerunku nieomyślnej instytucji.

Proces dojrzewania

Prefekt Dykasterii Doktryny Wiary we wstępie do deklaracji „Dignitas infinita” wprost przyznaje, że pierwszy projekt dokumentu, „opracowany z pomocą ekspertów w 2019 r.”, został uznany „za niezadowolający” przez konsultorów wtedy jeszcze Kongregacji i odrzucony. Kolejny był kilkakrotnie przerabiany, m.in. w styczniu 2022 r. członkowie Kongregacji skrócili i uprościli tekst. Dykasteria zatwierdziła go dopiero w maju 2023 r.

To wszystko działo się jeszcze za czasów, gdy jej prefektem był dość zachowawczy kard. Luis Ladaria. W listopadzie Franciszek poprosił nowego prefekta „o podkreślenie w tekście kwestii ściśle związanych z tematem godności, takich jak dramat ubóstwa, sytuacja migrantów, przemoc wobec kobiet, handel ludźmi, wojna i inne”. Oznacza to, że przedłożony papieżowi tekst ograniczał się do wąskiej i znanej z innych tekstów doktrynalnych perspektywy: godność ludzką narusza aborcja, eutanazja i samobójstwo wspomagane oraz macierzyństwo zastępcze, a z nowych tematów poruszono tylko teorię gender i korektę płci. Tekst właściwie przeredagowano od nowa – zatwierdzony został przez Franciszka ostatecznie 25 marca 2024 r.

Aż pięcioletni okres redakcji kard. Fernández tłumaczy tym, że temat „wymagał znaczącego procesu dojrzewania”, i zastrzega, że dokument nie jest wyczerpujący.

Nowe podejście i język

Za takim podejściem: zdecydowaliśmy się opublikować, ale to nie wyczerpuje tematu (w domyśle: można by więcej, trafniej, lepiej, ale teraz jeszcze tego nie potrafimy) – idzie nowy język, pozbawiony doktrynalnej sztywności. Komentator amerykańskiego konserwatywnego portalu National Catholic Register co prawda chwali tekst za „częste odniesienia do Jana Pawła II, Benedykta XVI i Pawła VI” (dotychczasowe dokumenty Kongregacji „ograniczały się prawie wyłącznie do cytowania Franciszka”), ale gani za brak odwołania do najważniejszej dla doktryny moralnej encykliki Jana Pawła II „Veritatis splendor”, która „broniła absolutów moralnych”. Zauważa też nieobecność dotychczasowej terminologii teologiczno-moralnej, na czele z kategorią „czynów wewnętrznie złych”.

O języku nowego dokumentu można powiedzieć jeszcze więcej. Komentator NCR nie zauważa np., że w kontrowersyjnym i skomplikowanym temacie korekty płci Dykasteria nie zdecydowała się na jednoznaczne rozstrzygnięcie. Dokument nie stwierdza, że każda taka operacja jest moralnie zła, mówi natomiast, że „każda operacja zmiany płci co do zasady jest ryzykiem zagrażającym wyjątkowej godności, jaką dana osoba otrzymała od momentu poczęcia”. W teologii moralnej →

nego na początku roku mówił o „nikczemnej ścieżce kolonizacji ideologicznej”. Tymczasem już po kilku dniach po publikacji „Dignitas infinita” raczej liberalny w poglądach jezuita Thomas Reese pisał, że „nowy watykański dokument łączy nowoczesną transparentność z odwiecznym nauczaniem”.

To, co się wydarzyło 8 kwietnia, wymyka się zatem prostemu podziałowi na konserwatywne-liberalne. Odwołam się do innego kryterium. Spróbuję pokazać, co jest w tym dokumencie zupełnie nowego. A takich spraw znajdziemy tu co najmniej trzy. Pierwsza dotyczy nowości doktrynalnej: po raz pierwszy Kościół oficjalnie wypowiedział się przeciwko penalizacji homoseksualizmu – to ważny krok, choć o wiele lat spóźniony. Drugą ważną nowością jest inny niż do tej pory język, którym mówi się o etycznych wymaganiach. Wreszcie trzecią jest cały wstęp do deklaracji, w którym prefekt Dykasterii Doktryny Wiary szczegółowo przedstawia aż pięcioletnie perturbacje związane z redakcją dokumentu.

Redakcyjne meandry

Nie zdarzyło się jeszcze, by autorzy jakiegokolwiek watykańskiego dokumentu podczas jego prezentacji ujawniali, jak

→ między czynem moralnie złym a czynem ryzykownym jest jakościowa różnica.

Oczywiście w wielu kwestiach deklaracja jest jednoznaczna: potępia eutanazję, macierzyństwo zastępcze, aborcję (akapit poświęcony aborcji to prawie wyłącznie zestaw cytatów z Jana Pawła II i Franciszka), ale także przemoc wobec kobiet, handel ludźmi czy cyberprzemoc.

W dołączonym komentarzu/wstępie kard. Fernández tłumaczy, dlaczego w deklaracji znalazł się taki, a nie inny zestaw tematów. Deklaracja obejmuje „dokładnie te tematy, które pozwalają wyrazić różne aspekty ludzkiej godności, mogące być dziś przyćmione w świadomości wielu ludzi”. I dopowiada: „Niektóre z nich są łatwo akceptowalne dla różnych sektorów naszych społeczeństw, inne mniej”.

To znaczy: zdajemy sobie sprawę, że jedni przyjmą ochoczo takie ujęcia rozstrzygnięć, jakie proponujemy w deklaracji, innym będzie trudno.

Troska o homoseksualistów

Zdecydowanie najważniejszą doktrynalną nowością tego dokumentu jest potępienie penalizacji homoseksualizmu. Wielokrotnie podczas długiego pontyfikatu Jana Pawła II, gdy w Iranie czy Arabii Saudyjskiej odbywały się egzekucje osób przyłapanych na stosunkach homoseksualnych, organizacje praw człowieka zwracały się z apelami do Watykanu o interwencję. Bezskutecznie. Jan Paweł II najwyraźniej bał się stanąć w ich obronie, by nikt takiego wsparcia nie odczytał jako moralnej akceptacji praktyk homoseksualnych, których był zdecydowanym krytykiem. Można pytać, czy wyżej stawiał surowe świadectwo „moralne” nad dramat konkretnych ludzi.

Franciszek nie zmienił nauczania na temat homoseksualizmu, ale wielokrotnie dawał świadectwo swojej bliskości wobec konkretnych osób i ich życiowych sytuacji. Była zatem najwyższa pora, by przerwać niezrozumiałe i gorszące milczenie Kościoła na temat penalizacji homoseksualizmu.

Deklaracja tym tematem rozpoczyna najbardziej kontrowersyjny rozdział poświęcony teorii gender (by od razu zrobić dobre wrażenie?). Najpierw znaj-

dujemy cytaty z Katechizmu Kościoła Katolickiego z niefortunnym wyrażeniem o „niesłusznej dyskryminacji” (sugerującym, że istnieje dyskryminacja „słuszna”): „Kościół pragnie przede wszystkim potwierdzić, że każda osoba, niezależnie od swojej skłonności seksualnej, musi być szanowana w swej godności i przyjęta z szacunkiem, z troską, by uniknąć »jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji«, a zwłaszcza wszelkich form agresji i przemocy”. I z tego stwierdzenia wyprowadza nową normę: „należy potępić jako sprzeczny z ludzką godnością fakt, że w niektórych miejscach niemało osób jest więzionych, torturowanych, a nawet pozbawianych życia wyłącznie z powodu swojej orientacji seksualnej”.

Tę nową normę prefekt Dykasterii Nauki Wiary przypieczętował stwierdzeniem, wypowiedzianym podczas prezentacji dokumentu: „Dziwiu mnie ci katolicy, którzy błogosławią prawa przeciwko homoseksualistom”.

Za praktykowanie homoseksualizmu idzie się do więzienia aż w 70 krajach świata – w 12 wciąż grozi za to kara śmierci. Polska zniosła penalizację już w 1932 r. jako jeden z pierwszych krajów.

Kłopot z ludzką naturą

Koncepcja godności ludzkiej zakłada, że dobrze znamy ludzką naturę – potrafimy precyzyjnie wskazać, co ją konstytuuje, bo dopiero wiedząc to, wiemy, co jest dla człowieka dobre, a co złe, i możemy oceniać, co wspiera godność ludzką, a co ją przekreśla. Rozwój wiedzy podważył naszą pewność wobec wielu przez wieki „oczywistych” prawd. Wiemy dziś, że np. natura ludzkiej seksualności jest o wiele bardziej skomplikowana niż prosty podział na dwie „komplementarne” płcie.

Do niedawna wobec tych wyzwań Magisterium Kościoła udawało, że żadnych problemów nie ma. Franciszek porzucił strategię robienia dobrej miny do fatalnej gry. Wybrał Fernández na prefekta najważniejszej dykasterii, by Kościół przestał udawać, że ma odpowiedzi na każde trudne pytanie. To nie jest słabość (którą konserwatyści zarzucają obu), tylko... realizm.

© P. ARTUR SPORNIAK

Przypowieść o przyszłości

PIOTR POPIOŁEK

W „Diunie” wątek polityczny nierozzerwalnie spleta się z wizją wzorcowej religii przyszłości – w pełni inkluzywnej, etycznej, racjonalnej i ekumenicznej. Ale wiele też mówi o niebezpieczeństwie łączenia religii i gry politycznej.

FUTURYSTYCZNA POWIEŚĆ FRANKA HERBERTA, której akcja toczy się głównie na pustynnej planecie Arrakis w jedenastym millenium, stała się jednym z największych klasyków gatunku *science fiction*, będąc tym, czym „Władca pierścieni” Tolkiena jest dla gatunku *fantasy*.

Herbert, pisząc „Diunę” sześć dekad temu, zaznaczał, że jest przede wszystkim dziennikarzem i jego zadaniem jest dokonywanie obserwacji świata oraz zadawanie niewygodnych pytań. Chciał naświetlać to, o czym inni nie mieliby odwagi napisać. „Moje książki zawierają przekazy, które uważam za istotnie odnoszące się do naszej dzisiejszej sytuacji” – wyjaśniał. Możemy więc sprawdzić, co „Diuna” mówi o relacji między polityką a religią.

Dziedzic rodu

Adaptacja autorstwa Denisa Villeneuve’a jest kolejną próbą przełożenia tej monumentalnej historii na wielki ekran. Villeneuve zaczytywał się w powieści Herberta od dziecka, jako nastolatek tworzył do niej storyboardy. Druga część jego filmu, dostępna właśnie w kinach, kontynuuje historię Paula Atrydy (granego przez Timothée Chalameta) po tym, jak jego ród został niemal doszczętnie wybity przez Harkonnenów. Atrydzi padli ofiarą intrygi na imperialnym dworze.

W świecie Diuny galaktyczne Imperium ludzi rozrosło się przez millenia dzięki dostępowi do „przyprawy” (czy „melanzu”), psychoaktywnej substancji



NIKO TAVERNISE / MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS

Rebecca Ferguson jako Lady Jessica. „Diuna”, cz. 2, reż. Denis Villeneuve, 2023 r.

występującej wyłącznie na pustynnej planecie Arrakis (o rodzimej nazwie Diuna). Przyprawa jest cenna, ponieważ pozwala na podróże międzygwiazdne. Monopol na nią ma jednak Gildia Kosmiczna. Na czele świata stworzonego przez Herberta stoi Imperator i to jemu poddane są wszystkie rody zarządzające planetami.

Ród Atrydów, który staje się coraz bardziej wpływowy i ceniony w Imperium, stanowi polityczne zagrożenie dla Imperatora, który podstępnie podarował mu w lennie Arrakis, co nie spotkało się z życzliwością Harkonnenów, bogactwem się dotychczas na handlu przyprawą. Z błogosławieństwem Imperatora i przy użyciu jego prywatnej armii Sardaukarów, Harkonnenowie odbijają planetę, wybijając przy okazji kłopotliwy ród.

Tak przynajmniej mogło się im wydawać, gdyż Paul, będący dziedzicem rodu, razem z matką wymyka się zabójcom na pustynię, znajdując pomoc u Fremenów, lokalnego ludu żyjącego od wieków na zarządzanej przez nich planecie. Fremenowie nauczyli się żyć w symbiozie z lokalnym surowym ekosystemem i siejącymi zniszczenie gigantycznymi czerwiami, poruszającymi się pod piaskiem pustyni. Paul postanawia stać się częścią nowej, obcej wspólnoty, która początkowo nie chce go zaakceptować.

Złota Ścieżka

W tle konfliktów pomiędzy zarządcami Arrakis i rdzennymi Fremenami kryją się

jeszcze inne, bardziej wyrachowane siły. Wspomniana Gildia Kosmiczna z pozoru jest neutralna politycznie, ale to jej decyzje są kluczowe ze względu na monopol na podróże międzyplanetarne. Jest jeszcze tajemniczy żeński zakon Bene Gesserit, który pozostając w cieniu, zarządza Imperium poprzez swoje wpływy na polityków i religię.

Członkini zakonu, nazywane złośliwie czarownicami, kojarzą poszczególne rody poprzez eugenikę i dalekowzroczne planowanie drzew genealogicznych. Nic nie uchodzi ich wiedzy, posiadają parapsychiczne zdolności, dzięki którym mogą zmusić każdego do bezwolnego podporządkowania się ich woli.

Celem Bene Gesserit jest pilnowanie, by ludzkość rządziła galaktyką. Ich eugeniczny plan przewiduje narodzenie Kwisatz Haderacha, mężczyzny Bene Gesserit, nadczłowieka, który wprowadzi ludzkość na Złotą Ścieżkę. Bene Gesserit planowały, by był to mężczyzna zrodzony z córki księcia Leto Atrydy (ojca Paula) i mężczyzny rodu Harkonnenów – co miało zgasić wieloletni spór między rodami. Lady Jessica (Rebecca Ferguson), członkini Bene Gesserit, urodziła jednak Leto syna – Paula.

Mamy we wszystkich przedstawionych tu wątkach odniesienia do ekologii, kolonizacji i ekonomicznego drenowania globalnego Południa. W takiej sytuacji to często wiara, religijny ferment, daje ludziom wytchnienie i spokój ducha. Jesz-

cze na początku XX w. wykorzystywano w końcu misje ewangelizacyjne, by tonować lokalne nastroje (stąd np. w Piśmie Świętym przeznaczonym dla niewolników brakowało „niebezpiecznych” treści, jak wyzwolenie z Egiptu, osiem błogosławieństw czy niektórych fragmentów listów Pawłowych). Nie dziwi, że Herbert oparł fabułę „Diuny” na takich właśnie obserwacjach, a Villeneuve je w swoim filmie uwzględnił.

Fremeńska religia

Z drugiej części sagi dowiadujemy się o wiele więcej na temat Fremenów, ich społeczności i religii. Można tu mówić o specyficznej religii mesjanistycznej, szczególnie charakterystycznej dla ludności, która jest ciemniejsza i żyje w wyjątkowo nieprzyjawnym środowisku. Nie dowiadujemy się od Villeneuve’a za wiele o teologii religii Fremenów – więcej jest tutaj „teologii politycznej”.

Fremenowie modlą się jak muzułmanie, niewiele wiemy natomiast o innych religijnych praktykach. Więcej dowiadujemy się o rytuałach pogrzebowych, sakralnej funkcji wody, która jest źródłem życia i zostaje odzyskiwana po śmierci. W siedzibach Fremenów, siczach, są gigantyczne zasoby wody odzyskiwanej ze zmarłych, otoczone ścisłym tabu. Jest to woda, której nie można spożywać, zachowywana z myślą o przyszłości – Raju.

Z filmu nie dowiemy się, jak narodziła się religia na Arrakis, mimo że Herbert →

→ mocno rozwijał te wątki, przywołując zarówno historyczne postacie religijne, jak i święte teksty. Villeneuve woli się skupić na estetycznej i politycznej funkcji religii. W powieści Wellington Yueh podarowuje młodemu księciu Biblię protestancko-katolicką (w oryginale *Orange Catholic Bible*), zmienioną wersję dzisiejszej Biblii. Stanowi ona podstawę nauki oficjalnej religii Imperium. Jest to, by tak rzec, wzorcowa religia przyszłości – w pełni inkluzywna, etyczna, racjonalna i ekumeniczna. Religia Fremenów pochodzi z kolei z odłamu sunnickiego islamu z naleciałościami buddyzmu zen.

Woda życia

Ważną rolę w religii Fremenów odgrywają czerwie Diuny. Szej-hulud jest istotą świętą (dosłownie z arabskiego „rzecz nieśmiertelności”), ale też stwórcą życia. Jest kluczowy dla ekosystemu Arrakis, bowiem Fremen pozyskują z młodych czerwów wodę życia niezbędną dla ich rytuałów. Czerwie żyją tylko na pustyni, co zdradza pewien paradoks w religii fremeńskiej: dwa kluczowe elementy dla przeżycia ich społeczności – woda i czerw, wykluczają się. Zatem „woda życia” pozyskiwana z czerwów będzie musiała zostać w Raju zastąpiona przez inną wodę.

Woda jest śmiercią boga. Ale też ze śmierci boga powstaje „woda życia”, dzięki której Lady Jessika zostaje Wielebną Matką, a Paul potrafi zapanować nad swoimi wizjami. „Woda życia” to płyn o silnych narkotycznych i psychoaktywnych właściwościach, który pozwala bohaterom uzyskać niezwykle zdolności.

Dzięki niemu członkinie zakonu Bene Gesserit pozyskują pamięć wszystkich ży-

Paul jest szamanem i tricksterem – człowiekiem, który nie podlega prawom rządzącym światem.

Jest postacią ambiwalentną i niejednoznaczną, symbolem swoich czasów.

jących wcześniej kobiet. Woda życia jest jednak trująca dla zwykłego człowieka, a zwłaszcza mężczyzn, którzy nie są wystarczająco silni, by ją przyswoić. Tylko odpowiednio wyszkolone kobiety mają szansę przeżyć tę próbę.

Dylematy Paula Atrydy

Już w pierwszej części „Diuny” dowiedzieliśmy się, że Paul wymyka się dualistycznym normom. Był szkolony w drogach Bene Gesserit przez swoją matkę i przeżył próbę Gom Jabbar, którą mogą przetrwać tylko kobiety.

Posługując się terminologią religioznawczą, można powiedzieć, że Paul jest tricksterem – człowiekiem, który nie podlega ustalonym prawom rządzącym światem. Jest postacią ambiwalentną i niejednoznaczną. Łączy w sobie przeciwności – cechy męskie i kobiece, jest przedstawicielem wysokiego rodu oraz kolonizatorem. Staje się Fremenem, który walczy o wyzwolenie ludu spod jarzma Imperium, ostatecznie sam stając się Imperatorem. Będąc obcym, staje się mesjaszem Diuny, zarówno Atrydą, jak i Harkonnenem. To klasyczny wzór

szamański i idealny kandydat na zbawiciela. Może być jednocześnie Mahdim i Kwisatz Haderach.

I chociaż sam Paul początkowo ucieka przed swoim przeznaczeniem, niektórzy bardzo wcześnie widzą w nim przepowiedanego Mahdiego i próbują przekonać do swojego zdania innych członków fremeńskiej wspólnoty. Młoda Chani jest bardziej sceptyczna. Mamy tutaj zarysowany klasyczny konflikt pokoleń. Jedni i drudzy pragną wyzwolenia – starzy uważają, że jest ono nierozdzielne od tradycyjnych wierzeń, a młodzi, bardziej pragmatyczni i przekonani o fanatyzmie ojców, pragną wyzwolenia poprzez walkę. Paul jest uwięziony między dwoma światami i przerażony potencjalnym przeznaczeniem.

Polityczna gra

Kluczowa przemiana odbywa się dopiero po spożyciu przez niego wody życia. Paul, jak prawdziwy szaman, przeżywa własną śmierć i powraca do żywych odmieniony. Nie jest już zwykłym księciem z rodu Atrydów, który stał się jednym z wielu Fremenów. Zdaje sobie sprawę, że jest Lisanem al Gaibem. Z adepta drogi Bene Gesserit wkracza na ścieżkę Kwisatz Haderacha. Religia okazuje się ważnym impulsem wyzwoleniczym, tyle że Fremen w tym wszystkim wydają się tracić swą podmiotowość. Dzięki Paulowi odzyskują ziemię, ale stają się narzędziem w grze politycznej wysokich rodów.

Paul, wyzwalając Fremenów od Imperium, sam wybiera rolę Imperatora. Po przyjęciu wody życia uzyskuje pamięć genetyczną poprzednich pokoleń, co pozwala mu lepiej widzieć przyszłość. Kosmary i sny, dotąd niewyraźne, stają się zrozumiałe. Zaczyna widzieć siebie w roli mesjasza. Religia i polityka mocno się w tym wymiarze ząbają. Być może za mocno.

Villeneuve i Herbert ukazują niebezpieczeństwo łączenia religii i gry politycznej. Wyczekiwany mesjasz, który staje się figurą polityczną, zaczyna być nieprzewidywalny. Nietrudno w kreacji Chalameta dostrzec odniesienia do wydarzeń z naszych czasów – fanatyzmu religijnego, który pomimo triumfu modernizmu i świeckości, wciąż czai się w cieniach społeczności. Język religijny pobudza nadzieje i podsyca pragnienia. Dziwne byłoby, gdyby zaniknął w jedynym milenium – o ile oczywiście ludzkość przetrwa.

© PIOTR POPIOLEK

W dniu 5 kwietnia 2024 zmarła

ś.†p.

Jadwiga Zygmunt
z domu Warzel

urodzona 13 października 1928 w Gorlicach,
starsza specjalistka Zakładu Biologii Wód PAN w Krakowie.
Została pochowana na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

CÓRKA, SYN, WNUKI I RODZINA

POŻEGNANIE

ZUZANNA

Radzik: Kobiety dla ozdoby



GUBERNATORKA POŁUDNIOWEJ DAKOTY ZMieniła wygląd. Teraz długie włosy układa żelazkiem w miękkie loki, dokleja gęste i podkręcone rzęsy, nosi niebieskie, dopasowane garsonki, wyglądając jak inne kobiety ze świata Donalda Trumpa. Poprawiła zęby, żeby mieć piękny uśmiech. O Trumpie wiadomo, że lubi, gdy „kobiety ubierają się jak kobiety”. Na łamach „New York Timesa” Samantha N. Sheppard, profesorka z Uniwersytetu Cornell, komentuje wręcz, że gubernatorka stała się perfekcyjnym ornamentem dla Trumpa i doszłusowała do ideału „białej kobiecości w stylu Miss America”, który reprezentuje tyle kobiet w jego otoczeniu, jak również w telewizji Fox News. Całym swoim wyglądem oznajmia teraz, że jest częścią jego ekipy, że nie rzuci mu wyzwania, lecz będzie wspierać. I wiecie, co się stało? Zauważył, wyróżnił wspólnym wejściem na scenę i jeszcze powiedział, że jest piękna. A ona odpowiedziała uśmiechem.

Czemu akurat historia trumpizacji wyglądu Kristi Noem, w sumie mało zaskakująca i interesująca z polskiej perspektywy, tak przykuła moją uwagę podczas porannej prasówki? Może dlatego, że podobne zjawisko mniej lub bardziej wyrazistej kobiecej subordynacji jest tak powszechne. Performowanie kobiecości, która uchodzi, bo się ubiera i wyraża jak trzeba, znamy przecież aż za dobrze. Tak bywa w polityce, tak bywa też w Kościele. Kobiety reprezentujące kobiecość, która sygnalizuje, że nie zagrazi status quo, są mile widziane. Stają się przydatnym ornamentem. Te komunikujące chęć zmiany porządku stanowią zagrożenie.

Okazało się, że w Sejmie jest miejsce dla kobiet, które mówią swoim głosem o doświadczeniach kobiet, a nawet o własnych doświadczeniach związanych z aborcją. Okazało się, że da się wypowiedzieć bez wstydu słowa o konieczności bezpiecznej, legalnej i dostępnej aborcji. Nawet konserwatywna polityczka Karina Bosak mówiła na ten temat z perspektywy kobiet i ich wyborów, choć dochodząc do innych wniosków. Zatem w polityce kobiety stać na swój głos. Czy w Kościele jest przestrzeń,

żeby kobiecy głos mógł wybrzmieć w całości i w wolności? Nie łąsząc się do męskich przywódców, nie przebijając w stroje, które tamci zaakceptują? Czy można gdzie indziej niż w akademickich badaniach (a i to nie na polskich wydziałach teologii) oraz w reportażach i publicystyce usłyszeć katolicką taką, jaka jest? Z całą paletą prawdziwych doświadczeń i prawdziwych dylematów, jakie przed nią stają?

Piszę to, wspominając rok 2020, protesty przeciw decyzji Trybunału Konstytucyjnego i głosy kobiet, które wybuchły po raz pierwszy tak mocno. Sama dostawałam takie wiadomości, osobiste bardzo, o aborcjach katoliczek. O modlitwie przed procedurą, o samotności tego doświadczenia. I jego niewypowiedzeniu.

O samotności i niewypowiedzeniu doświadczeń czytałam też ostatnio u noblistki Annie Ernaux, precyzyjnie dobierającej słowa, by opowiedzieć swoją aborcję z 1963 r. Tym, co jednak najbardziej zapamiętałam z jej książki, była uwaga z kolejnego tekstu, opowiadającego historię jej wielkiego zakochania w 1958 r. Dumając nad tamtą dziewczyną, Ernaux przywołuje historię romansu Violette Leduc z murarzem, kiedy pisarka doświadczyła pierwszego w pięćdziesięcioletnim życiu orgazmu. Jej cierpienia w czasie rozpadu związku opisywane są w listach do Simone de Beauvoir. Ernaux czyta, wstrząśnięta paralelną samotnością w tym samym roku 1958, i czuje, jakby wtedy była „mniej samotna i zrozpaczona, a niemal wręcz ocalona dzięki temu, że te kobiety – nie znała wtedy nawet ich nazwisk – w tym samym czasie tkwiły w kompletnym opuszczeniu” („Ciała”, s. 156). To niby inny gabaryt doświadczeń, ale ostatecznie chodzi o to, czy własne doświadczenia można rozpoznać, czy są reprezentowane w literaturze, filozofii, kulturze. I teologii także. Czy zostają wypowiedziane, a dzięki temu możemy znaleźć ulgę w podobieństwie, oraz czy wyrażone, pozwalają literaturze lub teologii zakorzenić się w prawdzie życia.

Zanim wieczorami odpoczywam przy lekturze Ernaux, czytam ostatnio sporo o tym, jak robimy teologię, jak korzystamy z jej źródeł i jakim elementem tego procesu jest doświadczenie. Najbardziej frapuje mnie, co się dzieje, jeśli doświadczenie konfrontuje nas z religijną ortodoksją. Teologia feministyczna nie może uniknąć tego zderzenia doświadczenia i ortodoksji, bo gdy kobiety uwierzą w pełnoprawność swoich doświadczeń, zwłaszcza swoich doświadczeń w ciele, mogą zacząć opowiadać o Bogu jakoś inaczej. W każdym razie inaczej niż mówiono przez 1900 lat: męskim głosem. Przestają wtedy być ornamentem, nie pragną być w czyjejs drużynie. Reprezentują siebie. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

CZYTAJ
I ROŚNIJ
Z NAMI

Tu kobiety opowiadają świat

Patrycja Bukalska
SZKOCJA

Anna
Łabuszewska
ROSJA

Antonina Palarczyk
UKRAINA

KATOLICY NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Być katolikiem w Rosji nie jest dziś łatwo.
Od inwazji na Ukrainę Kreml szuka wewnętrznego wroga,
w co katolicy wpisują się idealnie.
Zapytaliśmy ich, jak żyją w kraju Putina.

FILIP RUDNIK

GRUPA LUDZI PODNOSI TRANSPAREN-
ty – w tle za nimi widnieje cegla-
ny gmach. „Precz z Sodomą!”, „Tradycyj-
ne wartości to warunek suwerenności!”,
„Nasz kraj, nasze wartości!” – głoszą hasła.

O dziwo, tym razem protestujący nie
gromadzą się przed ambasadą zachod-
niego kraju ani przed lokalem społecz-
ności LGBT. Banery wystawili przed ka-
toliczną katedrą Niepokalanego Poczęcia
Najświętszej Maryi Panny w Moskwie.
Uczestnicy dzierżą w dłoniach flagi z po-
marańczowo-czarnymi pasami. To kolory
tzw. wstążki świętego Jerzego, symbol ro-
syjskiego imperializmu.

Zdjęcie z protestu opublikowano na in-
ternetowej grupie dla rosyjskich katoli-
ków. Sądząc po ujęciu i dołączonym ko-
mentarzu, uczestników nie było wielu.
Manifestacja odbyła się w styczniu. Au-
tor posta, Rosjanin, zwraca uwagę, że de-
monstracja była chroniona przez policję.
Relacjonuje, że manifestanci pytali wcho-
dzących do świątyni, co myślą o tym, że

„papież udziela błogosławieństw parom
tej samej płci”.

Miesiąc później demonstranci zgroma-
dzili się znów przed tym samym kościo-
łem, tylko już znacznie liczniejsi. Mieli
nagłośnienie, co pozwalało im wykrzy-
kiwać hasła; domagali się np. wyboru
„rosyjskiego papieża”. Na opublikowa-
nych w internecie nagraniach można
dostrzec, że tłumowi towarzyszą prowo-
jenne emblematy, np. złowieszcze litery
„Z”, a także flagi sowieckie. Manifestację
zorganizowała ultraprawicowa organiza-
cja Ruch Narodowo-Wyzwolenczy.

Wewnętrzny wróg

Fakt, że demonstracja przed katolickim
kościółem miała ochronę policji, jest tu
symptomatyczny – oznacza bowiem, że
inicjatywa uzyskała błogosławieństwo
władz bądź była przez nie inspirowana.
Bez takiej co najmniej aprobaty organiza-
cja jakiegokolwiek wystąpienia jest dziś
w Rosji niemożliwa.

Te antykatolickie manifestacje nie
wzięły się znikąd. Jak tłumaczy w roz-
mowie z „Tygodnikiem” rosyjski katolik
świecki zaangażowany w życie Kościoła,
rozbudzanie podobnych nastrojów speł-
nia określoną funkcję. – W ten sposób
wytraca się społeczną energię na szuka-
niu wewnętrznego wroga. Oddala się
uwagę ludzi od problemów związanych
ze stanem gospodarki czy wojną – tłum-
aczy Rosjanin. Nazwijmy go Wasilijem.

– Nagonka na katolików wpisuje się
przy tym w propagandową teorię, że
w Rosji nadal funkcjonują organizacje,
które działają dla zewnętrznych moco-
dawców – mówi Wasilij. – Tu pojawia
się zwykle postać papieża Franciszka,
którego wypowiedzi są u nas odczyty-
wane jako proukraińskie. Do tego jesz-
cze narracja, jakoby tylko w Rosji zacho-
wywano tradycyjne wartości, a ludzie na
Zachodzie już dawno o nich zapomnieli.

Rosjanin przytacza szereg incydentów,
których ofiarami paść mieli rosyjscy kato-





SEFA KARACAN / ANADOLU / EAST NEWS

Katolicy po mszy w moskiewskiej katedrze Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, grudzień 2023 r.

licy. Np. podczas manifestacji – organizowanych zwykle przez ruchy marginalne, ale głośne – wiernym blokuje się wejście do świątyń, nierzadko kierując do nich obraźliwe hasła.

Trend wyznaczają osobistości ze świata politycznego. W grudniu 2022 r. jeden z deputowanych rosyjskiego parlamentu wysunął koncepcję delegalizacji Kościoła katolickiego w Rosji jako struktury rzekomo wspierającej faszystów. Antykatolickie wystąpienia ma też Władimir Solowjow, naczelny luminarz kremłowskiej propagandy.

Zmuszeni do wyjazdu

Atmosfera nagonki sprzyja intensyfikowaniu nadzoru – zwłaszcza nad katolikami duchownymi, których uznaje się za „agentów wpływu”.

„Tygodnikowi” udało się porozmawiać z dwoma z nich. Jeden jest w Rosji, drugi pracował tam, ale został już zmuszony do wyjazdu. Ich imiona zostały zmienione.

Ten drugi – nazwijmy go Janem – mówi, że od momentu rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r. z Rosji wyjechało kilku księży katolickich. W tym co najmniej trzech zostało formalnie deportowanych.

Każdy z tych wyjazdów był na swój sposób unikatowy – różniły się między sobą stopniem zaangażowania aparatu państwa. Bywało, że któremuś z księży po prostu nie przedłużono wizy, zmuszając tym do opuszczenia Rosji. Ale były też przypadki bardziej dramatyczne.

– Był taki jeden ksiądz, Ukrainiec. Bardzo oddany parafianom – wspomina Jan. – Po wybuchu wojny, kiedy sytuacja zaczęła się zaogniać, wraz z biskupem podjął decyzję o wyjeździe. Nie było po co ryzykować. Propaganda była tak silna, że pewnego dnia podeszła do niego parafianka, starsza kobieta, i zapytała: „Dlaczego ksiądz nas tak nienawidzi?”. To było dla niego bolesne.

Deportowany w kajdankach

Innego księdza, Amerykanina, dosłownie wyrzucono z Rosji. Podczas jego posługi starano się go sprowokować: nieznani ludzie – najprawdopodobniej funkcjonariusze tajnej policji – chodzili za nim, kręcili filmy i publikowali je w internecie. Jak relacjonuje ksiądz Jan, duchownego w końcu aresztowano. Zwolniony po interwencji biskupa, na pokład samolotu odlatującego do Turcji prowadzony był jak terrorysta, w kajdankach.

Zdaniem księży, z którymi kontaktował się „Tygodnik”, sytuacja duszpasterzy uległa znacznemu pogorszeniu po rozpoczęciu inwazji.

Wcześniej ich praca nie wiązała się z tak wieloma niebezpieczeństwami. Jan wspomina, że przed 2022 r. utrudnienia dla duchownych brały się z wymagań biurokratycznych dla organizacji pozarządowych. Twierdzi, że wszystko to mieściło się jednak „w granicach przyzwoitości”.



→ Z chwilą inwazji księży zrozumieli, że muszą mieć się na baczności. Ze są pod większą obserwacją.

Odgórne polecenie

– Nie traktuję tego personalnie – mówi o swojej deportacji ksiądz Jan. – Zresztą kilku parafian powiedziało mi wprost: „Wy, *otiec*, nawet nie myślcie, że wyrzucają was dlatego, że jesteście tacy ważni. Nie wy, to ktoś inny”.

Wasilij uważa, że takie sprawy stanowią po prostu prawną podkładkę dla pozbycia się niechcianego „elementu”. Księżę deportuje się za jakieś naruszenia administracyjne bądź przez to, że – jak głosi narracja władz – pod koloratką chowają mundur zachodnich służb.

W przypadku Jana nakaz wyjazdu wydano na podstawie drobnego wykroczenia administracyjnego. Jan uważa, że cała sprawa była dęta. Znalaziono podstawę, aby w białych rękawiczkach wyrzucić cudzoziemca. Ksiądz podkreśla, że jego deportacja była jednak „delikatna”.

Jak twierdzi Wasilij, w deportacjach chodzi przede wszystkim o zwiększenie kontroli nad tymi organizacjami, które wciąż są autonomiczne względem Kremla. Naturalne jest też to, że baczniej przygląda się tym duchownym, których uważa się za predestynowanych do działalności opozycyjnej. Zwłaszcza Ukraińcom i Polakom.

Teorię tę potwierdzają w rozmowie z „Tygodnikiem” obaj duchowni. Ksiądz Jan relacjonuje, że po rozpoczęciu inwazji fale deportacji dotyczyły przede wszystkim wszelkich organizacji zarządzanych z zagranicy. Do wyjazdu zmuszano nie tylko księży katolickich, lecz także protestanckich pastorów czy buddyjskich lamów.

– Poszło takie odgórne polecenie – uważa Wasilij.

Kwestia wartości

Pytany o realną przyczynę swojej deportacji, Jan nie jest w stanie wskazać jakiegos konkretnego momentu, w którym mógł radykalnie przekroczyć granicę tego, co jest w Rosji dozwolone.

– Po rozpoczęciu inwazji wiedziałem, że nie będę w stanie po prostu „różną głupą”. Nie chciałem udawać – wspomina. – Z drugiej strony moim zadaniem nie jest wchodzenie w tematy polityczne. Nie przyjechałem do Rosji zajmować się polityką, tylko duszpasterstwem.



Demonstracja nacjonalistów przed katedrą katolicką w Moskwie, 5 lutego 2024 r.

– Mówiłem więc o wartościach. Inwazja zaczęła się w czwartek – przypomina tamten dzień. – W niedzielnym kazaniu mówiłem o wojnie sprawiedliwej. Codziennie w mojej parafii odprawialiśmy adorację Najświętszego Sakramentu w intencji pokoju, przez cały rok. W innych kościołach też tak było.

Pytam o ewentualne donosy. Postawa księdza mogła być przecież znana nie tylko parafianom.

Jan: – Być może ktoś coś komuś powiedział. Parafianie mówili mi, że na msze przychodzą jacyś ludzie, żeby posłuchać, co tam ksiądz mówi. Jeden z moich znajomych, z kontaktami w administracji, powiedział mi, że sam jestem sobie winny. Mieli mnie „sprawdzić” i to zrobili. Stwierdził, że jeśli polecenie przyszło „z centrali”, to na dole po prostu wykonywali swoją robotę.

Obejrzeć Putina

Dla tych księży, którzy zostali w Rosji, realia ich pracy są coraz cięższe. W rozmowie z „Tygodnikiem” duchowny Aleksander (imię zmienione) mówi o tym, z czym przyszło im się zmagać: regularne wezwania na policję pod pozorem administracyjnych formalności czy konieczność przejścia obowiązkowego kursu o wdzięcznej nazwie „podstawy rosyjskiego prawa i społeczeństwa”. Bez tego duchownym grozi odebranie uprawnień do prowadzenia działalności w kraju.

Problematyczna jest też współpraca z tymi współpracownikami, którzy mają odmienny pogląd na wojnę. Chodzi tu przede wszystkim o Rosjan.

– Niektórzy rosyjscy katolicycy popierają wprost działania Kremla. Ale trzeba sobie z tym radzić – tłumaczy Aleksander.

– Ja się polityką nie zajmuję. Głoszę Chrystusa i staram się być pomocny dla ludzi. Ale to jest ciężkie, kiedy wiesz, że istnieje obszar, którego nie możesz poruszyć.

Aleksander mówi, że w codziennej pracy ma do czynienia z innym duchownym katolickim, Rosjaninem: – On jest absolutnie proputinowski. Znamy się od dawna, jesteśmy w podobnym wieku. Mamy więc taki *gentlemen's agreement*, że nie rozmawiamy na pewne tematy. Ale parę razy zdarzały się scysje.

Wspomina: – Podczas sylwestrowego świętowania bardzo nalegał na to, żeby obejrzeć wystąpienie Putina. Nasza współpraca wciąż się jakoś trzyma, ale to są bardzo kruche fundamenty.

Kwestia kontroli

Przeglądając internetowe fora rosyjskich katolików, można natknąć się na tezę, według której władze próbują – za pomocą deportacji i utrudnień dla nieprawomyślnych duchownych – ustanowić rodzimą rosyjską kontrolę nad ciałem obcym, jakim jest Kościół katolicki.

Na pytanie, czy sformowała się już grupa prokremlowskich katolickich duchownych – coś w rodzaju ruchu „księży-patriotów” z czasów komunistycznej PRL – rozmówcy „Tygodnika” odpowiadają, że duchowni tacy nie stanowią jakiegos jednolitego ugrupowania. Są jednak jednostki, które nadają prowójenny ton. Jak ksiądz Denis z Nowosybirsk, który otwarcie popiera „specjalną operację wojсковą”, czyli wojnę z Ukrainą.

„Zaczęło się. Panowie, towarzysze, obywateli... Wydaje się jasnym, że opowiadam się za wsparciem dla specoperacji” – pisał ksiądz Denis latem 2022 r. – „Nie, nie jestem nastolatkiem wierzącym w to, że



Demonstracja nacjonalistów przed katolicką katedrą w Moskwie, 14 stycznia 2024 r.

zapanuje porządek na całym świecie i że »coś takiego nie może się dzieć w Europie, w XXI wieku«. Nie, nie chcę, żeby ginęli dzieci i dorośli... jakiegokolwiek dzieci i dorośli. Tak, jestem za pokojem – ale po zakończeniu działań zbrojnych i zwycięstwie. Tak, jestem świadom życia na stronach podręcznika do historii. Tak, jestem duchownym i modlę się o pokój... I za swoich rodaków. Nie mam innych”.

O takich jak on mówi się: Z-katolicy.

– Według moich informacji ojca Denisa mieli przenieść z Nowosybirsk do seminarium w Petersburgu, jedyne seminarium w Rosji. Miał tam wykładać – mówi Wasilij. – Na katolickich forach wybuchło jednak oburzenie, być może interweniowali też hierarchowie. Ksiądz się zdenerwował, mówił, że to hejt liberałów. Ostatecznie pojechał do Niżnego Nowogrodu.

Ciągły balans

Przypadek księdza Denisa i jego niedosłusznego awansu ukazuje trudną sztukę balansowania, jaką muszą uprawiać hierarchowie Kościoła katolickiego w Rosji.

W swoich oficjalnych pismach, publikowanych po rozpoczęciu inwazji, arcybiskup metropolita Moskwy Paolo Pezzi (Włoch; urząd ten pełni od 2007 r.) podkreśla jedynie, jak bardzo 24 lutego 2022 r. podzielił katolicką wspólnotę w Rosji, wielonarodową i różnorodną.

– Hierarchowie funkcjonują w warunkach autocenzury. Jeśli nie poruszają tematów politycznych, to z punktu widzenia władz wszystko jest w porządku – uważa Wasilij. – Sam arcybiskup działa bardzo ostrożnie, starając się zachować jednolitą strukturę Kościoła.

– Przynosi to wymierne skutki. Na początku wojny udało mu się wywalczyć to,

aby katolicy mogli się ubiegać o alternatywną służbę cywilną – dodaje Rosjanin.

Alternatywna służba cywilna to – przewidziana w rosyjskim prawie – możliwość, aby osoba powołana do wojska nie trafiła „w kamasze”. Zainteresowany może powołać się na własne przekonania i jeśli zostanie to uznane, zostanie skierowany do innego rodzaju służby, np. przy pracach budowlanych.

– Wypisałem jednemu z parafian tego rodzaju zaświadczenie – opowiada ksiądz Aleksander. – Przyszedł młody chłopak, który miał odbyć zasadniczą służbę wojskową. Przyszedł do mnie i powiedział, że sumienie mu nie pozwala. No to mu napisałem. Uznali. Teraz pracuje jako dozorca.

Dzielić ich los

Duchowni uważają, że kontynuowanie ich pracy – mimo coraz trudniejszych warunków – ma sens. Szczególnie mając na uwadze, jak wojna podzieliła katolików w Rosji. Podziały biegną wewnątrz parafii.

– Parafianie są katolikami i wiedzą, że to, co się dzieje, nie powinno mieć miejsca – tłumaczy postawy wobec wojny ksiądz Jan. – Z drugiej strony są też Rosjanami. I niektórzy z nich szczerze wierzą w to, że tak musi być.

Wasilij podkreśla, że w tym wszystkim swoją rolę odgrywa też specyfika rosyjskich wiernych. Jego zdaniem w przypadku wielu z nich za wyborem katolicyzmu nie stoi głębokie przekonanie o słuszności tej wiary i wspólnoty, lecz pewnego rodzaju wygoda i różnica na plus względem rosyjskiego prawosławia. Msze często odprawia się w języku rosyjskim, a nie w cerkiewnosłowiańskim. Kościoły są mniejsze, a duchowni uchodzą za bardziej otwarte. Do tego katolicy

księży nie kojarzą się w Rosji z przepychem i nadmiernym bogactwem, tak jak duchowni prawosławni.

– Niemniej część wiernych ma dziwne poglądy, a ich katechizacja nie jest pogłębiona. Jeśli trafią na nieodpowiedniego księdza, to ich rozumienie historii może być jeszcze bardziej skrzywione – tłumaczy Wasilij.

– Pomimo to wśród naszych parafian jest mnóstwo ludzi, którzy są nam wdzięczni, że jeszcze nie wyjechaliśmy. A przecież moglibyśmy, znakomita większość duchownych katolickich jest cudzoziemcami – opowiada Aleksander. – My zostaliśmy i prowadzimy normalną duszpasterską działalność. To dla nich coś bardzo ważnego, że ktoś chce dzielić z nimi los.

Różnica

Pytam Jana, jak wyjaśnić to wewnętrzne skonfliktowanie rosyjskich katolików.

Duchowny gorzko podsumowuje: – Przeróżające jest to, że ludzie nie potrafią łączyć przyczyny ze skutkiem. Dominuje wyparcie. Że jest to gdzieś daleko. „Szkoda tych, co zginęli”, często to słyszałem. Ale idąc za tym refleksją, że można byłoby coś zmienić, nie istnieje. Do tego dochodzi jeszcze groźba więzienia za same wypowiedzi przeciwko wojnie.

Samo „polityczne” lawirowanie przez Kościół katolicki w Rosji – uosabiane choćby przez niejednoznaczne wypowiedzi arcybiskupa Pezziego – może budzić sprzeciw, biorąc pod uwagę zbrodniczy charakter inwazji Rosji na Ukrainę. Trzeba jednak pamiętać, że hierarchowie chronią swoich duchownych i wiernych. Przykłady oskarżeń o szpiegostwo czy inwigilacji księży pokazują, że nadmierna ostrożność nie jest tu bezzasadna. Podobna obawa stoi za koniecznością zmiany imion wszystkich rozmówców „Tygodnika”.

Jednak ten brak potępienia agresji przez katolickich hierarchów w Rosji i tak mocno kontrastuje z postawą Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Ta wprost popiera wojnę. Niedawne obwołanie przez patriarchę Cyryla inwazji na Ukrainę „świętą wojną” przypomina, jaką rolę odgrywa dziś Cerkiew: jednej z ideologicznych podpór dla putinowskiego reżimu.

W zestawieniu z nią samo istnienie w Rosji Kościoła katolickiego wprowadza znaczącą różnicę. © FILIP RUDNIK

Co piją Rosjanie

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Najwięksi producenci szkockiej whisky dawno wycofali się z rosyjskiego rynku. Jednak alkohol ten wciąż płynie do Rosji szerokim strumieniem – przez Łotwę. I nie tylko on.

TA CIEMNA ZIOŁOWA NALEWKA, KTÓREJ oryginalna nazwa brzmi Rīgas Melnais Balzams, jest najbardziej znanym łotewskim trunkiem. W Polsce występuje jako Ryski Czarny Balsam lub po prostu Czarny Balsam. Pierwsza wzmianka o nim pochodzi z połowy wieku XVIII. Receptura nie została nigdy oficjalnie upubliczniona, ale wiadomo, że składa się z około dwudziestu ziół. Czarny likier ma wielbicieli na całym świecie i Łotysze z powodzeniem go od lat eksportują.

Dziś okazuje się, że bałtyckie państwo ma jeszcze inny eksportowy hit – whisky. Wprawdzie na Łotwie jej nie produkuje, ale to stąd jest ona transportowana z Europy do Rosji. To duży biznes: w ubiegłym roku wartość whisky eksportowanej z Łotwy do państwa Putina wyniosła ponad 250 mln dolarów. Dla porównania: z sąsiedniej Litwy było to tylko 39 mln dolarów.

Tymczasem, jak wskazuje szkocki dziennik „The Herald”, wartość bezpośredniego eksportu whisky z Wielkiej Brytanii do Rosji nie przekroczyła 15 mln dolarów. Skąd taka różnica?

TAK NALEŻY | Wprawdzie alkohol nie został objęty sankcjami, które Unia Europejska i jej poszczególne kraje nałożyły na Rosję w związku z jej inwazją na Ukrainę. Sprzedawanie go do Rosji jest zatem legalne. Może jednak dziwić, że za 70 proc. całego eksportu whisky do Rosji w 2023 r. odpowiada niewielka Łotwa. Tym bardziej że niezmiennie, podobnie jak pozostałe kraje bałtyckie, wspiera Ukrainę w jej walce.

Choć więc sankcje ich nie dotyczą, po rozpoczęciu w lutym 2022 r. przez Putina wojny na pełną skalę wiele firm handlujących alkoholem zdecydowało się dobrowolnie zrezygnować z interesów w Rosji. Wśród nich była brytyjska firma Diageo. To międzynarodowy potentat na rynku

alkoholi, który w swojej ofercie ma popularną whisky Johnnie Walker, a także całą kolekcję whisky typu *single malt* – jak Talisker, Lagavulin czy Clynelish (*single malt* to whisky powstała tylko z jednego słoju, jęczmiennego, w odróżnieniu od typu *blended*, który jest mieszkanką destylatów wielu zbóż).

To była bardzo trudna decyzja, przyznawał Michael Holm, dyrektor Diageo na Europę Wschodnią. Również ze względu na zatrudnionych w Rosji pracowników. „Podjęliśmy ją, bo uważaliśmy, że tak właśnie należy” – podkreślał w rozmowie z branżowym portalem Whisky Invest Direct.

OKRĘŻNĄ DROGĄ | Tymczasem po chwilowym spadku eksportu whisky – nie tylko szkockiej, ale także tej z Irlandii, USA czy Indii – do Rosji okazał się większy niż wcześniej; jego wartość wyniosła aż 350 mln dolarów. Znaczną część z tego ma stanowić Johnnie Walker.

Jak to możliwe? Wyjaśnienie zagadki jest proste: to tzw. import/eksport równoległy. Polega on na tym, że dystrybutorzy kupują towar – czasem bez wiedzy i zgody producenta – w jednym kraju, a następnie eksportują go dalej, okrężną drogą przez kolejny kraj. W ubiegłym roku w Rosji zmieniono prawo tak, aby taki manewr był możliwy.

Tymczasem jeszcze przed inwazją Łotwa była jednym z większych centrów transportowych, jeśli chodzi o alkohol wysyłany do Rosji, Białorusi czy Ukrainy. Dlaczego? Bo tak logistycznie najprościej: ładunki – nie tylko zresztą alkoholi – docierały do Łotwy drogą morską, a stąd już bezpośrednio i blisko do Rosji drogą lądową.

Veniamin Grabar z rosyjskiej firmy Ladoga wyjaśniał w rozmowie z agencją Ria Novosti, że logistyka się nie zmieniła, zmieniły się jedynie papierowe formalności. „Wcześniej, zgodnie z dokumentami,

eksport do Rosji szedł po prostu tranzytem przez Łotwę lub Litwę. Teraz w dokumentach ostatecznym punktem są kraje bałtyckie. Stąd dostawa trafia do Federacji Rosyjskiej” – mówił.

LUKA W SYSTEMIE | – Proces takiego reeksportu dóbr przez Łotwę trwa już dwa lata i nie jest to tylko alkohol. To także elektronika czy leki. Również produkty, które są na listach sankcjonowanych – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Bartosz Chmielewski, analityk z warszawskiego Ośrodka Studiów Wschodnich. – Oficjalnie transport alkoholu może np. być kierowany z Łotwy do Kazachstanu, ale nie dociera tam i zostaje w Rosji.

Chmielewski zwraca uwagę na zmiany w statystyce łotewsko-rosyjskiej wymiany handlowej, która po rozpoczęciu inwazji z dnia na dzień spadła o 70 mln euro. W tym samym czasie o 70 mln euro wzrosła natomiast wymiana między Łotwą a państwami Azji Centralnej, Kazachstanem i Kirgistanem.

– Łotwa i Estonia, w mniejszym stopniu Litwa, są węzłem omijania sankcji europejskich – uważa Chmielewski. – To jest krytykowane przez władze łotewskie, ale są one w znacznym stopniu bezsilne. Niewiele mają tu do powiedzenia, bo jest to robione przez duże korporacje europejskie. Te z kolei formalnie nie łamią prawa, bo wykorzystują lukę w systemie. Jeżeli na granicę łotewsko-rosyjską przyjeżdża jakiś towar, który w dokumentach deklarowany jest jako eksport do Kazachstanu, łotewskie służby celne nie mogą go zatrzymać. To, co dzieje się z nim, gdy znajdzie się na terytorium Rosji, jest już niemożliwe do zweryfikowania.

ZA I PRZECIW | Co mówi się o tym na Łotwie? Kraju, który od początku rosyjskiej inwazji przekazał Ukraincom wsparcie w wysokości ok. 650 mln euro, z czego 370 mln zainwestowano w wyposażenie ukraińskiej armii.

– Poparcie dla Ukrainy się nie zmienia. Zmęczenie wojną jest niezauważalne. W Rydze wszystkie instytucje publiczne nadal mają wywieszone flagi łotewską, unijną i ukraińską – mówi Bartosz Chmielewski.

Sprawa „równoległych eksportów” z Unii do Rosji to jednak ważny temat i, jak przyznaje analityk, jest on w ostatnim czasie podejmowany przez łotewskie media.



ALEKSANDER POLYAKOV / RUSSIAN LOOK / FORUM

Stoisko z alkoholami w supermarkecie Auchan w Moskwie, sierpień 2022 r.

Na początku kwietnia The Baltic Center for Investigative Journalism Re:Baltica opublikował listę największych eksporterów z Łotwy do Rosji w latach 2022-23. „Podczas gdy rząd wzywa przedsiębiorstwa do »samooczyszczenia«, łotewski eksport do Rosji po dwóch latach wojny skurczył się jedynie nieznacznie” – uważają autorzy Re:Baltica.

W medialnej dyskusji pojawiają się różne argumenty za i przeciw „równoległym eksportom”. Krytycy wskazują, że dzięki utrzymaniu dostaw do Rosji takich towarów jak alkohol zamożni Rosjanie nie muszą zmieniać swojego trybu życia i nie odczuwają skutków wojny. A poza tym, skoro nawet Bałtowie handlują z Rosją, jaki to sygnał dla świata?

PYTANIA MORALNE | Poza głosami krytycznymi pojawiają się jednak także głosy, które próbują racjonalizować proces reeksportu. I tak podkreśla się, że eksport alkoholu nie wzmacnia rosyjskiej maszyny wojennej, a sprzedając Rosjanom whisky, wyprowadza się stamtąd pieniądze, które nie zostaną wydane na wojnę.

– To jedna z perspektyw. Podam inny przykład: pół roku temu na Łotwie była dyskusja o lekach, które łotewskie firmy farmaceutyczne eksportują do Rosji. Konkretnie chodziło np. o lek na schorzenia kardiologiczne. Pytano, czy można pozba-

wiać go Rosjan cierpiących na choroby serca? Wiadomo też jednak, że ten lek jest wykorzystywany przez żołnierzy na froncie jako stymulant. To skomplikowane pytania moralne – mówi Chmielewski.

Na liście eksporterów, którą sporządzili dziennikarze Re:Baltica, firmy farmaceutyczne uplasowały się na drugim i trzecim miejscu. Obie podkreślają, że sankcje nie obejmują leków, że oba przedsiębiorstwa działają w oparciu o przesłanki humanitarne i że nie biorą udziału w rosyjskich zamówieniach publicznych dotyczących potrzeb armii.

MIESZANE DESTYLATY | Obok kwestii moralnych, jakie towarzyszą dziwnej drodze ich whisky do Rosji, Szkotów martwi jeszcze inna kwestia – mianowicie podróbki whisky obecne na rosyjskim rynku. A także tamtejsze destylarnie.

Z podróbkami walczą także rosyjskie władze. Przed rokiem policja zamknęła pod Moskwą całą rozlewnię fałszywych alkoholi udających te markowe (whisky, rum i koniak), które nie tylko nie miały nic wspólnego z oryginałami, ale były wręcz niebezpieczne dla zdrowia.

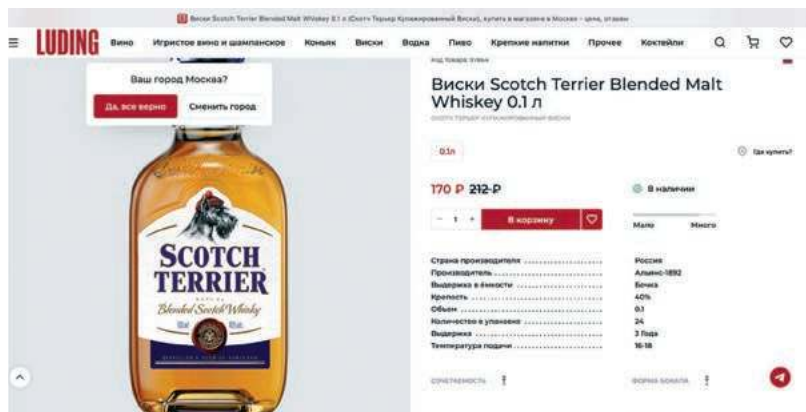
Szkoccy producenci z niepokojem przyglądają się też alkoholom, które w Rosji produkowane są wprawdzie legalnie, jednak w istocie podszywają się pod szkocką whisky – czy to poprzez nazwę, czy grafikę

etykiety. Problem jest poważny: w 2022 r. produkcja „rosyjskiej whisky” wzrosła o jedną trzecią, a w Rosji działa już kilkanaście takich destylarni. Niektóre produkują trunki od podstaw, inne mieszają importowane destylaty, być może nawet szkockie, z własnym alkoholem.

SCOTCH Z KRÓLEWCA | Faktem jest, że whisky produkowana jest w wielu krajach świata – dość wspomnieć cieszącą się uznaniem znawców whisky z Japonii. Ale szkocka whisky to inna sprawa. Aby tak nazwać swój produkt, alkohol musi być wyprodukowany w Szkocji i ze szkockich produktów (woda i słód jęczmienny), musi być też przechowywany w dębowych beczkach w Szkocji przez okres nie krótszy niż trzy lata. Warunków jest zresztą więcej i są one rygorystycznie przestrzegane.

Produkty rosyjskie, które nawiązują do „szkockiej”, nie mają z tym rzecz jasna nic wspólnego. Odpowiadają jednak najwyraźniej na oczekiwania Rosjan, ich pragnienie prestiżu.

Butelka Mac Callister – trunku, który ma być whisky powstała ze „zmieszanych starzonych szkockich destylatów” (choć na jej etykiecie piszą „whiskey”, inaczej niż w Szkocji) – kosztuje w rosyjskim sklepie internetowym ponad 600 rubli (ok. 5 funtów). To ułamek ➔



ZRZUT EKRANU

→ tego, co warta jest butelka oryginalnej „szkockiej”. Nazwa sugeruje jednak jej pochodzenie z Wysp Brytyjskich. Żeby klient nie miał wątpliwości, na etykiecie widnieje także dudziarz.

Na rosyjskim rynku dostępny jest też Glen McClaud – tyle że nie ze szkockich dolin (*glen* to dolina), ale prosto z Kraju Stawropolskiego, regionu na południu Rosji. Jest także Scotch Terrier z Królewca (obwodu kaliningradzkiego). Rosja jako miejsce pochodzenia nie jest bynajmniej skrywana, lecz dobór nazw i obrazów, kojarzonych ze Szkocją, wykorzystuje reputację prawdziwej „szkockiej”.

WIĘCEJ NIŻ TRUNEK | Scotch Whisky Association to wszystko obserwuje i zgłasza oficjalne zastrzeżenia. Przyznaje, że ze względu na „prawną i polityczną sytuację w Rosji” jest to spore wyzwanie, ale nie zamierza spocząć w wysiłkach, by „usunąć fałszywą szkocką whisky ze sprzedaży na całym świecie”.

Dla Szkotów to rzecz istotna. Whisky w Szkocji jest wpisana w historię, kulturę i krajobraz. Napisano o niej książki i poematy. Opiewał ją narodowy bard Szkotów Robert Burns („Freedom an’ Whisky gang thegither”, „Wolność i whisky idą w parze” – deklarował). To więcej niż mocny trunek – w końcu samo słowo pochodzi z gaelickiego *Uisge Beatha*, co oznacza „woda życia”.

A zarazem whisky to też po prostu biznes – i to potężny. Według danych Scotch Whisky Association co sekundę ze Szkocji eksportowane są 43 butelki. W roku 2023 wartość eksportu tego alkoholu wyniosła 5,6 mld funtów. W Szkocji whisky daje bezpośrednie zatrudnienie ponad 40 tysiącom osób, w tym także w destylarniach organizujących zwiedzanie i degustację. W 2022 r. odnotowały one dwa miliony gości i tym samym stały się jedną z największych turystycznych atrakcji Szkocji.

Stąd wysiłki Scotch Whisky Association dla zachowania czystości i reputacji

Oferta podrabianej „szkockiej whiskey” w rosyjskim sklepie internetowym.

trunku są nie tylko dbałością o tradycję, ale też walką o utrzymanie pozycji. Bo to szkocka whisky nadal jest tą najpopularniejszą na świecie.

ZAMKNAĆ LUKĘ | Problem „równoległych eksportów” z Unii do Rosji, w tym whisky (tej szkockiej i z innych krajów), raczej nie zniknie. W styczniu tego roku prawie połowę wszystkich towarów eksportowanych z Łotwy do Rosji stanowił alkohol.

– To jest taka zabawa w kotka i myszkę – mówi Bartosz Chmielewski. – Gdy pojawiają się jakieś ograniczenia, firmy z pomocą prawników szukają sposobów na ich ominięcie. Być może należy na forum unijnym wprowadzać nowe mechanizmy, które zamkną luki w systemie.

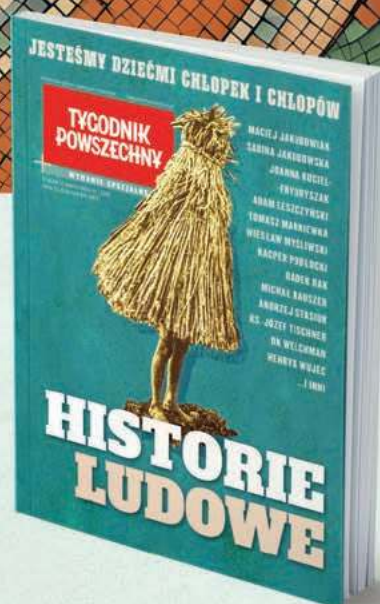
– To kwestia odpowiedzialności społecznej biznesu – dodaje. – Nie wszędzie tam, gdzie da się zarobić pieniądze, jest to etyczne. To pytanie do firm, także tych zajmujących się spedycją, na ile ich menadżerowie czują się dobrze, łamiąc zasady i *de facto* wspierając Rosję w jej machinie wojennej.

Bo to nie jest tylko alkohol czy leki na serce. Chmielewski: – Ostatnio estońskie i łotewskie media pisały o rudzie manganu, która idzie z Afryki przez państwa bałtyckie do Rosji. Jest to jeden z ważnych surowców dla rosyjskiego przemysłu.

© PATRYCJA BUKALSKA

ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII Te historie są o nas

Sprawdź: TygodnikPowszechny.pl/historieludowe



Francuski atom nas ochroni?



Emmanuel Macron w łuku atomowej łodzi podwodnej „Suffren”. Port wojenny w Tulonie, 2019 r.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Arsenał Paryża jest za mały, by obronić całą Europę. Ale oferta pewnego rozszerzenia jądrowego „parasola” przez Francję mogłaby być interesująca dla niektórych krajów NATO, w tym Polski.

PO TYM JAK WIELKA Brytania opuściła Unię, Francja jest dziś jedynym krajem Europy posiadającym broń atomową. To niemal 300 głowic, które mogą być wyrzuczone z morza (okręty podwodne z pociskami balistycznymi) lub powietrza (samoloty z pociskami manewrującymi).

Jej arsenał jądrowy, zbliżony rozmiarami do brytyjskiego, jest kilkanaście razy mniejszy niż ten należący do Rosji czy USA. Mimo to uważa się, że wystarczyłyby do obrony własnego kraju. Zgodnie z powiedzeniem gen. Charles’a de Gaulle’a, twórcy francuskiej „siły odstraszania”: aby zapobiec atakowi jądrowemu, nie trzeba zniszczyć napastnika, wystarczy „wyrwać mu ramię”.

Wedle francuskiej doktryny broń atomowa może być użyta tylko w razie zagrożenia żywotnych interesów Francji. Przy czym określenie to świadomie jest mgliste, by zniechęcić potencjalnych wrogów. Francuzi nazywają to „strategiczną ambigwalencją”.

CZY W RAZIE rosyjskiej agresji na Europę francuskie zasoby nuklearne mogłyby obronić cały kontynent? Spekulacje na ten temat ożyły po wypowiedzi prezydenta Emmanuela Macrona podczas wizyty w Szwecji w końcu stycznia. Oświadczył wtedy, że część „francuskich żywotnych interesów ma wymiar europejski”, co „nakłada na Francję szczególną odpo-

wiedzialność” w dziedzinie odstraszania jądrowego.

– Macron mówił o tym „europejskim wymiarze” w kontekście francuskiego odstraszania po raz pierwszy już wcześniej, w lutym 2020 r., w przemówieniu w paryskiej Akademii Wojskowej. Istotne jest jednak to, że teraz w Sztokholmie podobna deklaracja padła w obecności zagranicznych wojskowych. I to w momencie, gdy Szwecja przygotowywała się do wejścia do NATO, po inwazji Rosji przeciw Ukrainie – mówi „Tygodnikowi” Héloïse Fayet, ekspertka w dziedzinie odstraszania jądrowego z Francuskiego Instytutu Studiów Międzynarodowych (IFRI).

– Słowa Macrona nie oznaczają, że francuski „parasol” rozciągnie się na całą Europę – podkreśla Fayet. Dodaje, że zasoby Francji, z racji ich rozmiarów, nie są w zasadzie przeznaczone do obrony innych krajów.

CO OZNACZA ZATEM „europejski wymiar” interesów Paryża? Według specjalistów można to uznać za wyraźną ofertę zastosowaną przez Francję do jej europejskich partnerów. Taką propozycję Paryż wysuwał już wprawdzie w latach 90. XX w. Jednak wówczas inne kraje ignorowały to, uważając ją za konkurencyjną wobec „parasola” USA. Dziś, gdy Trump otwarcie grozi Europie, że nie pomoże jej w razie rosyjskiej napaści, sytuacja jest inna. W wielu krajach trwa dyskusja, czy można zastąpić amerykański „parasol”.

Problem w tym, że na razie oferta Francji pozostaje mglista. Należy raczej wykluczyć, że Paryż podzieliłby się z partnerami swoimi ładunkami jądrowymi – tak jak to zrobili Amerykanie w ramach NATO-wskiego programu *Nuclear Sharing*.

– Francja chce zachować całkowitą kontrolę nad użyciem swojej broni jądrowej – podkreśla Héloïse Fayet. Jej zdaniem w grę wchodzi jednak takie rozwiązanie, że Pa-

ryż użyłby swoich zasobów dla obrony „żywotnych interesów” innych krajów.

TYMCZASEM ROZUMIENIE „żywotnych interesów” się zmienia. – Integracja europejska jest dziś tak mocno zaawansowana, że np. ewentualny potężny atak na Polskę naruszyłby żywotne interesy Francji – uważa Fayet.

Jej zdaniem Macron wyraźnie zaprasza partnerów europejskich do nowego dialogu strategicznego. Teraz wszystko zależy od tego, jak tę propozycję przyjmą inne kraje.

– Należy się cieszyć, że w Polsce i Niemczech zaczęła się debata o odstraszaniu. Wyobrażam sobie, że polski rząd mógłby zaproponować odwiedzenie francuskich baz jądrowych. Idąc dalej, np. polskie lotnictwo mogłoby wziąć udział we francuskich ćwiczeniach obrony jądrowej. Chodzi zatem o obustronne działania – mówi Fayet.

Inni znani francuscy eksperci – jak Camille Grand, były wiceszef NATO – uważają, że odstraszanie jądrowe na skalę Europy będzie możliwe dopiero przy ściślejszej współpracy w tej dziedzinie dwóch krajów kontynentu mających broń atomową, czyli Francji i Wielkiej Brytanii. A do tego jeszcze daleko.

KWESTIA UŻYCIA rodzimego arsenału jądrowego w obronie innych krajów budzi we Francji opory. Dwie główne siły opozycji w parlamencie – nacjonalistyczna partia Le Pen i radykalnie lewicowa Francja Nieuwiarzmiona Mélenchona – zarzucały niedawno Macronowi, że chce oddać Europie kontrolę nad francuskim atomem (co wynikało z niedokładnego cytowania jego słów w Sztokholmie).

Kluczowe jest to, że według konstytucji tylko prezydent Francji może podjąć decyzję o użyciu jej broni jądrowej. To on ostatecznie definiuje, co leży w żywotnym interesie państwa. Stąd pytanie: co będzie, jeśli w 2027 r. wybory prezydenckie wygra Marine Le Pen, znana z populistycznych, antyunijnych i antynatowskich poglądów? W takiej sytuacji ambitny projekt rozszerzenia francuskiego „parasola” jądrowego raczej nie byłby już aktualny. ©



FERNANDO SANCHEZ / EUROPA PRESS NEWS / GETTY IMAGES

Demonstracja na rzecz wprowadzenia przepisów, które uniemożliwią bezkarne okupowanie cudzych domów. Madryt, marzec 2022 r.

Pomieszkać za darmo

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISPANII

W Hiszpanii są 4 mln pustych mieszkań, które należą do banków i funduszy inwestycyjnych. Ponieważ kara za ich zajęcie jest niska, ośmiela to nielegalnych lokatorów. Po pandemii zjawisko przybiera coraz większe rozmiary.

RICARDO OD ZAWSZE CHCIAŁ POMAGAĆ innym, dlatego został pracownikiem socjalnym. Po latach wyrzeczeń i odkładania pieniędzy w końcu kupił własne mieszkanie w Madrycie. Było drogie i mimo posiadanych oszczędności Ricardo musiał zadłużyć się w banku; hipotekę będzie spłacać do 74. roku życia.

Początkowo nic nie zapowiadało problemów. Wkrótce jednak właściciele reszty budynku, w którym Ricardo kupił mieszkanie, zbankrutowali, a ich majątek przejął bank. Wtedy zjawiali się *okupas*: ludzie, którzy nielegalnie wchodzą do pustych mieszkań i je zajmują.

– Zawsze kiedy opowiadałem tę historię, wywołuje to u mnie mnóstwo emocji i bólu. Moje życie rozpadło się wtedy na wiele kawałków. Wciąż je składam i od 10 lat lecę się u psychiatry – mówi Ricardo w rozmowie z „Tygodnikiem”.

OKUP | Ricardo wspomina, że po półtora roku *okupas* opanowali już cały budynek, rzecz jasna poza jego mieszkaniem: – Zaczęły się kradzieże, strzelaniny, handel narkotykami i prostytutka. Przestałem nocami sypiać. *Okupas* zaczęli niszczyć nasz budynek, nieraz widziałem krew na klatce schodowej, ślady po bijatykach. Byłem inny, więc dostawałem pogroźki.

Przebijali mi koła w samochodzie. Dwa razy musiałem prosić o pomoc policję, żeby w ogóle wejść do mojego mieszkania, bo *okupas* czekali na mnie przy wejściu i nie pozwalali przejść.

Ricardo prosił o pomoc policję i Ratusz, spotykał się nawet z przedstawicielami wszystkich partii. Nie pomogło, sytuacja ciągnęła się przez lata. – Przez całe życie starałem się pomagać innym, ale gdy to ja potrzebowałem pomocy, nikt nie wyciągnął do mnie ręki. Odeszła ode mnie partnerka, bo miała już tego wszystkiego dość – mówi.

Gdy był już na skraju wytrzymałości, poszedł do mediów. Skończyło się na tym, że *okupas* dostali pieniądze od banku w zamian za opuszczenie budynku. – To absurd, musieli dać pieniądze przestępcom, którzy nielegalnie zajmowali budynek, aby się wyprowadzili. Jak mam dziś wierzyć w rządy prawa i sprawiedliwość? – mówi mi Ricardo Bravo, dziś przewodniczący Platformy na rzecz Poszkodowanych przez Okupację Mieszkań.

TERAPIA | Platforma narodziła się w mediach społecznościowych i w gruncie rzeczy miała być (także) formą terapii.

Bo osoby, których mieszkania czy budynki są zajęte przez *okupas*, zwykle czują bezsilność i brak wsparcia ze strony państwa.

Oficjalnie Platforma powstała w 2020 r. jako niezależna organizacja do kontaktu z politykami i na rzecz walki o zmianę prawa. – Do dziś nic się w tej kwestii nie zmieniło, jest jeszcze gorzej – Ricardo Bravo ma poczucie porażki.

Nielegalne zajmowanie cudzych mieszkań zaczęło cieszyć się popularnością jeszcze w latach 60. i 70. XX w., wraz z migracją do miast i ogromnym popytem na nieruchomości. Ruch *okupas* polega na nielegalnym zajmowaniu – czasowo lub na stałe – pusto stojących mieszkań lub domów.

Po roku 1976, w pierwszych latach hiszpańskiej demokracji, zalegalizowano – w ramach walki z problemem bezdomności – tysiące nielegalnych zajęć państwowych nieruchomości. Praktyka sądowa pokazuje, że do 1996 r. w większości spraw sędziowie orzekali na korzyść nielegalnych lokatorów, a to dawało dalsze przyzwolenie.

AKCEPTACJA | Zwolennicy ruchu *okupas* mówią o prawie do mieszkania, nawet jeśli oznaczałoby to naruszenie prawa do własności innych osób. Powołują się na artykuł 47. konstytucji, który mówi, że „wszyscy Hiszpanie mają prawo do godnych i odpowiednich warunków mieszkaniowych”.

Hiszpania ma 48 mln mieszkańców i 26 mln mieszkań, z czego 4 mln stoją puste. Większość z nich należy do banków i funduszy inwestycyjnych. To pozostałość po kryzysie finansowym w strefie euro, który zaczął się 2008 r. i doprowadził do bankructwa wiele firm i osób fizycznych. A skoro nieruchomości trafiły do banków, które obwinia się za tamten kryzys, to i akceptacja społeczna dla zajmowania pustostanów jest większa.

PRAWO | *Okupas* ośmiela fakt, że kary, których mogą się spodziewać, są znikome.

Kodeks karny rozróżnia dwa rodzaje przestępstw związanych z *okupas*: włamanie (gdy mieszkanie było przez kogoś zamieszkiwane) i uzurpację (gdy stało puste). Za włamanie grozi od 6 miesięcy do 2 lat więzienia, a za uzurpację grzywna (chyba że eksmitowani dzicy lokatorzy stawiają opór, wtedy ich kara może wzrosnąć do 2 lat więzienia).



Ricardo Bravo, Madryt, kwiecień 2024 r.

Przestępstwem *okupas* zajmuje się Policja Krajowa (jeśli rzecz dotyczy miasta) lub Guardia Civil (gdy idzie o mniejsze miejscowości). Ich funkcjonariusze mają ograniczone możliwości działania. Zawiadomienie o „okupacji” musi zgłosić właściciel, a w przypadku banku trwa to zwykle długo. Tymczasem jeśli służby zostaną wezwane w ciągu 72 godzin, mogą reagować tak, jak w przypadku włamania i rabunku – wtedy udaje się usunąć dzikich lokatorów. Jeśli jednak przekroczy się ten termin, trzeba udowodnić w sądzie swoje prawo własności, a to zwykle proces długi i kosztowny.

Niedawno media donosiły, że *okupas* zajęli w Galicji willę z ogrodem i basenem, wystawioną na sprzedaż i wartą 750 tys. euro. Zrobili to tak cicho, że sąsiedzi nic nie zauważyli. Właściciele, gdy się zorientowali, wezwali policję. Ale minęło zbyt dużo czasu i policjanci nie mogli eksmitować dzikich lokatorów. Sprawa trafiła do sądu. Oczekując na proces, rodzina *okupas* wygodnie się urządziła.

NARKOMIESZKANIA | Osiem na dziesięć przypadków *okupas* dotyczy kilku regionów: Katalonii, Madrytu i Andaluzji. Drugą zaś prowincją w kraju z największą liczbą *okupas* jest Almería (należąca do Andaluzji).

Nawet trzy czwarte zajmowanych tu mieszkań służy do produkcji marihuany. To dodatkowe zagrożenie dla prawnych lokatorów takich budynków, bo uprawa narkotyku wymaga ogromnych nakładów energii, co z kolei oznacza nielegalne podłączenia do prądu.

Funkcjonariusz Guardii Civil z Almerii mówi mi (prosząc o anonimowość), że z tej prowincji eksportuje się już do całej Europy więcej narkotyków niż pomidorów: – Doskonale wiemy, w któ-

rych dzielnicach są nawet całe budynki, gdzie uprawia się marihuanę. Czuć to nawet, gdy idziesz ulicą. Oczywiście interweniuje, przejmujemy narkotyki, ale powstają nowe plantacje. Zatrzymujemy ludzi, którzy odpowiadają z wolnej stopy, a oni wracają do dawnych zajęć. Zresztą rzadko udaje nam się dotrzeć do szefów mafii narkotykowych.

STRACH | W takim budynku z narkomieszkaniem żyć musi Guillermo z Almerii.

– Miesiąc temu była duża akcja policyjna, agenci weszli do czterech mieszkań, zabrali wszystkie rośliny i mężczyźni, którzy tam przebywali. Kolejnego dnia widziałem, jak *okupas* wracali do naszego budynku. To surrealistyczne. Nie mogę pojąć, jak europejski kraj na to pozwala – mówi 37-letni prawnik.

Gdy to opowiada, spacerujemy wokół urzędu, w którym pracuje. Guillermo ścisza głos, kiedy przechodzi obok nas jego kolega z pracy. Wstydzi się tego, gdzie mieszka. Przyznaje, że stara się nie wracać zbyt późno do mieszkania. I nie wyjeżdża na wakacje, bo boi się, że pod jego nieobecność wtargną *okupas*.

Nie dzwoni na policję i nie zgłasza kwestii narkotyków, boi się o życie: – Najchętniej sprzedałbym mieszkanie i wyprowadziłbym się z tego budynku. Ale kto je kupi, wiedząc, że sąsiadami są *okupas* i w dodatku uprawiają marihuanę? Dostałbym za nie grosze.

W budynku jest dwanaście mieszkań, z czego osiem zajmują *okupas*. Trwa to od trzech lat i nic nie wskazuje, że szybko się zmieni. Budynek należy do funduszu inwestycyjnego i to on musiałby zgłosić sprawę do sądu.

Guillermo: – Żyję z dnia na dzień. Nie wiem, czy jutro będę mógł wyjść do pracy albo czy nie będą na mnie czekać przy schodach lub garażu. To nieprzewidywalni ludzie. Czuję bezsilność i rezygnację.

OGŁOSZENIE | W internecie zdarzają się takie anonse: „Mieszkania nie można zobaczyć przed kupnem, bo w środku są *okupas*, płatność tylko gotówką”. To prawdziwa oferta mieszkania w Madrycie: trzy pokoje, 57 metrów kwadratu. Cena: 85 tys. euro.

Sprzedaż mieszkania z *okupas* obniża jego cenę średnio o 50-70 proc., a płatność odbywa się tylko gotówką, bo żaden



Okupowany budynek w Níjar, Andalusja, marzec 2024 r.

→ bank nie sfinansuje lokalu z *okupas*. Czasem kupnem takiej nieruchomości zainteresowani są inwestorzy, którzy nie potrzebują jej od zaraz i mogą czekać kilka lat na wyrok sądu oraz eksmisję.

STRONY | W mediach społecznościowych pełno jest stron *A favor de los okupas*, czyli na „korzyść *okupas*”. Jak piszą twórcy jednej z nich, „pomozemy wszystkim bezdomnym, ludziom żyjącym na ławkach”. Nie brak też odwołań do wspomnianego artykułu 47. konstytucji, który mówi o prawie do godnego mieszkania.

Większość z postów publikowanych na takich stronach jest anonimowa, bo i sprawa dość delikatna. Np. ktoś publikuje zdjęcie z opisem: „Chciałabym wejść do tego mieszkania. Jestem w trudnej sytuacji. Nie znam dobrze tematu okupacji. Będę wdzięczna za pomoc”. W komentarzach zgłaszają się osoby gotowe pomóc otworzyć drzwi i przenieść rzeczy.

Bywa, że w takich grupach niektórzy tak oferują swoje usługi: „Napisz, gdzie chcesz mieszkanie, a my dezaktywujemy alarm, żebyś mógł wejść”.

Autorów postów można podzielić na dwie grupy: tych, którzy mają upatrzone lokum i chcą je zająć, oraz tych, którzy piszą o swojej trudnej sytuacji i pragnieniu zamieszkania „gdziekolwiek”.

MAFIE | Guillermo uważa, że *okupas* to nie tylko akcje oddolne, i że funkcjonują wyspecjalizowane mafie mieszkaniowe. – To ogromny biznes. Najpierw wchodzi

jako pierwsi do domu, który od dawna wygląda na opuszczony, zmieniają zamki i sprzedają go potem np. za 5 tys. euro – mówi prawnik.

Mafie mają szukać też domów na stronach z ogłoszeniami o nieruchomościach. Jeśli któregoś przez kilka miesięcy nie udaje się wynająć czy sprzedać, wtedy można je „przejąć”. Zwłaszcza jeśli mieszkanie należy do funduszy inwestycyjnych.

Ale nie wszyscy okupujący nielegalnie mieszkania to mafie. W Hiszpanii prawie nie ma mieszkań socjalnych, więc dla niektórych to sposób na uniknięcie bezdomności.

17 marca na jednej z grup *A favor de los okupas* pojawia się taki anonimowy post: „Szukam domu w Walencji. Jestem kilka dni przed porodem, a właścicielka mieszkania powiedziała mi, że muszę się wyprowadzić, bo sąsiadom będzie przeszkadzać płacz dziecka. Potrzebuję waszej pomocy. Jestem zdesperowana, nie mam gdzie pójść”.

NIEPŁACĄCY | Ostatnio narodziło się nowe zjawisko: *inquiokupas*. Nazwa pochodzi od słów *okupas* oraz *inquilino* (lokator, najemca). *Inquiokupas* to osoby, które wynajęły mieszkanie i płaciły czynsz, a potem przestały płacić. Zjawisko stało się popularne w czasie pandemii, gdy wzrosło bezrobocie.

Z *inquiokupas* boryka się 60-letnia Bianca, Argentynka. 10 lat temu wraz z mężem sprzedali wszystko, co mieli,

i przeprowadzili się do Katalonii. Tu kupili mieszkanie i chcieli, by na nich zarabiali. Wynajęli je małżeństwu z trójką dzieci. Wszystko było w porządku do chwili, gdy małżeństwo ich lokatorów się rozstało. W mieszkaniu została kobieta z dziećmi i przestała płacić. – Nie chciałam przedłużać im umowy, ale mąż nalegał, byśmy zrobili to ze względu na dzieci, by nie musiały zmieniać podstawówki – mówi mi Bianca.

Wkrótce pożalowali tej decyzji. Sprawę zgłosili do sądu, wnosząc o eksmisję. Miało do niej dojść 8 lutego. Ale wtedy okazało się, że samotna matka z trójką dzieci dostała z opieki społecznej zaświadczenie o trudnej sytuacji życiowej. Eksmisję wstrzymano.

– Państwo traktuje nas, jakbyśmy byli serwisem socjalnym – uważa Bianca. Co prawda obiecano im rekompensatę: polega na tym, że jeśli mieszkanie zajmuje osoba w trudnej sytuacji, a państwo nie może zapewnić jej lokum socjalnego, będzie płacić właścicielowi. Kwotę ustala się na podstawie średniej za wynajem. Mimo obietnic Bianca nie otrzymała dotąd pieniędzy. A jak przyznaje, sama jest na granicy ubóstwa po tym, jak mąż stracił pracę.

ANTYOKUPANCI | Bianca rozważała zatrudnienie firmy *antiokupas*. Od kilku lat powstało ich wiele w całym kraju, w reakcji na narastające zjawisko *okupas*. Firmy reklamują się jako mediatorzy, ale zdaniem policji działają na granicy prawa. Bo ich głównym zadaniem jest zastraszanie *okupas*: częste odwiedzanie, dzwonienie do drzwi, pukanie w okna, tak by zachęcić dzikich lokatorów do opuszczenia zajmowanego lokum.

– Aby skorzystać z usług takiej firmy, musiałabym wziąć kredyt na 4 tys. euro, a nie gwarantuje to przecież, że odzyskam mieszkanie – mówi Bianca.

Niepłacących *inquiokupas* w swoim domu ma także Jaime z Wysp Kanaryjskich. 42-letni księgowy wziął kredyt, by kupić 4-pokojowe mieszkanie. Dzięki jego wynajmowi chciał spłacić kredyt, dlatego sam z żoną i dziećmi wynajął mniejsze mieszkanie.

– No i teraz utrzymuję dwie rodziny – mówi Jaime.

Nie ma w tym przesady, bo nie tylko nie dostaje pieniędzy za wynajem, ale sam musi płacić za wodę, prąd, śmieci

i opłatę spółdzielczą swojego „okupowanego” mieszkania. Gdyby Jaime odciął media, groziłoby mu poważniejsze konsekwencje niż kobiecie, która nielegalnie zajmuje jego mieszkanie. Do tego spona kredytu.

– Dzwoniłem do lokatorki, ale odrzucała moje połączenia, chodziłem do budynku, ale nie otwierała mi drzwi. Nie mogę zrobić nic więcej, bo może mnie pozwać o nękanie – mówi Jaime i czeka, aż jego sprawę rozpatrzy sąd.

POLITYKA | Ilu jest w Hiszpanii *okupas* oraz *inquiokupas*? Trudno stwierdzić. Platforma na rzecz Poszkodowanych przez Okupację Mieszkań twierdzi, że rząd manipuluje danymi, że nie chce np. wskazać, ile wyroków o eksmisji wstrzymano od czasu pandemii. Jeśli wierzyć oficjalnym statystykom, w 2022 r. było o 9 proc. mniej zgłoszonych przypadków *okupas*. Do tej pory nie opublikowano danych za 2023 r.; Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w korespondencji mailowej zapewnia, że stanie się to do końca kwietnia.

Temat *okupas* pojawił się przed wyborami parlamentarnymi w lipcu 2023 r. Wówczas parlamentarzystka ze skrajnie prawicowej partii VOX, Cristina Alicia Esteban Calonje, stwierdziła, że podczas rządów lewicy trzykrotnie wzrosła liczba nielegalnie okupowanych mieszkań. W Madrycie oraz Kastylii i León, gdzie rządzi konserwatywna Partia Ludowa (opozycyjna wobec rządu centralnego w Madrycie), stworzono specjalne biura i telefony, na które można zgłaszać nielegalne zajęcie domu. W stolicy takich telefonów ma być średnio sześć dziennie.

PROJEKT | Platforma skupiająca osoby pokrzywdzone przez *okupas* stworzyła propozycję ustawy, popieraną przez konserwatywną Partię Ludową, która w Senacie ma większość. Projekt zakłada, że wysiedlenie *okupas* byłoby możliwe w ciągu 24 godzin po złożeniu skargi przez właściciela.

Jednak nic nie wskazuje, że projekt uzyska poparcie w izbie niższej, gdzie

większość należy do Partii Socjalistycznej, która rządzi w koalicji ze skrajnie lewicową partią Sumar. Ricardo Bravo zapewnia, że socjaliści popierają projekt Platformy, ale nie chcą tego powiedzieć publicznie z obawy przed koalicjantami z Sumar. Ci bowiem nie chcą słyszeć o zmianie prawa.

Na razie lewicowy rząd przedłużył tzw. tarczę ochroną do końca 2024 r. (tarcza chroni przed eksmisją rodziny w trudnej sytuacji życiowej; powstała w czasie pandemii i do tej pory przedłużano ją dziesięciokrotnie).

– Uzurpacja mieszkań należących do banków jest akceptowalna społecznie. Lecz problem *inquiokupas* uderza często we właścicieli, którzy mają tylko jedno lub dwa mieszkania i kredyty do spłacenia. Rozumiem, że niektóre osoby mogą znaleźć się w trudnej sytuacji i dlatego nie mogą płacić czynszu. Powinno im pomagać państwo, ale nie kosztem innych obywateli – uważa Ricardo Bravo.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

REKLAMA



Christoph MAUCHER bursztynowa SZKATUŁA pełna tajemnic

wystawa w Sali Wystaw Czasowych
na Zamku Wysokim
od 6 kwietnia do 1 grudnia
2024 roku



Muzeum Zamkowe
w Malborku



WIKIPEDIA.ORG

HISTORIA

REPUBLIKANIN Z PODOLA

Jak wielu z jego pokolenia, całe życie krzątał się wokół sprawy polskiej – jako XIX-wieczny polityk, żołnierz, pisarz.

Wolności nie dożył, zabrakło paru lat:

Zygmunt Miłkowski, znany też pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż.

PIOTR HAPANOWICZ

SARACEJA TO MIEJSCE NIEZWYKAJNE – skądś i dziś. W dawnych wiekach ta osada – założona nad Dniestrem, na jego lewym brzegu, na historycznym Podolu – należała do „kresowych stanic”. Brzeg prawy długo był już, jak nazywał to Sienkiewicz, multański (turecki, potem mołdawski).

Dziś Saraceja znów jest na pograniczu, historycznym i politycznym: od trzech dekad przynależy do Naddniestrza, separatystycznego parapaństwa, które z rosyjską pomocą oderwało się od Mołdawii.

POKOLENIE | Dwieście lat temu, gdy w tej wsi przychodził na świat Zygmunt Miłkowski – bardziej może zapamiętany pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż – należała ona do Rosji, już od czasów drugiego rozbioru w 1793 r.

Gospodarowała tu ziemiańska rodzina Miłkowskich. I nie tylko gospodarowała: ojciec Zygmunta był za młodu oficerem napoleońskim. Synowi, urodzonemu w 1824 r., zaszczylił ideały demokratyczne i liberalne. Wpływ na światopogląd młodego Zygmunta wywarł też dominujący wówczas romantyzm. Pod

którego urokiem miał pozostać zresztą do końca życia.

Ukończywszy z wyróżnieniem prestiżowe liceum w Odessie, studiował matematykę w Kijowie – i tam pierwszy raz zaangażował się w polską konspirację.

Gdy w Europie zaczął się w 1848 r. gorący okres Wiosny Ludów, przerwał studia i dołączył do węgierskiego powstania przeciw Habsburgom. Służył w Legionie Polskim gen. Józefa Wysockiego. Jako porucznik brał udział w oblężeniu Aradu (dziś w Rumunii), w ofensywie wiosennej roku 1849, w bitwie pod Temesvárem.

Gdy Austriacy z pomocą Rosji pokonali powstańców, jak wielu z nich przeszedł na terytorium neutralnej Turcji.

ETAPY | Kolejne 60 lat życia, już na obczyźnie, miało upłynąć Miłkowskiemu pod znakiem działalności politycznej i literackiej. Żywe usposobienie, optymizm i wiara w odzyskanie niepodległości – to wszystko skłaniało go do wejścia w politykę.

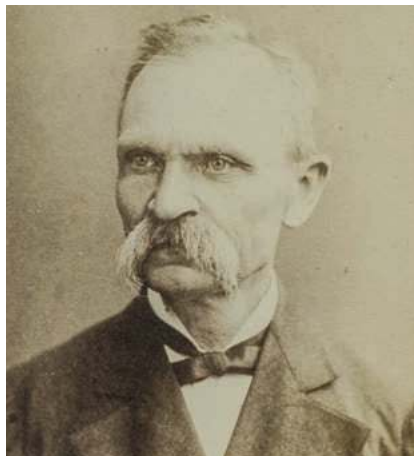
Najpierw działał w Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W latach 50. XIX w. był emisariuszem na Bałkanach, podczas wojny krymskiej (1853-55) brał udział w próbie formowania legionu polskiego u boku Turcji walczącej z Rosją.

Gdy w 1863 r. w zaborze rosyjskim wybuchło powstanie styczniowe, podjął próbę organizacji polskich oddziałów w Galicji. Został mianowany pułkownikiem i przyszłym naczelnikiem wojskowym na rodzinnym Podolu. Ponieważ jednak antyrosyjskie powstanie na tym terenie nie wybuchło, w Tulczy (dziś Bułgaria) organizował kolejny oddział. Wraz z nim próbował ponownie dostać się na Podole, ale bez powodzenia.

I znów, jak po roku 1849: gdy powstanie upadło, kontynuował na emigracji pracę polityczną i publicystyczną. Często zmieniał miejsce zamieszkania: najpierw był Belgrad, potem Bruksela, a od 1872 r. Szwajcaria. Tam osiadł. Z czasem stał się jedną z głównych postaci polskiej emigracji. Działał w jej instytucjach, jak Zjednoczenie Emigracji Polskiej, Związek Wychodźstwa Polskiego czy Muzeum Narodowe w Rapperswilu.

DEMOKRATA | Wiek XIX to czas, gdy w Europie dominują jeszcze monarchie; ich kres przyniesie dopiero I wojna światowa. Tymczasem Miłkowski przez całe życie był wierny zasadom republikańskim i demokratycznym. Podkreślał: „Polakiem, republikaninem, demokratą byłem i jestem”. Historyk literatury Aleksander Brückner nazwał go nawet „Katonem demokracji”. Podstawą jego myśli było przekonanie o prawie człowieka do godności i wolności, połączone z wiarą w naturalne jego dobro.

Miłkowski podkreślał, że celem naderżnym Polaków powinno być odzyskanie niepodległości państwowej i praca na rzecz dobra wspólnego. Był przeciwni-



POLONA.PL

Po upadku węgierskiej Wiosny Ludów 25-letni ZYGMUNT MIŁKOWSKI udał się na emigrację, z której już nigdy nie wrócił. Na rycinie obok: kapitulacja ostatniej armii powstańczej pod Vilagos w 1849 r. Węgierscy i polscy uczestnicy antyhabsburskiego powstania, którzy przeżyli, tak jak Miłkowski zwykle uciekali do neutralnej Turcji.

Powyżej: na zdjęciu w styczniu 1895 r.

kiem konserwatyzmu w sferze politycznej i społecznej. Jak pisał Jan Ludwik Poławski, według Miłkowskiego najważniejszym bieżącym zadaniem dla Polaków było „oświecanie ludu, rozbudzanie w nim poczucia narodowego i godności obywatelskiej, i wyrabianie poczucia obowiązku we wszystkich warstwach społeczeństwa, zarówno wyższych, jak i niższych”.

MANIFEST | W 1887 r. Miłkowski publikuje swój najważniejszy tekst polityczny: „Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie Narodowym”. Ten manifest romantycznej, ale też pragmatycznej postawy pchnął ówczesną polską myśl polityczną na nowe tory, przyczynił się do przewartościowania dotychczasowego myślenia.

Miłkowski krytykował w nim ideę ugody z zaborcami. Zwracał uwagę, że polityka, którą określał mianem „obrony biernej”, zrodziła się ze strachu i rezygnacji, które opanowały serca i umysły po klęsce powstania styczniowego. Miłkowski krytykował tych, którzy chcieli bronić polskości tylko przez pracę organiczną „w granicach prawem przepisanych”. Nie zgadzał się z konserwatystami krakowskimi, ich „wywodami przeciwko *liberum conspiro*”.

Dowodził, że zaborcy mają ten sam cel: przerobić Polaków na Rosjan, Prusaków lub Austriaków. Dlatego, chcąc przetrwać,

Polacy powinni wrócić do „obrony czynnej”. Miłkowski określał ją jako zespół działań jawnych i tajnych, których celem jest wzmocnienie materialne i duchowe narodu, tak aby w dogodnych okolicznościach móc wybić się na niepodległość. Stwierdzał, że „obrona czynna nie polega na powstaniu, ale nakazuje nie odżegnywać się od onego i mieć je na widoku”. Chodziło o powstanie „racjonalne, zastosowane do szans przewidywać się dających”.

WPLYW | W swoim manifestie Miłkowski konstatawał też, że konieczna jest koordynacja działań i powołanie ośrodka centralnego, który kierowałby walką czynną. Potrzebne jest też gromadzenie środków na przyszłą walkę zbrojną, a zatem utworzenie Skarbu Narodowego. Nie widząc jednak na razie okoliczności sprzyjających walce zbrojnej, proponował skupić się na ochronie bytu narodowego. I tak, w kraju należało m.in. rozwijać oświatę na wsi, na emigracji zaś lobbować na rzecz sprawy polskiej za pośrednictwem publicystyki zagranicznej.

W swoich „Rodowodach niepokornych” (opowieści o polskich inteligentach z wieku XIX i początku XX) Bohdan Cywiński stwierdza, że broszura Miłkowskiego stała się „hasłem do odrodzenia polskiego patriotyzmu i nowej ideologii irredentystycznej”. Odegrała ważną rolę wychowawczą dla młodego pokolenia z lat 80. i 90. XIX w.

I to ponad podziałami. Endek Roman Dmowski wspomina, że „była ona gorliwie czytana przez młodzież i rzucone w niej hasła znalazły w niej duszy odgłos”. Z kolei socjalista Stanisław Wojciechowski przyznał, że spośród lektur, które docierały do młodzieży studenckiej w Warszawie, największy wpływ wywierała ona właśnie.

STRUKTURY | Koncepcję aktywnej postawy przyjęła współtworzona przez niego w 1887 r. tajna organizacja Liga Polska. Miłkowski był twórcą jej programu, w którym głównym punktem było „przysposobienie i skupienie wszystkich sił narodowych, celem odzyskania niepodległości Polski w granicach przedrozbiorowych, na podstawie federacji i z uwzględnieniem różnic narodowościowych”.

Odbudowane państwo miało być demokratyczną republiką. W piśmie „Wolne Słowo Polskie”, które Miłkowski

→ redagował przez wiele lat, deklarował, że jego celem jest „wolna i niepodległa, na podstawie związku wolnych z wolnymi i równych z równymi, tak w społecznym, jak w politycznym względzie zorganizowana, Rzeczpospolita Polska”.

Struktura Ligi była tak pomyślana, by wokół idei niepodległości jednoczyć ludzi o różnych poglądach. Z jej środowiska wyszli późniejsi działacze endeccy, socjalistyczni, ludowi. Z czasem okazało się jednak, że Liga nie ma na tyle silnego zaplecza, by stać się prężną organizacją trójzaborową. Ujawniły się też w niej tarcia ideowe.

Dla Miłkowskiego istotna była wtedy również współpraca z ludźmi z młodej generacji, zwanej pokoleniem niepokornych. Widział w nich potencjał. Z jego inicjatywy w 1887 r. Zygmunt Balicki powołał Związek Młodzieży Polskiej. Przez organizację tę, początkowo o niejednolitym obliczu ideowym, przeszło wielu znanych potem działaczy, którzy związały swoje losy z różnymi ugrupowaniami.

Wówczas, u progu lat 90. XIX w., Miłkowski utworzył Skarb Narodowy – dobrowolny fundusz składkowy na rzecz sprawy polskiej.

ENDECCJA | To w ramach Ligi Polskiej Miłkowski nawiązał współpracę z przyszłymi prominentnymi politykami ruchu narodowo-demokratycznego – jak Zygmunt Balicki, Jan Ludwik Popławski i jego przyszły lider Roman Dmowski. Po przejęciu przez nich władzy w Lidze i przekształceniu jej w 1893 r. w Ligę Narodową, włączył się w działalność nowej tajnej organizacji i wspierał ją ze środków Skarbu Narodowego.

Sędziwy Miłkowski pozostał cenioną postacią ruchu; przez Dmowskiego traktowany był jako mistrz. Szacunek wobec Miłkowskiego uwidaczniał się też w endeckiej publicystyce, gdzie pisano o nim jako o najwybitniejszym przedstawicielu emigracji politycznej.

Ale choć nowi przywódcy Ligi podkreślali, że jest dla nich autorytetem, z czasem dały znać o sobie różnice pokoleniowe i programowe. Ostateczny rozbrat Miłkowskiego z endecją nastąpił w 1908 r., gdy jej przedstawiciele postawili na ugodę z Rosją. On określił to jako „zwrot na prawo w tył”. Był rozczarowany ich postawą, bo Rosję uznawał za głównego wroga sprawy polskiej.

SOCJALIŚCI | Choć w ramach Ligi Polskiej Miłkowski współpracował też z socjalistami nurtu niepodległościowego, był niechętny socjalizmowi. Nie akceptował metod, jakimi chcieliby oni dokonać reformy stosunków społecznych. Kategorycznie odrzucał walkę klas jako metodę rozwiązywania społecznych napięć. Pisał: „Moje atoli przekonania demokratyczne, uznające wolność, równość, przeniknięte braterstwem, pogodzić się nie mogły z socjalistycznym szczepieniem nienawiści klasowej”.

Jak zauważa historyczka Ilona Zaleska, Miłkowski nie bagatelizował jednak kwestii socjalnej. Przeciwnie, pojęcie sprawiedliwości społecznej miało dla niego duże znaczenie. Tyle że on zalecał pracę w duchu solidaryzmu narodowego, a socjalizm odwołujący się do internacjonalizmu oraz walki klas tę solidarność burzył – i w tym wymiarze był dla niego zjawiskiem niesprzyjającym odzyskaniu niepodległości.

LIST | Historyk Władysław Pobóg-Malinowski napisał o nim, że Miłkowski do końca pozostał „niestrudzonym propagatorem idei walki zbrojnej o niepodległość”. W 1910 r. znów pisał, że celem ostatecznym jest Polska wolna, niepodległa i cała, „w polsko-rusko-litewskim, demokratycznym braterskim zjednoczeniu”.

Był to już okres poprzedzający I wojnę światową i nic dziwnego, że Miłkowski – całe życie zwolennik walki zbrojnej w sprzyjających okolicznościach – zbliżył się do środowiska Józefa Piłsudskiego i jego ruchu strzeleckiego. Do jego koncepcji nawiązywały wszak powstałe wtedy tajny Związek Walki Czynnej czy też Polski Skarb Wojskowy.

W lipcu 1914 r., w przeddzień Wielkiej Wojny, Miłkowski – liczący 90 lat i niebiorący już aktywnego udziału w życiu politycznym – napisał list do strzelców Piłsudskiego, przyszłych legionistów. Widział w nich spadkobierców idei niepodległościowej. Pisał, że nadchodząca wojna to szansa dla Polaków. Nie oznaczało to jednak jego akceptacji dla orientacji na

państwa centralne – uważał, że sprawę polską należy związać z Anglią i Francją.

LITERAT | Był wreszcie Miłkowski jednym z najpłodniejszych – obok Józefa Ignacego Kraszewskiego – pisarzy polskich. Pod pseudonimem Teodor Tomasz Jeż opublikował ponad 70 powieści (m.in. „Asan”, „Uskoki”, „Za króla Olbrachta”, „Wasyl Hołub”). Można w nich znaleźć odniesienia do aktualnych kwestii społeczno-politycznych. Jak pisze Danuta Ossowska, w utworach literackich tworzył wzór polskiego „romantycznego organicznika”, później spotykanego wśród postaci literackich Prusa czy Stefana Żeromskiego.

Co ciekawe, przez emigrację był postrzegany przede wszystkim jako polityk i publicysta polityczny, rzadziej zaś jako pisarz. W kraju było dokładnie na odwrót – tu jego literacki dorobek zadecydował o wyjątkowej pozycji w polskim społeczeństwie. Przez wiele lat utrzymywał siebie i rodzinę właśnie z pracy pisarskiej.

ZACZYN | On, który całe życie krzątał się wokół sprawy polskiej, nie doczekał niepodległości. Zmarł 11 stycznia 1915 r. w Lozannie, gdzie został pochowany na cmentarzu Bois-de-Vaux. Jego pogrzeb stał się manifestacją patriotyczną, uczestniczyli w nim obecni wtedy w Szwajcarii Ignacy Jan Paderewski i Henryk Sienkiewicz.

Gdyby szukać jego najważniejszego życiowego dokonania, byłaby nim – patrząc z perspektywy – chyba przede wszystkim aktywizacja społeczeństwa po okresie apatii, która nastąpiła po klęsce powstania styczniowego.

Jak to sam o sobie napisał: „Należałem do tego rodzaju ludzi, co w społeczeństwach pełni funkcję drożdży fermentacyjnych, niezbędnych do przestawiania się społeczeństw na drodze rozwoju postępowego”.

© PIOTR HAPANOWICZ



Zygmunt Miłkowski
(Teodor Tomasz Jeż),
Lozanna, Szwajcaria,
przed 1915 r.

ELIZA

Kącka: *Imprezuję ponadto*



ROCZNICA SMOLEŃSKA, BLOKADA POD uniwersytetem, zatrzymane autobusy. Stercząc przy krawężniku, śledzimy procesję tabliczek z wizerunkami ofiar smoleńskiego spisku. Nosiciele świeckich feretronów srożą się patetycznie, gotowi w każdej chwili ześliznąć się w histerię, a równie dobrze pyskować policji. Nazwisko z megafonu – przysiad nosiciela, jego chwila celebry. Przypominam sobie procesje w oktawę Bożego Ciała w dzieciństwie, z pochodem chorągwi. I myślę sobie, że to było czystsze. Obok staruszka: „Pani, ja do kościoła nawet przejść nie mogę”. Ja do niej: „Tu ponoć defiluje kościół”. „Nie. Jakby to była żałoba, taka w Bogu żałoba po zmarłych, to bym wierzyła”. „A nie jest?”. „Nie”. Stoimy, obserwujemy. Staruszka: „Wie pani, można wierzyć albo nie. Ja wierzę. Ale jednego nie mogę przyjąć: kupczenia Bogiem. Biedni ludzie”. „Biedni jak biedni”. Patrzy na mnie poważnie: „Biedni, bo nie wiedzą, co czynią. Jaką rozrzucają truciznę”. „Może wiedzą?”. „Nie”.

SZATNIA BIBLIOTECZNA, PODTACZAM SIĘ Z TORBĄ NA KÓŁkach. Szatniarka: „No nareszcie!”. „Że torba?” – uśmiecham się. „Przetrzymała nas pani tym plecakiem, już myślałam, że się pani przestraszyła naszych żartów”. „Bynajmniej”. „A to się Mireczek ucieszy”. Z kanciapy wychodzi pan Mireczek, ochroniarz: „O, jest torba!”. „Zrobiłam państwu frajdę”. „Ja już Alince mówiłem: »Patrz, Alinka, wszyscy muszą znormalnieć, psia-krew!«. A pani jednak nie musi”.

DWÓJKA W WIEKU STUDENCKIM W 116, JAZDA NA MOKOTÓW. Ona: „Ale ja widzę, że ty ciągle nadzieję żyjesz”. On: „Nie, już nie, ale jeszcze daję jej szansę”. „No ale daj spokój, weź, stawiaj karty na siebie”. „Ale ty jesteś też kobieta, to mi poradź”. „No, mówię ci, nie jest warta ciebie. Kobiety są fałszywe ogólnie”. „A skąd ty to wiesz?”. „Ja się pasjonuję psychologią między innymi. A wieczorem imprezuję ponadto”. „Super, ideał”. „No, ja myślę”. „Wiesz, masz rację, mam strasznie mieszane uczucia na jej tle”. „No, ja myślę”. „Ale ja się staram być serio w stosunku do kobiet jednak”. „Dbaj o siebie”. „Rozumiesz, ja chcę być jak mężczyzna w swoim zachowaniu. W sumie to już mi bardziej o to chodzi, niż o nią”. „Łapię. Ale zakładasz opcję przeprosin?”. „Nie. Ja to robię tylko dla siebie”. „Dobrze cię wyczułam psychologią. Pokażesz jej dobrą wolę tak dla siebie”. „Tak”. „A potem impreza na podratowanie”.

AUTOBUS 503, TŁOCZNO, STADKO DZIECI W WIEKU PÓŹNOpodstawówkowym. Nadają znad komórek na cały pojazd. Dziewczynka w bluzie na trzy czwarte ciała: „To się skończy sądem. Ja nie chcę”. Chłopiec w spodniach z krokiem nad kostką: „Ja bym poszedł, jakbym miał wolne z lekcji. Coś zeznać, a potem Netflix na chacie”. Bluzowa: „Mnie psychiatra ogólnie zabronił stresu”. Dziewczynka w dresie: „Tusz mi się przez was rozmażał, dopiero go pomalowałam”. Chłopiec w bejsbolówce: „Ej, ale po co sąd? To przegryw. Nikt nie pójdzie dla niego zeznawać”. Niski w kroku: „Bo jego rodzicielka nie łapie, że ma przegrywa, i chce sprawiedliwości, ogarniasz?”. „Nie. Masakra. Przez to cała szkoła go nienawidzi”. Tuszowa: „Już go nienawidzą. »Krzywy ryj« to niby o kim?”. Niski w kroku: „Zrobił aferę, że go zamykają w kiblu. Sorry, na tym by się skończyło. Ja sam bym nie zamykał nikogo w kiblu, ale to on wypowiedział wojnę”. Tuszowa: „Donosem”. Bluzowa: „Jak mnie Karola prześladowała, to brałam tabletki, ale nie mówiłam starym”. Bejsbolowy: „A on się wyzalił. Za tydzień Dawid by się nim znudził. A tak ma przesrane”. Tuszowa: „Ja bym zmieniła szkołę”. Niski w kroku: „Rel. Też bym zmienił. Zaszkoził”. Dziewczynka w czarnym golfie: „Ale to Dawid bije”. Niski w kroku: „Ma prawo”.

KOLEJKA W LIDLU OSIEDLOWYM, GODZINY WIECZORNE. Przede mną dwie po sześćdziesiątce. „Chcesz przyjąć obraz?”. „Tak, chcę, wpisałam się w kolejkę u proboszcza”. „Jolanta wzięła jako pierwsza”. „Jest matką księdza. Jak ogłosili peregrynację kopii po domach, to wiedziałam, że weźmie”. „Nie, to Marianna, Jadziu. Jolanta podeszła proboszcza”. „To ta z Żywego Różańca?”. „Tak, liderka adoracji”. „Ambitna”. „Musimy podzielić się Matką, trudno. Ale ty weźmiesz jako pierwsza od nas? Musimy trzymać straż”. „Wezmę, wezmę. Ze mną nie problem. Będę klęczeć”. „To w czym rzecz?”. „Mąż się wścieka, że mu ściągają kościół do domu”. „Ale Andrzej jest pobożny”. „W kościele. Ale w domu chce oglądać telewizję”. „Aha”. „A rozumiesz, jak mi obraz przyniosą, to ja nie pozwolę telewizora zapalić, wszyscy mają klęczeć”. „No jasne!”. „Nie wiem, czy się ugną. Wezmę obraz, ale oni się będą musieli potem z tego spowiadać”. „Córka też?”. „Gosia? A jak! Ona mi powiedziała, że ta peregrynująca kopia to fejk”. „Co to jest »fejk«?”. „Nie wiem. Ale boję się, że ja ołtarz ustawię, a oni będą sobie robić kolację i chodzić do toalety”. „Bluznierzstwo!”. „Tak! Przy Matce nie robi się kupy”. „Prawda, racja, dobę można wytrzymać”.

PARK MORSKIE OKO, NOC, ROSZADY ŚWIATEL NA CIEMNYCH prostokątach trawników. Napieram w górę, pod pałacyk Szustra. Przysiadam. Niemal nikogo, ale na sąsiedniej ławce ktoś rozłożył się z obozowiskiem. A przy ławce dwa psy. Staruszek wyciąga scyzoryk, kładzie deskę poprzecznie na ławce i piłuje tępy ostrzem kielbasę i chleb. „O, widzi, jak czekają”. „Czekają”. „Ma zwierzęta?” – pyta. Ja, że nie. Ma córkę, dla niej piłuje po nocy. „Mała?”. „Duża”. „O – patrzy ze współczuciem – musi boleć”. Boli. ©



NATALIA POLASIK / @MOONWATERPL

Natalia Polasik, „Angels in the Secret Forest”, 2021

NAUKA

PO CO SĄ FILOZOFOWIE

WOJCIECH SADY, FILOZOF:

Twórcy mechaniki kwantowej publikowali artykuły z pogranicza fizyki i filozofii, o naturze ludzkiej wiedzy, bo musieli pisać wzory na coś, czego nie rozumieli. Później zrezygnowali z filozofowania, przyjęli postawę „zamknij się i licz”.

KAROLINA GŁOWACKA: Do dziś robi wrażenie atomizm Demokryta. Ot, siłą umysłu doszedł do tego, że świat składa się z maleńkich atomów.

WOJCIECH SADY: Ale te atomy miały mieć haczyki i dziurki, dzięki którym mogły się łączyć...

No to Anaksymander – niemalże Darwin! Twierdził, że zwierzęta morskie wywodzą się od innych zwierząt morskich, a człowiek z niższych gatunków zwierząt.

Był jeszcze Empedokles, on w przekazach też wygląda na prekursora teorii ewolucji. Według niego świat miał cyklicznie powstawać i ginąć. I kiedy znów się odradzał, jego części łączyły się przypadkowo, powstawały potwory. W większości ginęły, przeżywały tylko te należycie zbudowane. Więc tu mamy jakiś zarys teorii ewolucji!

Ale były też poglądy, że Ziemia pływa po wodach i czasem się zakolysze tak jak statek. No i wtedy naczynia spadają ze stołów. Takie to miało być wyjaśnienie trzęsień ziemi.

Jaka była wartość tych rozważań?

Jak się weźmie tysiąc pomysłów, ot tak sobie rzuconych, to kilka z nich będzie jakoś analogicznych do tego, co my dzisiaj sądzimy. Najistotniejszą jednak wartością jest to, że w ogóle podjęto próbę naturalistycznego wyjaśnienia zjawisk przyrody.

U Homera czy Hezjoda czytamy o Zeusie, który ciska piorunami, o bogach zsyłających na ludzi choroby. Przekonanie o boskiej przyczynie wielu zjawisk było rozpowszechnione w basenie Morza Śródziemnego i nie tylko. Kiedy zbliżała się kolejna powódź Nilu, kapłani w Egipcie składali bogom ofiary, wznosili do nich modły, żeby była ona jak najobfitsza, bo wtedy Egipcjanie zbierali najwięcej plonów.

Tales po podróży do Egiptu miał stwierdzić, że to nie bogowie powodują podnoszenie się wód morskich, tylko wiejące z północy wiatry, które spiętrzają wody. Anaksymander miał spekulować na temat piorunów. Przekonywał, że to nie rozgniewany czy rozkapryszony Zeus nimi ciska, tylko że w chmurach gromadzi się powietrze i ogień, a kiedy chmury się zderzą, pękają. Wtedy uwolniona mieszanina powietrza i ognia leci ku ziemi, świecąc. Mamy „Corpus Hippocraticum” – teksty, w których czytamy, że to

choroba, a nie bóg szkodzi ciału. Jest takie zdanie o „świętej chorobie”, czyli padaczce, którą autor tej książki próbuje wyjaśnić zbytnim zawilgoceniem mózgu.

To wyjaśnienia, rzecz jasna, nie do przyjęcia, ale są to pierwsze próby, o jakich wiemy, naturalistycznego wyjaśniania świata.

Możemy powiedzieć, że naukowy sposób myślenia narodził się z czystej myśli filozofów?

To nie jest takie proste. Aczkolwiek niektórzy, pisząc książki o historii nauki, czują się w obowiązku zacząć właśnie od Talesa, Anaksymandra, Anaksymenesa – przynajmniej wspomnieć, że tacy byli. A później dodają Pitagorasa czy Heraklita.

Prawda jest taka, że wiemy o nich niewiele, mało, a istniejące źródła są niepewne. W dodatku to, co o nich czytamy, pochodzi głównie z tekstów, które powstały po co najmniej kilkuset latach. Krążą na ich temat rozmaite słuchy – jak te, że Tales sformułował twierdzenie Talesa, a zatem miał jakąś wiedzę z matematyki. Ale to nie jest pewne.

Nie wiemy, czy twierdzenie Talesa jest faktycznie twierdzeniem Talesa?

Nie wiemy. Mamy opowieści o tym, że zmierzył wysokość piramidy Cheopsa w Egipcie, porównując długości cieni rzuconych przez tę piramidę i inne przedmioty. Ale nie mamy pewności, czy sformułował słynne twierdzenie.

Mówimy też o twierdzeniu Pitagorasa, a nie wiemy nawet, czy Pitagoras istniał, bo najstarsze pisma mówią, że nikt go nie spotykał poza gronem najbliższych współpracowników, a i tak rozmawiając z nimi, był okryty jakąś tkaniną.

Ja bym nie wiązał początków nauki greckiej z jońskimi filozofami przyrody i ich następcami do Demokryta włącznie. Początków nauki trzeba szukać w Aleksandrii, w dziełach wielkich geometrów, Euklidesa, Archimidesa, w geografii Eratostenesa, w astronomii Apolloniosa i Hipparcha, w badaniach anatomicznych Herofilosa i Erasistratosa. Ci dwaj ostatni prowadzili sekcje zwłok, podobno robili też wiwisekcję – na przestępcach skazanych na śmierć.

Czyli wizja, że oto nauka zrodziła się z czystej myśli, jest może kusząca, ale zdaje się, że nieprawdziwa.

Musi być pomiar, musi być obserwacja. I wiedzieli to ci w Aleksandrii.

O pomiarach obwodu Ziemi dokonał przez Eratostenesa, a przez Hipparcha z Nikai odległości Ziemi od Księżyca, dzisiaj każdy naukowiec powie, że to dobra nauka.

Człowiek jest istotą, której przetrwanie zależy od tego, co potrafimy wyprodukować. Żeby mamy marne, pazurów nie mamy. Selekcja naturalna będzie pozwalać przeżywać częściej tym, którzy potrafią lepiej wytwarzać rzeczy – narzędzia, ubrania. To wiedza praktyczna była i jest ważniejsza. Tyle że ta wiedza ludziom zawsze mieszała się z magią. Przez tysiąclecia mieliśmy zbitkę wiedzy praktycznej, z opowieściami o jakichś duchach, które się kryją w krzakach.

Myślę, że praca pierwszych greckich myślicieli polegała na tym, żeby wydożyć to, co rozsądne, praktyczne, ale dodać do tego teorię. To jest fenomen Greków. Egipcjanie umieli wytyczać kąt prosty w terenie. Brali sznur, odmierzali na nim trzy, cztery i pięć równych kawałków i napinając je, tworzyli trójkąt prostokątny. Ale w ciągu dwóch tysięcy lat, podczas których się tego używało, nie ma żadnego śladu w refleksji nad tym, że trzy do kwadratu dodać cztery do kwadratu to pięć do kwadratu.

Tylko praktyka, a nie ma szukania schematu.

Tak. Grecy do tych umiejętności zaczynają dokładać teorię. Przykład – Babilończycy rozwinęli astrologię. Uczni przez setki lat śledzili ruchy planet w stosunku do gwiazd, ustalali cykle tych ruchów, ale nie zrobili tego, co zaczęli robić Grecy. Nie zbudowali matematycznych czy geometrycznych modeli ruchów planet.

Ci wielcy Grecy dużo nam dali, ale też coś zabrali. Średniowiecze było wręcz sparaliżowane Arystotelesem. Z Filozofem się nie dyskutowało.

W największym skrócie to było tak, że nauka grecka rozwija się do połowy II w. p.n.e., później zostaje zniszczona przez ekspansję Rzymian. Ożywa na chwilę w II w. n.e., działa wtedy Galen z Pergamonu – wielki lekarz i anatom. Działa też Klaudiusz Ptolemeusz – astronom. Ale to są niemal samotne postaci. Potem jest dziura, a kiedy to myślenie greckie znowu ożywa w czasach Simpliciosa →

→ i Filoponosa, to cesarz Justynian Wielki wydaje edykt, żeby zamknąć wszystkie szkoły, których nie prowadzą chrześcijanie.

Czemu to robi?

Bo chciał mieć imperium wyłącznie chrześcijańskie. Zachodnia część dawnego, starożytnego świata, tego rzymskiego, już nie istniała, bo unicestwiła ją wielka wędrówka ludów. Justynian zamyka „pogańskie” szkoły wschodniej części imperium w 529 r.

Później dziedzictwo Greków przejmują uczeni mówiący po arabsku. Oni mieli swój najlepszy okres między X a XII w., ale to też się skończyło, zarówno z powodu antyintelektualnej reakcji duchowieństwa islamskiego, jak i z powodu potwornego najazdu Tatarów na Mezopotamię. Z drugiej strony, na Zachodzie mamy skuteczny atak chrześcijańskich rycerzy na arabską wtedy Andaluzję. Po opanowaniu regionu, w Toledo, chrześcijanie widzą coś dla nich niebywałego: papiernie, w których można było produkować materiał do pisania. Tani, w dużych ilościach. Fenomen. Mało tego, znaleźli sterty papieru zapisanego po arabsku. Przyjechał Gerard z Cremony i inni uczeni, którzy się specjalnie z tej okazji nauczyli arabskiego. Przetłumaczono wtedy na łacinę Euklidesa, Archimidesa, Galena i Arystotelesa. Czyli prawie wszystko, co znamy dzisiaj, oprócz Platona, platoników i tradycji hermetycznej.

Kiedy dokonano tych przekładów, Europa zmądrzała na tyle, że można było założyć pierwsze uniwersytety. Na uniwersytetach średniowiecznych uczono, natomiast nie prowadzono badań. Powstają one około 1200 r., a do 1600 r. nie ma tam żadnego postępu! Czyta się Arystotelesa na kursie sztuk wyzwolonych, później Galena i Awicennę – perskiego uczonego piszącego po arabsku. Czyta się jeszcze

kodeksy rzymskie, a na wydziale teologii Biblię i pisma ojców Kościoła. Tak więc tylko starożytnych.

Czyta się i nie zadaje pytań?

Było przekonanie, że starożytni znali prawdę, naszym zadaniem jest tylko ją zrozumieć i przekazać kolejnym pokoleniom. Tymczasem u starożytnych jest wiele niejasności.

U Galena są ewidentne błędy.

No właśnie – przez 350 lat trwają wykłady z anatomii. Czasem uzyskiwano pozwolenia na sekcję zwłok podczas wykładów medycznych. Rzadko, ale się zdarzało. Profesor głośno czytał. Kilka metrów dalej – no bo to przecież śmierdziało, brudno, nieprzyjemnie – demonstrator ciął zwłoki. Studenci patrzyli z góry. A ten demonstrator czasem nie był w stanie pokazać tego, o czym czytał profesor... Przez 350 lat wszyscy udają przed sobą, że widzą to, czego nie ma.

Kiedy kończy się to udawanie?

Gdy Gutenberg wynajduje prasę drukarską – w połowie XV w. Było duże zapotrzebowanie na książki medyczne, a druk pozwolił na zwiększenie ich dostępności. Aby je zilustrować, potrzebowano drzeworytów i miedziorytów. Artystom zaczęto zlecać przedstawienie jakiegoś narządu, ci przynosili swoje prace, ale one nie zgadzały się z tym, co pisał Galen. Bo ci artyści Galena nie czytali! Rysowali to, co widzieli, wcześniej przeszkoleni w realistycznym przedstawianiu świata. To był pierwszy impuls, po którym wreszcie zaczęły się odkrycia anatomiczne. Apogeum stanowiło dzieło Wesaliusza „De humani corporis fabrica” (O budowie ciała ludzkiego). Wesaliusz sam robił sekcje zwłok. I nagle okazało się, że u Galena są błędy i trzeba je poprawiać. Zaczęło to zmieniać nastawienie do nieomyślności starożytnych. Dużą rolę odegrało tu też

odkrycie Ameryki, o której Grecy oczywiście nie mieli pojęcia.

Runął mit nieomyślności.

Jeszcze jedna rzecz decyduje o biegu historii – upada Konstantynopol. Uprowadzając ten dramat, kardynał Basil Bessarion przeniósł się z Konstantynopola do Rzymu i przywiózł ze sobą 500 greckich rękopisów. Watykańska biblioteka posiadała wtedy 350 rękopisów. To pokazuje, jakie skarby intelektualne trafiły na Zachód. Były tam dzieła Platona, Plotyna i teksty hermetyczne – astrologia, alchemia, magia. A to się spłotło z wynalezieniem przez Gutenberga prasy drukarskiej.

Marsilio Ficino ze współpracownikami szybko tłumaczy te teksty na łacinę, przez co stają się powszechnie dostępne w Europie. To powoduje ogromny wzrost zainteresowania astrologią. Z naszego punktu widzenia astrologia to koronny przykład pseudonauki, ale to jej popularność wytworzyła presję na badania astronomiczne. Żeby astrolog mógł stawiać horoskopy, musiał wiedzieć, gdzie będą planety w marcu przyszłego roku, bo akurat król go zapytał, czy ruszać na wyprawę przeciwko Saracenom.

Wtedy pojawiają się dwie ważne szkoły. Jedna w Wiedniu – założona przez Georga von Peurbacha i Regiomontanusa. A druga w Krakowie – zakłada ją Marcin Król, do którego dołącza Marcin Bylica. Bylica z Regiomontanusem napisali podręcznik do astrologii, który miał trzynaście wydań w krótkim czasie. Dzieło Kopernika miało w podobnym okresie wydań raptem dwa. Mamy w Krakowie Miechowitę, mamy Wojciecha z Brudzewa. I w to środowisko trafia młody Mikołaj Kopernik.

Czyli mamy już czas, w którym można podważać starożytnych.

Przychodzi rewolucja naukowa najbardziej chyba kojarzona z Newtonem, gdzie liczy się przede wszystkim eksperyment.

Trzeba tutaj wspomnieć jednak o Arystotelesie i tekstach zebranych 300 lat po jego śmierci, którym nadano tytuł „Fizyka”. Jeśli w ogóle ktokolwiek się zajmował ruchami czy przemianami ciał, to używał „Fizyki” Arystotelesa. Ale wprowadzano do niej pewne modyfikacje. Jeszcze w starożytności Hipparch z Nikei, a później Jan Filoponos do fizyki Arystotelesa dodali coś, co dzisiaj nazywa się teorią im-

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie, XVI Wydział Cywilny pod sygnaturą akt XVI 123/22, toczy się postępowanie z wniosku Hanny Pres o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłej Hannie Marii Pawłowskiej, córce Stanisława i Seweryny, zmarłej dnia 20 listopada 2008 roku w Warszawie, ostatnio przed śmiercią na stałe zamieszkałej w Warszawie przy ul. Bełskiej 24 m 15.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku pod rygorem pominięcia ich w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

petusu. Później, w XIV wieku, została ona rozwinięta na Uniwersytecie Paryskim przez Jeana Buridana i Mikołaja z Oresme.

Jednak jeśli w średniowieczu natrafiano u Arystotelesa na niejasności albo sprzeczności – kiedy przeczył sam sobie albo Biblii, albo innemu źródłu autorytatywnemu – to pisano tzw. kwestie czy komentarze. Ale nigdy w średniowieczu nie podjęto próby połączenia tych tekstów w nową całość. To były takie izolowane próby, a jednocześnie każdy kolejny cykl wykładów zaczynało od Arystotelesa.

Brakowało tej zasadniczej cechy, jaką ma dzisiaj nauka – kumulacji wiedzy. Ciągłe zaczynało niemalże od zera.

W XVII w. to już nie mogło się utrzymać. Pojawili się uczeni, którzy zrozumieli, że Kopernik ma rację. A fizyki Arystotelesa nie dawało się pogodzić z systemem Kopernika. Według Arystotelesa ciała ciężkie z natury spadają do środka świata. Więc jeśli środek świata nie jest w środku Ziemi, to dlaczego upuszczony przedmiot spada w stronę naszych stóp? Powinien przecież polecieć na Słońce! Dla ludzi takich jak Kepler, Kartezjusz, Galileusz stało się jasne, że jeśli mają przyjąć kopernikanizm, to trzeba zbudować nową fizykę. Zaczyna się chaos poszukiwań. Nikt nie wie, w którą stronę to pójdzie.

Aż wreszcie Robert Hooke połączył teorię impetusu z kopernikanizmem i tym wszystkim, co wtedy wiadano. Czyli, choć fizykę trzeba było budować na nowo, to arystotelizm odegrał w powstaniu mechaniki newtonowskiej zasadniczą rolę. Newton w dużej mierze opierał się na ideach Hooke'a, do jego ustaleń dokładając obliczenia matematyczne. Zresztą Newton mu za to nigdy nie podziękował, mało tego, usuwał po nim ślady. Gdy został prezesem Royal Society, to cudownie zniknął portret jego poprzednika – Roberta Hooke'a właśnie.

Przenieśmy się do współczesności. Mamy np. mechanikę kwantową, której ustalenia stoją w sprzeczności z naszym potocznym myśleniem, nasze intuicje dotyczące takich pojęć jak „miejsce” czy „czas” zostają wystawione na ciężką próbę. Czy czysta myśl, filozofia, może cokolwiek zdziałać, kiedy mamy do czynienia z rzeczywistością fizyczną umykającą-



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. WOJCIECH SADY pracuje na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Śląskiego. Zajmuje się filozofią nauki oraz historią idei naukowych i religijnych. Autor m.in. czterech tomów z serii „Dzieje religii, filozofii i nauki”, „Sporu o racjonalność naukową”, „Struktury rewolucji relatywistycznej i kwantowej w fizyce” oraz współautor – wspólnie z Katarzyną Gurczyńską-Sady – „Antropocenu” i „Wielkich filozofów współczesności”. Regularnie publikuje cykle wykładów na własnym kanale YouTube.

ca poznanu naszych zmysłów? Czyli: czy filozof jest dzisiaj potrzebny?

Twórcy mechaniki kwantowej – Edwin Schrödinger, Werner Heisenberg, Niels Bohr, Paul Dirac – pisywali artykuły i książki z pogranicza fizyki i, można by powiedzieć, właśnie filozofii. Niemal wszyscy najważniejsi coś takiego tworzyli. Są tam refleksje na temat natury wiedzy ludzkiej. Musiały się siłą rzeczy pojawić. Nagle trzeba było pisać wzory na coś, czego nie rozumiemy. Ale da się to obliczać i odnosi się w ten sposób sukcesy. W końcu większość fizyków zrezygnowała z filozofowania i przyjęła postawę „zamknij się i licz”.

Mówi się, że fizyka na pewnym poziomie utknęła. Czy gdyby funkcjonował teraz umysł na miarę Arystotelesa, toby to jakoś pomogło popchnąć ją do przodu? Jak na razie nie da się choćby skwantować grawitacji.

Nie da się, bo fizyka w ogóle jest osobliwym zlepkiem różnych, nie zawsze dobrze przystających do siebie teorii – nie da się połączyć już szczególnej teorii względności z mechaniką kwantową bez używania pewnych sztuczek matematycznych. A czy dociekać głębiej... to zależy od postaw. Wielu naukowców po prostu ma pracę, dostaje różne nagrody. Dociekania na temat podstaw są niesłychanie ryzy-

kowne i dają mało życiowych zysków. Bo ktoś, kto by się zastanawiał nad tym, o co w tym wszystkim chodzi, nie będzie miał wyników, których się od niego oczekuje, nie dostanie grantu.

Czyli odpowiedź brzmi „nie”? Filozof nie jest potrzebny?

Mechanika kwantowa ma już sto lat. Za rok minie sto lat od sformułowania zasady nieoznaczoności. No i żadnego kroku tutaj nie zrobiono. Pyta pani, czy w takim razie refleksja filozoficzna mogłaby nam pomóc. Nie wiem. Kopernikanizm pewnie nie mógłby się narodzić bez astrologii jako bodźca, który zachęcał ludzi do badań astronomicznych. Może gdyby pojawiły się jakieś wpływy zewnętrzne wobec fizyki, mogłoby to pomóc. Ale trudno mi sobie wyobrazić, jakie by one miały być.

Jest jednak miejsce dla filozofów we współczesnym świecie. Pan się odnalazł jako popularyzator nauki na YouTube.

A pani jest matką chrzestną mojego kanału! W 2021 r. powiedziałem pani, że nagrałem kilkanaście wykładów o historii nauki dla grupki jedenaściora studentów zaocznych – i pani mi poradziła, że bym opublikował je na YouTube, a nie serwerze uczelnianym. Wtedy nie wiedziałem nawet, że tak można. Założyłem kanał, a po miesiącu chciałem sprawdzić, czy studenci to oglądają. Zaglądam i dowiaduję się, że wykładów wysłuchało ponad sto osób, a bodaj 73 mój kanał zasubskrybowały. Spodobało mi się to, zacząłem nagrywać, najprostszym domowym sposobem, kolejne wykłady. Dziś subskrybentów mam 4300 i nadal ich szybko przybywa. Sprawia mi to wielką satysfakcję: robię wykłady, których wysłuchuje co najmniej tyle osób, ile wysłuchało ich na różnych uczelniach w ciągu 40 lat. Co więcej, są to ludzie, którzy słuchają z ciekawości, z pasji, a nie po to, żeby dostać zaliczenie. Tylko wraz ze wzrostem oglądalności coraz bardziej się denerwuję – bo i odpowiedzialność coraz większa.

Może zacznę nagrywać jeszcze raz od początku, żeby poprawić błędy ujawnione dzięki uwagom słuchaczy.

© Rozmawiała KAROLINA GŁOWACKA

Karolina Głowacka jest autorką podcastu *Radio Naukowe*.

ON, ONA, ONO

BETTINA BEREŚ, MALARKA:

Bałam się, że jak urodzę, to dostanę fioła,
rodzicielstwo mnie zaślepi, sztuka zejdzie na plan dalszy.
Ale jak już urodziłam syna, okazało się, że przyszedł dla mnie najlepszy czas twórczy.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Błat był w paski?

BETTINA BEREŚ: Czarno-pomarańczowe. Wykonany z podłej płyty pilśniowej. Pomarańczowa farba dość szybko degradowała się, wgłębiała się, natomiast farba czarna od wilgoci puchła, więc paski zaczęły robić się przestrzenne. Rodzice ten kuchenny stół zmontowali w roku 1960, w momencie, gdy wprowadziliśmy się do jednopokojowego mieszkania z kuchnią i łazienką oraz pracownią rzeźbiarską. Te kolory to całe moje dzieciństwo toczące się w kłębach dymu papierosowego. Kopcili zarówno rodzice, jak i odwiedzający ich goście.

Prawdziwy dom artystów?

Bez telewizora, dywanów, meblóścianek, a nawet firanek. 20 metrów kwadratowych. Rodzice wspólnie zrobili ażurową ściankę optycznie dzielącą tę przestrzeń na część sypialną oraz salon. Miała elementy ruchome: głowy, twarze, w tym jedną ze śmiesznymi uszami, i całe postacie, które można było obracać, co dawało efekt dźwiękowy: drewno piszczało i zgrzytało.

Podział domowych obowiązków?

Bez ustaleń. Wychodziło, jak wychodziło. Potem były wzajemne pretensje: rodzice wyrzucali sobie, że ktoś nie zrobił obiadu. W sumie częściej gotował Bereś. Pora dla niego nie była ważna, obiad musiał być, choćby w nocy, najlepiej w postaci bitek z ziemniakami. O co zła była

Pinińska, gdyż uważała, zresztą słusznie, że obiad powinno się jeść za dnia i należy go podać dziecku, które wróciło ze szkoły.

Ciekawe, że o rodzicach mówisz po nazwisku.

W ten sposób oni się do siebie zwracali. Ale to był też zwyczaj środowiskowy. W Związku Plastyków mówiło się: proszę kolegi, a w Grupie Krakowskiej po nazwisku, np. „Nowosielski zrobił to i tamto”. W domu uznawałam to za coś naturalnego. Ale jak przy mamie którejś z koleżanek mówiłam: „Pinińska uszyła tę sukienkę”, to mnie upominała: „Jak ty mówisz o swojej matce?”.

Redaktorka mojej książki „Awangarda między kuchnią a łazienką” sugerowała, by we fragmencie o Beresiu, gdzie piszę, jak nagi występuje w jednej ze swoich akcji, zamienić nazwisko na słowo „ojciec”. I zaczynał się problem. No bo jak pisać w tym miejscu „tatuś”?

Jak to jest, gdy córka patrzy na nagiego ojca, który własne ciało traktuje jako element sztuki?

Byłam oswojona z jego nagością. Sympiało nago, do łóżka przemyczał zasłaniając łono dłońmi. A to, że w akcjach publicznych występował goły, dla mnie było oczywiste. Twierdził, że ubranie maskuje prawdę przekazu i nagość jest warunkiem koniecznym do tego, by działanie wybrzmiało czysto, by nie wkraść się element fałszu. Pamiętam akcję ojca w Krzysztoforach. Byłam prawie dorosła,

siedziałam koło przyjaciółki mamy, kobiety tradycyjnej, która nagle zaczęła mi opowiadać na ucho jakieś historie. Dopiero po czasie dotarło do mnie, że ona chciała odwrócić moją uwagę od nagości ojca.

Rozumiałaś jego sztukę?

Przez skórę wchłaniałam ją od niemowlęstwa. I właściwie ojciec się sztuką z nami pożegnał. Ostatnim jego dziełem był „Ołtarz spokoju”. Składa się ze stołu, na którym znajdują się dwa wyryte znaki nieskończoności – jeden biały, drugi czerwony – oraz umieszczonej nad blatem dużej dłoni, w geście pożegnania. Ołtarz stał na środku jego pracowni, ustawiony w ten sposób, byśmy go zobaczyli natychmiast po wejściu. A weszliśmy chwilę po jego śmierci w roku 2012.

Z bliskimi też się porozumiewał za pośrednictwem sztuki?

→

BETTINA BEREŚ

(ur. 1958 r.) jest artystką wizualną. Wraz z Martą Tarabutą założyła Galerię Zderzak. Autorka ponad czterdziestu wystaw indywidualnych. Córka artystów Marii Pinińskiej-Bereś i Jerzego Beresia, prowadzi fundację imienia rodziców opiekującą się ich twórczością. Nakładem wydawnictwa Universitas ukazała się właśnie jej książka „Awangarda między kuchnią a łazienką. Maria Pinińska-Bereś i Jerzy Bereś”.

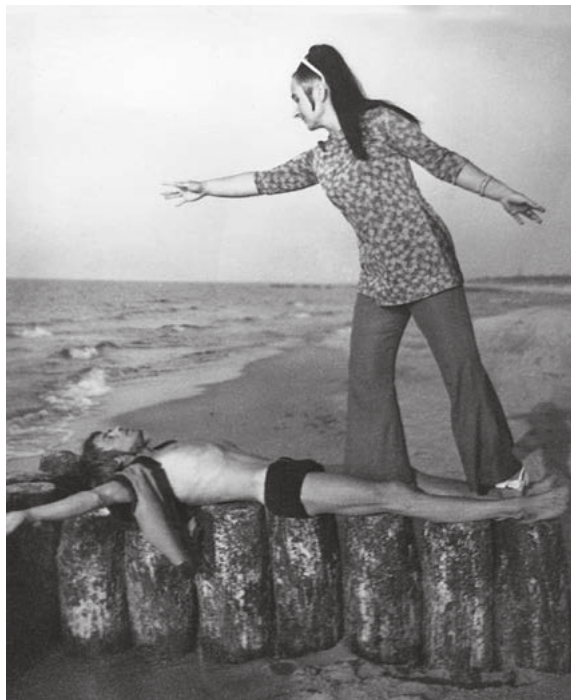


GRACZYNA MAKARA



Po lewej:
Jerzy Bereś, manifestacja
„Msza romantyczna”, galeria
Krzysztofory w Krakowie,
1978 r. Ojciec uwielbiał palić
ogniska. Rozpalał je w swoich
akcjach i manifestacjach, ale
też w naszym ogrodzie lub
na wakacjach. Potrafił nawet
podczas deszczu rozpalić
malutkie ognisko, by się ogrzać,
gdy przeczekiwaliśmy w górach
nagłą ulewę.

Po prawej:
Maria Pinińska-Bereś i Jerzy
Bereś, Mielenko, 1970 r.
W albumie rodzinnym to
zdjęcie mama podpisała:
„Wskrzeszenie Łazarza”.
Autorką inscenizacji
była mama, tacie niezbyt
się ten pomysł podobał,
ale się zgodził ułożyć
w pozycji fakira,
ja zrobiłam zdjęcie.



→ Dla Beresia ważna była najprostsza droga do przekazu, pod którym skrywały się skomplikowane treści. To miał być pretekst do dyskusji na temat najwyższych wartości toczonych z Duchampem, Warholem, Witkacym, Wajdą, Kantorem. Jako rzeźbiarz Bereś był bezkompromisowy. I długo jego prace nie uważano za rzeźby, skoro nie były wykonane według nawet najbardziej liberalnego kanonu rzeźbiarskiego. Przecież ojciec nie pracował w specjalnie przygotowanym kłocu, lecz wyszukiwał kawałki pni czy konarów, które go inspirowały, i podążał za ich kształtami. Powierzchnię pozostawiał nieobrobioną, często nie okorowywał pni, co w oczach tradycyjnych rzeźbiarzy dyskwalifikowało jego prace. Konkretny element potrzebny w kompozycji rzeźbił do momentu, w którym stawał się on rozpoznawalny. Nie dążył do perfekcji. Nigdy nie bazował, jak on to nazywał, na majsterstwie.

Liczył się z opiniami?

Pytał mnie, co sądzę, ale jak już uznał, że skończył rzeźbę, nigdy w trakcie pracy, mówił: „Idź, zobacz!”. Wchodziłam do pracowni pachnącej lipą i patrzyłam na jego kolejne dzieła.

Mama potrafiła być wobec jego rzeźb krytyczna. Zrobił kiedyś „Ołtarz ludowy”, w którym wykorzystał powyginane konary splatając je tak, że utworzyły znane nam w Polsce symbole kotwicy i litery S. Udekorował je białymi kokardami, ma-

jącymi dla niego z pewnością znaczenie symboliczne. Mama wyśmiała go, że robi korzenioplastykę i w dodatku dekoracyjną.

Przejął się?

Pozostawał niewzruszony. Przede wszystkim miał potrzebę wypowiedzenia, to było dla niego kluczowe. Nie bał się krytyki, i ośmieszenia. Kiedyś, w czasie odbywającej się akcji, Elżbieta Cieślarsowa, związana ze środowiskiem neoawangardy, rozebrała się do naga i stała obok Beresia. Mimo że nie był tym zachwycony, podał jej gazetę, zachęcając, by coś z niej stworzyła. A Cieślarsowa nie miała pojęcia, co zrobić, dla niej sam fakt rozebrania się był niebotycznym wyrazem, w efekcie usunęła się na bok



Ja z rodzicami
w naszym jednopokojowym
mieszkanu, które
było również pracownią.
Kraków, 1969 r.

i ubrała. Równolegle Bereś wiele spraw potrafił traktować z humorem.

Nie robił dzieł czysto komercyjnych?

Ani ojciec, ani mama tego nie robili. Pod tym względem oboje byli radykalni, uważali, że chałtura niszczy twórczy potencjał. Poszli na kompromis w końcówce lat 50. Po namowach architekta Krystiana Seiberta zdecydowali się na współudział w wystroju kościoła Matki Boskiej Fatimskiej w Tarnowie. Później wielokrotnie tego żałowali, gdyż obiecowane wcześniej swobody artystyczne okazały się fikcją. Wykonali ołtarz główny oraz dwa ołtarze boczne – mocno stylizowane rzeźby w drewnie. Nosem kręcili parafianie przyzwyczajeni do tradycyjnej sztuki. Niezadowolone okazały też ksiądz. Chodziło



Po lewej:
Maria Pinińska-Bereś,
performans „Sztandar
autorski”, wzgórza
Prokocimia, 1979 r.

Po prawej:
Jerzy Bereś,
manifestacja
„Pomnik artysty”,
Plener Pytań, 1978 r.
Droga z Warcina
do Kępic.
To ja idę za ojcem.

Zdjęcia z archiwum
rodzinnego dzięki
uprzejmości
Betтины Bereś



I. WOJTKIEWICZ

o figurę Marii, która stała w głównym ołtarzu, między wystającymi spod sukni bosymi stopami tworzyła się przestrzeń, w której ksiądz zobaczył nieprzychylny kształt migdała. To go rozpraszało, nie mógł odprawiać Mszy, rzeźbę usunięto, podobno umieszczono na plebanii. Ołtarze boczne zostały do dziś, lecz udekoro- wano je świętymi obrazami, więc straciły surowe piękno.

Z czego żyli?

Przed wszystkim żyli skromnie. Całe życie bez etatu. Polskie muzea artystom za ich dzieła proponowały głodowe stawki. W totalnej bryndzy, kiedy nie było na jedzenie, tata robił misę i wystawiał ją na sprzedaż w sklepie Związku Artystów Plastyków, który znajdował się w Sukiennicach. Ojcu zdarzała się sprzedaż prac za granicą, dolar zamieniony na złotówkę to była fortuna, którą trzeba było szmuglować.

Dlaczego ich pracownia przy mieszkaniu nie była wspólna?

Materiały im się nie zgadzały. Pierwsze prace, jakie Pinińska wykonała w pracowni, były betonowe. Tata rozpoczął wtedy realizację drewnianych „Zwido- wów”. Kurz powstały przy obróbce betonu i wióry drewniane w pomieszczeniu wzbudzały ich irytację. W połowie lat 60. mama odkryła papier mâché. Wiele elementów szła z białego i różowego płótna, uznała więc, że w pracowni jest

zbyt brudno, i urządziła sobie kącik do pracy w pokoju. Feministki się obruszają, że Bereś został w pracowni, a Pinińska musiała ją opuścić. O tym jednak zdecydowały względy praktyczne.

Pod koniec lat 60. stworzyła rzeźbę „Czy kobieta jest człowiekiem?”. Ma kształt stroju kąpielowego z zarysowanym kształtem piersi, brodawek i pępka. Na białym tle odcisnięto dziesiątki różowych pocałunków. Jest też tabliczka z napisem: „Data produkcji... Data ważności...?”.

Mimo że miała poglądy feministyczne, uważała, że ideologia nie może stać przed sztuką.

Naczelną zasadą, jaką oboje moi rodzice kierowali się w twórczości, była szczerość wypowiedzi. A Pinińska jako kobieta chciała znaleźć środki wyrazu alternatywne do obowiązujących. Jej artystycznym sztandarem stał się róż – kolor landrynek, bielizny, dziecięcych ciuszków, skóry, waginy, cielesności. Tym samym grała z poetyką wdzięcznej kobiecości.

W latach 60. i 70. to było kompletnie niezrozumiałe. Jej prace uznawano za kiczowate i mało znaczące. Niektórzy mówili „żona Beresia”. Czuła, że oczekuje się od niej parzenia herbaty.

Jak reagowała?

Bardzo ją to frustrowało. Kiedyś w konkursie Rzeźba Roku rozłożyła jedno ze swoich białoróżowych dzieł. Wysłała na

moment do innego pomieszczenia. Po powrocie okazało się, że na jej rzeźbie jest ślad damskiego buta wybrudzonego gównem. Wystawę zorganizowano na pierwszym piętrze BWA, na schodach nie pozostał żaden ślad. Prawdopodobnie ktoś przyniósł brudny but w worku i zrealizował swój plan, kiedy nikogo nie było w pobliżu. Więc najpierw sztuka mamy budziła złość, potem przyszło niedowierzanie. Na początku lat 90., podczas odbywającego się w Wiedniu sympozjum feministycznego, mama pokazywała slajdy prac i opowiadała nienagannym niemieckim o swojej twórczości. Wśród zgromadzonych podniosły się głosy, że to niemożliwe, by pracami z papier mâché o wydźwięku feministycznym Pinińska zajmowała się już w latach 60., skoro robiła to kilka lat później Judy Chicago w pracy „The Dinner Party”. Została uznana za mitomanke – nikt jej tam nie wierzył.

Ty od początku rozumiałaś jej sztukę?

Nigdy nie miałam wątpliwości, że to, co tworzy, jest ważne.

Mama pytała mnie o zdanie od najmłodszych lat. Kiedy w latach 70. zaczęła tworzyć miękkie rzeźby – poduszki w kształtach węży, kołder, wagin, falusów – byłam potrzebna ja, bo ona nie miała drygu do robótkeł ręcznych. Pięknie rysowała, doskonale formowała prace w przestrzeni, ale szycie jej nie

→ wychodziło, mordowała się nad maszyną do szycia, kupioną zresztą przez Beresia. Pomagałam jej, często z łaski, naburmuszona. Żałuję. Nie byłam dobrą córką.

Jaką była matką? Powiedziała, że poświęciła Ci trzy lata ze swojego życia i to były trzy lata odebrane sztuce.

Miała skłonność do przesady, ale to zdanie wyhaftowałam potem na makatce. Jednocześnie miała rozbudzony instynkt macierzyński. Kiedy była dziewczyną, wracając ze szkoły, usłyszała płaczące dziecko. Choć było obce, wyjęła je z wózełka, poszła do domu i tam próbowała je uspokoić. Efekt dało to odwrotny: maluch wrzeszczał wniebogłosy, zaraz też rozległ się wrzask matki, która zobaczyła, że wózek jest pusty. Pinińską z trudem udało się przekonać, by oddała ukradzione dziecko.

No a Wasza relacja?

Mawiała, że macierzyństwo „padło jej na mózg”. Przez pierwsze trzy lata mojego życia musiała się mną zajmować, była rozdarta między obowiązkiem rodzicielskim a pragnieniem tworzenia sztuki. Tutaj coś wtedy między nami musiało nie zagrać. Z nikim się tak nie kłóciłam jak z mamą. Wystarczyło, że któraś z nas zrobiła minę, krzywo spojrzała i już iskrzyło, padały ostre słowa i nawet latały talerze. Mama potrafiła być wobec mnie okrutnie szczerą: kiedyś zaczęła mnie rysować, po czym przerwała, mówiąc, że jestem byle jaka.

Nie mogło nie boleć.

Chciała, bym się od dzieciństwa wyróżniała, nie wtapiała w szarzyznę. Taki przykład: jako dziewczynka chciałam mieć zaplecione warkoczyki i nosić na głowie chustkę. A ona na to nie pozwalała. Teraz to potrafię docenić, ale wtedy chciałam być jak rówie-

śniczki. Mama przede mną się otwierała, chętnie opowiadała o sobie. I zamiast bajek snuła opowieści rodzinne, głównie o babkach i ciotkach stłamszonych przez mężczyzn. Ale nie rozmawialiśmy na tematy intymne, w wieku dojrzewania to nie ona była powiernicą moich sekretów. Temat seksu i cielesności – nie istniał. W przeciwieństwie do ojca mama nie spała nago, ale za to na wakacjach na plaży opalała się topless. Co mnie konfundowało, bo słyszałam niewybredne komentarze. Więc z jednej strony w domu były tematy przemilczane, z drugiej szedł bezpośredni komunikat. Rodzice dali mi przekaz, że w rodzinie jest się szczerym, nie prowadzi się polityki między bliskimi. A to też w efekcie nie jest najlepsze. Sporo siniaków zostaje po tej szczerości.

Twoja droga twórcza?

Początkowo usiłowałam odcinać się od rodziców. Tak było do momentu, kiedy zaczęłam wykonywać prace dotykające wątków rodzinnych, miejsc, przodków i przodków. Zaczęło do mnie docierać, że to, co od nich dostałam, to nie ciężar, ale bezcenny posag. Dopiero wiele lat po śmierci mamy dotarło do mnie, że z powodu jej antymacierzyńskich opowieści tak późno zdecydowałam się na dzieci. Bałam się, że dostanę fioła, rodzicielstwo mnie zaślepi, sztuka zejdzie na plan dalszy. Ale jak już urodziłam syna, okazało się, że przyszedł dla mnie najlepszy czas twórczy.

Opowiedz.

Przestał mnie interesować cały świat. Nie ciągnęło mnie do towarzystwa artystycznego, wystaw, dyskusji... Było dziecko i była sztuka. Nie miałam pracowni, więc malowałam w domu, co nie stanowiło problemu, przeciwnie, czułam, że jestem na swoim miejscu. W momencie kiedy stałam matką, stałam się też artystką. Zyskałam dystans do tego, co robią rodzice. I nie bałam się tego, że ktoś będzie mnie z nimi porównywał, liczył, tropił i wskazywał, ile sztuki stworzonej przez nich przeniknęło do sztuki tworzonej przez mnie. Ja przecież widzę sztukę podobnie jak oni.

Dlatego, że jest

JERZY JARNIOWICZ

Reznikoff nie musi stawiać znaków zapytania, by pytać. Przecież jego świat ufundowany jest na niepewności.

TEN WIERSZ MOŻE BYĆ WPROWADZENIEM do twórczości Charlesa Reznikoffa: „Na stercie cegieł i tynku leży / belka, nadal pozostająca sobą pośród gruzu”.

Reznikoff urodził się w Nowym Jorku w rodzinie, która do Ameryki przybyła w ucieczce przed pogromami ze wschodniej Europy. Urodził się więc jako syn uchodźców, ale też jako Amerykanin w świecie zwanym kiedyś nowym, który był zawsze jego światem, a który jednocześnie przypominał mu, że jest tu nie całkiem swój, czasem wręcz wykrzykiwał mu w twarz, że jest tu kimś obcym.

Choć biografia plasuje go w dwóch światach: żydowskim i amerykańskim, to wyobraźnia każe mu rozdwojenie nieustannie przekraczać, by znaleźć punkt, w którym będzie mógł bez zafałszowywania swojej tożsamości być poetą zarówno żydowskim, jak i amerykańskim.

Wygnanie

Wczesne wiersze Reznikoffa, a debiutował w 1918 r., zawdzięczały niemało jeszcze innej kulturze – dalekiej, bo japońskiej. Mimo zrozumiałej rezerwy, jaką budzi dziś mocno już strywalizowana tradycja haiku, dla Reznikoffa była ona szkołą takiego dialogowania z rzeczywistością (tą w zasięgu zmysłów), które uwolniłoby wiersz od dążeń do przejęcia kontroli nad sensem rejestrowanych obrazów.

Wiersze Reznikoffa są wciąż wzorcem takiego oglądu bezpośrednio doświadczanego świata, w którym to ten świat, a nie doświadczająca go i porządkująca świadomość, stoją w centrum. Uważność? Tak, taka postawa wymaga uważności,



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”

w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA



Nowojorski pisarz i poeta Charles Reznikoff

ale też zgody na fragmentaryczność zapisywanych obrazów i ich nieuchronną ulotność. Wraz z takim przeniesieniem uwagi zrodzić się musi gotowość na świat niezhierarchizowany, niepełny i akcydentalny, powiem: wygnańczy. Najśłynniejsze wiersze Reznikoffa chwytają właśnie te chwile, gdy belka pokazuje swoją osobność, nie daje się zinstrumentalizować, sprowadzić do symbolu czy aluzji.

Ale to tylko jedna strona poezji Reznikoffa, bo obok wiersza o belce znajdziemy wiersz o kominach, które patrzący kojarzy ze znanym biblijnym obrazem: „Wrośnięte w dachy, z dymem pośród chmur, / kominny fabryk – nasze cedry Libanu”. Cedry to drzewa, pośród których, jako Żyd, wzrastał, które były drzewami jego wyobraźni i jego wewnętrzznego języka, a które w dawnej historii swojego ludu stracił. Ten jednozdaniowy wiersz to los amerykańskiego Żyda w pigułce, przemawiający jednocześnie do wszystkich, którzy odkrywają w sobie wygnańcze powinowactwo. To, co leży u podłoża naszej tożsamości, owe libańskie cedry, zastąpione zostają przypadkowością życia – kominami fabryk. To obraz utraty, wykorzenienia, wygnania, a także, przeciwnie, dowód trwałości naszych kulturowych wyobrażeń, bo przecież drzewa te jednak – w ponadjednostkowej pamięci – przetrwały, nie dając się do końca zastąpić lasem kominów.

Gdy czytać Reznikoffa w większych dawkach, nie może ująć naszej uwagi, że pisze on jakby dwa odrębne poematy: znajdujemy tu bowiem mikrosprowozdania z życia w wielkim, pozbawionym metaforycznej potencji i hierarchicznego centrum mieście; a obok nich wiersze na-

wiazące do ksiąg świętych, do żydowskiej tradycji i historii, w tym także do tradycji mesjanistycznej, od których poeta nie może i nie chce się uwolnić, pisząc jakby innym językiem, podniosłym, hierarchicznym, profetycznym. A mówiąc krótko: z jednej strony mamy tu belkę na gruzowisku, z drugiej – kominny jak cedry Libanu. Nie chce i nie może jednak zrezygnować z żadnej ze stron swojej złożonej tożsamości poety żydowsko-amerykańskiego.

O wygnańczym statusie przypominają mu nie tylko rozdawane w kolejce podziemnej rasistowskie broszurki i słyszane na ulicy antysemickie komentarze, ale też rekwizyty wielkomiejskiego krajobrazu, w który wpisana jest obcość: „Na obcej ulicy, wśród obcych, / rozejrzałem się dookoła, a ty byłeś tam / ponad domami, samotny towarzyszu niezliczonych nocy, / księżycu”.

Ekscentryk

Reznikoff trafił do polszczyzny po raz pierwszy w 1980 r., dzięki opublikowanemu w „Literaturze na Świecie” przekładom Piotra Sommera. Dziesięć lat później ukazało się „Graffiti”, miniaturowy tom wierszy Reznikoffa w przekładach Sommera. Musiało minąć trzydzieści kolejnych lat, byśmy dostali pełnowymiarowy wybór, „Co robisz na naszej ulicy”, wyróżniony Nagrodą Literacką Gdynia w kategorii przekład.

Wejście Reznikoffa tutaj, dostrzeżone i docenione, nie miało jednak tego ofensywnego charakteru, jak wejście tłumaczonych także przez Sommera innych – młodszych – poetów z Nowego Jorku. O ile jego przekłady poezji Franka O'Hary

stały się znakiem rozpoznawczym pokolenia, o tyle przekładów Reznikoffa nie wywindowano u nas do roli poetyckiego wzorca, choć poezja samego Sommera może więcej niż O'Harye zawdzięcza właśnie Reznikoffowi. Nie był to tylko efekt łagodniejszej promocji, odbiło się w tym szczególne miejsce, jakie Reznikoff zajmuje w poezji amerykańskiej.

Pierwsze zbiory wierszy wydawał własnym sumptem, późniejsze też nie weszły do głównego nurtu amerykańskiej poezji. Reznikoff długo pozostawał poetą niewidzialnym, niespiesznym i praktycznie bez uczniów. Był twórcą mającym wiele do powiedzenia, ale to, co mówił, nie przekładało się na spektakularną rewolucję – raczej kazało przyglądać się bliżej i uważniej intonacji wiersza, relacji podmiotu z opisywaną rzeczywistością, zastanym i reprodukowanym hierarchiom kulturowym, pełnięciom naznaczającym twórczość. Reznikoff, konsekwentny ekscentryk (w etymologicznym znaczeniu tego słowa), nie dawał recepty, nie podsuwał dywersyjnych dykcji – namawiał do przekuwanej w zdania osobności.

Wydany właśnie „Muzykant” w przekładzie Piotra Sommera i Marcina Szustera jest tej osobności najtrafniejszym przykładem. To odnaleziona w papierach po poecie, opublikowana pośmiertnie powieść. Zaraz, zaraz: powieść Reznikoffa? Wydawałoby się przecież, że żywiołem tego pisarza jest minimalistyczna, skondensowana poetyka, pochwycony w krótkim, często jednozdaniowym opisie unieruchomiony obraz, nierzadko wsparty na koncepcie, albo fragment spełniający się – jak belka na gruzowisku – w sobie samym. Reznikoff, choć napisał trzy powieści, to twórca o wyobraźni mieszczącej się na przeciwnym biegunie niż ten prozański gatunek.

Rozłączne opowieści

W „Muzykancie” odzywają się dwa ciekawie splecione głosy: bezimiennego narratora, kiedyś poety, dziś komiwożera, oraz spotkanego przypadkowo po latach przyjaciela, Jude'a, tytułowego muzykanta. Opowieści Jude'a, zapisane kursywą, pełnią rolę narracyjnego, ale i graficznego kontrapunktu wobec opowieści głównego narratora. Obaj panowie snują

→ naprzemienne opowieści o zdarzeniach, których byli świadkami, cytują fragmenty przypadkowo usłyszanych rozmów, które tak jak dochodzą do nas bez początku, tak odchodzą bez końca. Przy czym narrator bierze na siebie obowiązek informowania nas przede wszystkim o tym, co dzieje się w chwili obecnej, Jude zaś wędruje wstecz.

To, co w lekturze może początkowo dezorientować, to ewidentny brak łączliwości przytaczanych opowieści – prowadzą one donikąd, nie rozwijają się, nie łączą – jedynym łącznikiem jest to, że świadkami tych zdarzeń jest jeden lub drugi narrator. Kiedy staje się jasne, że lektura postępować będzie rytmem staccato aż do ostatniej strony, wiemy już, że tworzenie spójnej fabularnie narracji Reznikoffa nie obchodzi. Przytaczane scenki mają znaczenie nie dlatego, że wchodzą w relacje z innymi, ale z tego powodu, że po prostu są. W krytycznym momencie powieści, obowiązkowo przywoływanym w każdym bodaj o niej komentarzu, padają ważne, znaczące słowa: „widziałem energię, z jaką Jude dostrzegał ludzi i rzeczy wokół siebie, że nawet najzwyklejszy gest czy urywek nabierał dla niego znaczenia i dawał mu przyjemność, być może dlatego, że jest”. To jedyny chyba w powieści autokomentarz, może wręcz podsunięty nam przez Reznikoffa instruktaż, jak czytać tę nietypową, niełączliwą prozę: składające się na nią fragmenty są ważne, bo zaistniały.

Istnienie tych ulotnych epizodów życia jest jednak zawsze na granicy katastrofy, bo niewiele brakuje, a mogą przepaść, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Reznikoff je ratuje, albo używając bardziej teologicznego języka: zbawia. W ten sposób potwierdza znaczenie „świadcstwa”, nie tylko jako chwytu literackiego, organizującego jego wiersze, ale też jako podstawy etycznej swojego pisarstwa. Jest przecież autorem dwóch długich, paradokmalnych poematów, których wagę trudno przecenić: wielotomowego „Świadcstwa” (1978), będącego zapisem zeznań sądowych z XIX i XX wieku, oraz „Holo-kaustu” (1975), którego podstawą są zeznania byłych więźniów obozów Zagłady.

Czytelnicy znający poezję Reznikoffa łatwo rozpoznają w powieści miejsca, w których autor przedrukował swoje wiersze, wtopił je w prozę. A jednak te wywodzące się z wierszy frag-

Powieść „Muzykant” to amerykański mit opowiedziany na opak – od blichtru ku zatraceniu.

menty brzmią w powieści całkiem odmienną muzyką. Jako wiersze, drukowane w książkach poetyckich, są samostne, kończą się czymś, co wiersz, choćby intonacyjnie, konkluduje. Są domknięte, a gdybyśmy o tym zapomnieli, przypomni nam o tym biała przestrzeń kartki. Te same teksty przedrukowane w powieści, już bez wersyfikacji, a więc bez tej intonacyjnej partytury, grają niedokończonym i efemerycznym, ustępując miejsca kolejnym fragmentom. W prozie wiersze się rozpuentowują, w efekcie dostajemy szereg scen, których sens tkwi w ich akumulacji, w narastającym sąsiedztwie z innymi.

Fabula jest więc, jak możemy tego oczekiwać, pretekstowa: dostajemy odwróconą narrację o amerykańskim mście. Tu bohater nie wędruje od zebrała do milionera, ale odwrotnie: od kogoś, komu wydaje się, że osiągnął wyżyny amerykańskiego sukcesu, uosabianego przez świat Hollywoodu, a więc, przypomnę, bo może o tym zapomnieliśmy: przez świat blichtru i iluzji, do kogoś, kto z tej pozycji leci na łeb, na szyję ku zatraceniu, odnajdując się wśród swoich nowych krewnych: tych, których Ameryka odrzuciła. Wbrew mitom to nie jest kraj, który by gwarantował osobom twórczym, pracowitym czy przedsiębiorczym sukces. Gwarancji powodzenia, ba, gwarancji przeżycia, nikt tu nie daje, a jeśli takie przekonanie nadal pokutuje, to wzbudza ono pusty śmiech.

Babilon

Choć w powieści nie pada rok, w którym się ona rozgrywa, możemy się domyślić, że to połowa lat 30. Faszyzm, który w Niemczech zdążył już pobudować obozy koncentracyjne, odzywa się także w Ameryce. To nie jest Ameryka przyjazna komukolwiek, a już zwłaszcza Żydom. Reznikoff nie rozbudowuje kontekstu politycznego, ale on jest i tej nieodpowiedzianej opowieści nadaje kształt.

Jest w powieści scena, gdy Jude próbuje ostrzec włóczącego się po ulicach żydowskiego nastolatka przed grożącym mu niebezpieczeństwem, chłopiec go jednak ignoruje, idzie dalej ciemną uliczką: „Czy nic go nie przeraża? Nawet zdobycie Jeruzalem przez Babilończyków, przez Rzymian, przez krzyżowców? Żaden pogrom w Rosji? Żadne zamieszki w Niemczech? Żaden obóz koncentracyjny? Jakże on może chodzić sobie tak spokojnie?”. Nie, nie znajdziemy w tej powieści scen fizycznej przemocy, nie dowiemy się, czy chłopiec doszedł do domu bezpiecznie. Czuć jednak atmosferę podskórnej agresji, ciężką od strachu, przesyconą poczuciem osaczenia i osamotnienia, tym bardziej uzasadnionego, że ma za sobą długą, sięgającą czasów Babilonu historię. To świat wprowadzie bez pogromów, ale przypominający nieustannie o tym, że pogrom jest tu ciągle możliwością. Gdy w jednym z wierszy obserwator zauważa na jezdni martwą mewę, a kilka kroków dalej martwego drozda, zadaje znaczące pytanie: „czyżby jakiś pogrom / wśród ptaków?”.

W takich pytaniach, bardziej niż w przedrukowanych wierszach, ujawnia się bliskość tej powieści Reznikoffa i jego poezji. Autor nie musi stawiać znaków zapytania, by pytać. Jego świat ufundowany jest na niepewności: mamy tu kraj pogrążony w wielopostaciowym kryzysie i sygnały nadciągającej katastrofy, mamy serie niedających się poskładać incydentów i biografie, która prowadzi od iluzorycznej kariery w fabryce snów do ubezwłasnowolnienia w zakładzie psychiatrycznym.

Pytań, jakie rodzi ta wygnança twórczość, nie da się powstrzymać: czy belka na gruzowisku może nadal być sobą? I co wynika z tego, że kominy fabryczne narzucają nam myśl o cedrach Libanu? To znaki ostrzegawcze czy, przeciwnie, przebłyski nadziei? Odpowiedz, księżycu, samotny towarzyszu niezliczonych nocy!

© JERZY JARNIEWICZ

Cytaty z wierszy Reznikoffa podaje w przekładzie Piotra Sommera.



Charles Reznikoff
MUZYKANT
przełożył Piotr Sommer
i Marcin Szuster,
WBPiCAK, Poznań 2024



JOJO WHILDEN / MATERIAŁY PRASOWE

Ella Purnell w serialowej adaptacji gry „Fallout” (2024)

Jeśli coś może pójść źle, pójdzie gorzej

MICHAŁ WALKIEWICZ

Spalona ziemia, porośnięte bluszczem stacje benzynowe i szpitale zamienione w ostatnie bastiony ludzkości. Cykl gier „Fallout” od niemal trzech dekad wyznacza standardy postapokaliptycznych narracji. Teraz wchodzi na małe ekrany.

DZIEWCZYŃKA PRZYKŁADA DŁOŃ DO oka, próbuje „zmierzyć” palcami chmurkę na horyzoncie. Chwilę wcześniej usłyszała, że jeśli chmurka będzie wielkości palca, trzeba brać nogi za pas. „A co, jeśli będzie większa?” – pyta.

Scena otwierająca serial „Fallout” (adaptację gry pod tym samym tytułem), który właśnie miał premierę na platformie Prime Video, jest wspaniała – pastelowa hiper-Ameryka może być umowną przestrzenią, ale scenarzyści wiedzą, kiedy i jak wyostrzyć jej krawędzie. Nakręcanie lęku przed wojną atomową nie wydaje się ich celem – punktem dojścia jest tu raczej przegląd narracji, które pomagają z tym lękiem się oswoić.

Filmowy gwiazdor, który ostrzega dziewczynkę, stanie się po wojnie zgorzkniałym (i zmutowanym) łowcą nagród. Oblicze schowanego pod kilogramami lateksu aktora Waltona Gogginsa zwiastuje ten tonalny dysonans: western, kino drogi, makabreska, *sitcom*, komedia pomyłek. Łatwiej powiedzieć, czego w „Falloucie” nie znajdziemy.

Humor, horror, nuka-cola

Oto Duży John, który zbudował bunkier pod ześlomowanym wagonem kolejowym. Ściany wyłożył materiałem termoizolacyjnym, w szafkach pochował puszki z fasolą, a swoje dzieci nauczył rymowanki: „W starym pociągu,

za warsztatem taty. Górą wchodzisz do środka, pamiętaj, by zamknąć klapy”. Sam zapomniał o zapasowym generatorze. Gdy spadły bomby, system wentylacyjny uległ awarii. Groby dzieci znajdziecie za prowizoryczną ścianą. Trzeba ją wybić łomem.

Craig Boone zastrzelił swoją żonę, by nie sprzedano jej na targu niewolników. Była w szóstym miesiącu ciąży, lecz mężczyzna wiedział, jaki czeka ją los, gdy dostrzegł ją przez lunetę karabinu. „Położyłem palec na spuście, ale nie było w tym mojej woli. To było jak scena z filmu, której nie da się zatrzymać. Po prostu rozwija się przed twoimi oczami”.

Witajcie na Pustkowiach! W miejscu, gdzie porażka to nowe zwycięstwo, a zimno, cisza i pustka to najlepsze smaki płatków śniadaniowych. Po lewej – ruiny dawnej cywilizacji. Po prawej – popromienne mysikoty i ptabyki w tańcu godowym. A wszystko to dzięki uprzejmości Tima Caina i Todda Howarda, którzy w grach z cyklu „Fallout” od niemal trzech dekad wyznaczają standardy postapokaliptycznych narracji.

Serialowa adaptacja gry tę polifoniczność i anegdotyczność podniosła do rangi cnoty. Jak przekonuje jeden z jej bohaterów: „Trudno skupić się na celu, skoro za każdym pierdolonym razem coś człowieka rozprasza”.

Opowieści z Krypty

Bomby spadły jesienią 2077 r. Pierwsze zaatakowały Chiny, lecz Ameryka nie pozostała im dłużna – po dekadzie wyniszczającej wojny rozsądek stał się towarem deficytowym. Konflikt atomowy trwał niecałą dobę. Jednoprocentowcy pochowali się w nowoczesnych Kryptach, reszta została na powierzchni. „Wojna nigdy się nie zmienia – przekonuje tubalnym głosem aktor Ron Perlman. – Jej szczegóły są nieistotne, zaś powody najzwyczajniej w świecie ludzkie”.

Tak w 1997 r. rozpoczynała się gra „Fallout”. Choć w swojej profetycznej wizji twórcy zrobili osiemdziesięcioletnią „zakładkę”, to portretując XXI-wieczny świat przed zagładą, wrócili do przeszłości i sięgnęli do amerykańskiej kultury lat 50. W alternatywnej wersji historii Stany Zjednoczone to owad uwięziony w bursztynie – ludzie zakochali się w atomie do tego stopnia, że zakonserwowali jego erę na wieczność. Po ulicach jeżdżą ➔



JOJO WHILDEN / MATERIAŁY PRASOWE

„Fallout”, serialowa adaptacja gry

→ czerwone cadillaki, nuka-colę pije się wyłącznie ze szklanych butelek, a gospodynie domowe pichcą razem z wielofunkcyjnymi robotami.

Cała wielkość „Falloutu” zawiera się w estetycznym kontraście. Wydany tuż przed atakiem na Pearl Harbor szlagier „I Don’t Want to Set The World on Fire” zespołu Ink Spots ilustruje ponure obrazy „nowego porządku”: spaloną aż po horyzont ziemię i prowizoryczne osady z blachy falistej, porośnięte bluszczem stacje benzynowe i szpitale zamienione w ostatnie bastiony ludzkości. Niebo w kolorze ołowiu i – jak pisał w „Drodze” Cormac McCarthy – „rzeki o konsystencji spleśniałego twarogu”.

Nie zapeszej

„Fallout” jest grą z gatunku *role-playing*, co oznacza, że najpierw tworzymy postać według własnych upodobań, a następnie wyprawiamy ją w niegościnnie świat. Obrazek samotnego wędrowca opuszczającego Kryptę jest zakorzeniony w popkulturze równie mocno, co inne elementy zabawy: podręczne apteczki w formie gigantycznej „szprycy”, montowany na przegubie niezbędny z podręczną mapą i sensorem funkcji życiowych itd. Powracająca w kolejnych odsłonach gry scena wyjścia z mroku ma też znaczenie metaforyczne: to podróż ku ideologicznemu oświeceniu, obietnica zderzenia ze światem nowych systemów wartości, niejasnych politycznych rozgrywek i kontrastujących ze sobą obyczajów.

Rozgryzanie tych układów nie stanowi wprawdzie trzonu rozgrywki, lecz ma fundamentalnie znaczenie w budowa-

niu naszej relacji z wirtualnym światem. Nie minie wiele czasu, nim zaczniemy dostrzegać w nim polityczno-społeczną logikę współczesności. Republikańska Enklawa, będąca pogrobowcem federalnego rządu; paramilitarne Bractwo Stali, ze strukturą opartą na średniowiecznym systemie feudalnym; wędrowni „współnotowcy” z autokratycznymi ciągotami i kartezjańskim poziomem wiary w umysł. Żyjący w komunach i sektach naukowcy oraz religijni fanatycy, trwający w aksjologicznym sporze o naturę atomu.

Jako że nagrodą dla gracza bywa ulga po wypłataniu się z tej sieci sprzecznych interesów, „Fallout” nigdy nie był grą ze sztucznie podbijaną stawką. W przeciwieństwie do większości postapokaliptycznych narracji „ratowanie świata” wydaje się w tej opowieści dziecinną fantazją. Liczy się tylko kolejny dzień w cieniu atomowej głowicy, którą sekciarze otoczyli religijnym kultem. Dylemat jest oczywisty: zdetonować i zarobić czy w posłuchać sumienia i żywić się gruzem przez resztę życia?

„Fallout” stawia nas przed podobnymi pytaniami na okrągło, ponieważ – jak każda historia o resecie cywilizacji – bada relację pomiędzy naturą i kulturą. Nie bez przyczyny o tym, jak będzie wyglądała nasza przygoda, decydują tzw. punkty doświadczenia, za pomocą których wzmacniamy konkretne cechy psychofizyczne bohatera. Siła fizyczna odpowiada za udźwignięcie, wysoki wskaźnik percepcji przyda się na szabrach, charyzma z kolei cechuje tych, którzy od argumentu siły wolą siłę argumentów. Psy-

chologicznym rozwinięciem tej mechaniki są tzw. perk, czyli abstrakcyjne oraz rzeczywiste „umiejętności” nabywane na drodze edukacji i socjalizacji.

Mój ulubiony perk, tzw. jinx (w wolnym tłumaczeniu: „nie zapeszej!”), to w zasadzie metafora życia. Wybranie tej cechy sprawia, że blisko połowa złych decyzji na polu walki działa na zasadzie podwójnego prawa Murphy’ego: jeśli coś może pójść źle, pójdzie jeszcze gorzej.

Atom: co o nim sądzicie

W gablotkach z popkulturowymi relikiami błękitny kostium mieszkańca Krypty znajdziemy obok szortów Lary Croft, czapki hydraulika Mario oraz poroża Diablo. Lecz w połowie lat 90. muzeum figur cyfrowych było dopiero w budowie. Wyjątkowość „Falloutu” polegała w dużej mierze na podsumowaniu dotychczasowego dorobku medium oraz ugruntowaniu języka gier wideo jako formy syntetycznej. Z kina twórcy pożyczili dramaturgiczny szkielet opowieści. Z literatury wycieli żywą tkankę języka przyszłości. Malarze o „infernalnych” ciągotach zrzucili się na koncepcję plastyczną. Dzięki interaktywnej naturze gier połączenie tych elementów stało się świadectwem wyjątkowości nowego języka – „Fallout” nie byłby arcydziełem ani w kinie, ani w literaturze, ani w sztukach plastycznych. To, nawiasem mówiąc, najprostsza odpowiedź na pytanie o definicję dobrej gry wideo.

„Twórcy gier zbyt często skupiają się na kontrolowaniu gracza – mówił w wywiadzie dla RPG Codex twórca „Falloutu” Tim Cain. – Chciał, by zachowywał się tak,

jak zachowywali się przed nim niezliczeni bohaterowie książek i filmów. Sęk w tym, że to droga donikąd. Najważniejsze pytanie, jakie może zadać sobie reżyser gry, to pytanie o wrażenia i uczucia. Bez względu na to, czy tworzymy coś nowego, czy adaptujemy cudzą pracę, musimy pytać o to, jak czuje się gracz. Czy jest spięty? Podekscytowany? Przestraszony? Zaintrygowany? Naszą reakcją zaś powinna być próba stworzenia mechanik, które pomogą panować nad tymi stanami”.

W „Falloucie” narzędziem do wywołania rzeczonych emocji jest sama konwencja – stop (post)nuklearnej grozy oraz czarnego humoru. Podsyćanie lęku przed końcem świata idzie w parze z historyczną rekonstrukcją zimnowojennej paranoi. Odbijający się od tych skrajności gracz nie ma w zasadzie wyboru: po doświadczeniu pełnego spektrum ludzkiego okrucieństwa każdy plakat z *pin-up girl* wzywającą do polowania na komunistów jest jak głęboki oddech.

Sequele oraz spin-offy „Falloutu” powstawały w rytmie odmierzonym przez

kolejne technologiczne rewolucje. Najważniejsza z nich, czyli skok w trójwymiarowe środowisko, scementowała status gry jako popkulturowego fenomenu. Trasa samotnego przemarszu biegnie przez całą Amerykę, od Las Vegas, przez Waszyngton, po Los Angeles, lecz jej końca wciąż nie widać.

Najnowsza odsłona cyklu – „Fallout 76” – to rewolucyjne w skali cyklu doświadczenie wieloosobowe. Dziś o kształcie świata po wojnie atomowej decydujemy wspólnie, rozmawiając ze sobą przez zestawy słuchawkowe, przemierzając Pustkowia jako kolektyw. Jak nie trudno sobie wyobrazić, to słodko-gorzki stan rzeczy. Arbitralnie narzucone wirtualnym postaciom przekonania oraz ideologiczne obsesje rezonują z tym, w co sami wierzymy. I o czym, niestety, nie boimy się mówić głośno.

Ghul, ghul, do dna

Gry wideo nie są najwdzięczniejszym materiałem do przekładu. Po pierwsze, są interaktywne, a kino nie jest w stanie zaproponować żadnego narracyjnego ekwiwa-

lentu dla tego rodzaju doświadczenia. Po drugie, ich scenariusze pisane są tak, by to gracz miał pełną kontrolę nad swoją uwagą oraz nieograniczoną ilość czasu na uruchomienie wyobraźni (zbliża je to zresztą do „statycznej” literatury oraz komiksu).

Jonathan Nolan (z tych Nolanów) unika tych pułapek najlepiej, jak potrafi. Odsłania autotematyczną podszewkę historii: serial „Fallout” jest w dużej mierze opowieścią o samym mechanizmie grania. O wykuwaniu charakteru w ogniu kolejnych konfliktów, skupianiu się na nieistotnych rzeczach w trakcie ważnej misji. Wreszcie – o celowaniu z biodra tak, by trafić w prosto w głowę (temu służy pomysłowe wykorzystanie zwolnionego tempa). Jasne, zaniża to wszystko fabularną stawkę, ale z drugiej strony – pomaga w kreacji filmowego świata, który z każdym odcinkiem rozrasta się niczym grzybnia.

Wszystkie fabularno-narracyjne klisze wybełtane są tu w jednym kociołku razem z elementami rozgrywki. Smak jest wyjątkowy: amerykański imperializm okazuje się równie poważną sprawą co nowa dieta proteinowa. I równie niepokojącą co nuklearny grzyb za oknem.

Chmurka nad Ameryką

„A co z resztą świata?” – nie spytał żaden Amerykanin po wojnie atomowej (przed zresztą też nie). Wiemy, że Kanada już przed wojną zamieniła się w ziemię jałową, Meksyk został anektowany, NATO rozwiązane, a Europa wyruszyła na Bliżni Wschód w poszukiwaniu surowców. Twórcy „Falloutu” uczynili z Wuja Sama figurę *pars pro toto* całej współczesnej cywilizacji, co jest o tyle ciekawe, że retrofuturystyczną wizję Ameryki wzniesiono na filarach zachodniego i sowieckiego konsumeryzmu lat 50. i 60.

Historyczka i kulturoznawczyni Susan Reid w książce „The Socialist Sixties” diagnozowała różnicę pomiędzy tymi modelami na przykładzie produktów użytkowych (stanowiących budulec komunistycznego społeczeństwa) i symbolicznych (odwołujących się do gospodarczej *prosperity* USA). Twórcy „Falloutu” tymczasem zwracają się w stronę kulturowo ujednoliconą dystopii – zupełnie jak w Ameryce, wszystko jest w „Falloucie” większe. Granice naszego świata to granice Ameryki. © MICHAŁ WALKIEWICZ

Z głębokim żalem przyjęliśmy informację o śmierci

ś.†p.

dr. hab. inż.

Ernesta Andrzeja Mendreli

pracownika naukowego polskich i zagranicznych uczelni,
członka Klubu „Tygodnika Powszechnego” we Wrocławiu,
gospodarza Klubowych rozmów w ogrodzie.

Elżbiecie, dzieciom i wnukom składamy najszczerze kondolencje

**PRZYJACIELE Z KLUBU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
WE WROCŁAWIU**

Drogiej Ewie Borońskiej

wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Męża Edwarda

składają

**PRZYJACIELE Z KLUBU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
WE WROCŁAWIU**

Okiem reportera

ANITA PIOTROWSKA

„Civil War” rozregulowuje naszą ostrość widzenia, pokazując ekstremalny wysiłek dostarczycieli informacji, związane z nim ryzyka i nadużycia. Chodzi tu jeszcze o dziennikarski etos czy wyłącznie jazdę na adrenalinie?

JEDNYM Z NAJMOCNIEJSZYCH MOMENTÓW „Wesela” Mai Kleczewskiej z Teatru Słowackiego jest wizualizacja współczesnego, świeżo zbombardowanego Krakowa. Jednym ze smutniejszych obrazów ostatnich dni jest powyborcza mapa Polski, rozdartej na dwie połowy. Obie te wizje, wymaginowana i realna, chcąc nie chcąc, spotykają się podczas seansu „Civil War” – filmu, w którym nie da się zobaczyć wyłącznie dystopii o wojnie domowej w Ameryce.

Alex Garland widzi przyszłość „tylko cokolwiek dalej”. W Białym Domu zasiadł kabotyński prezydent, wierny hasłu „dziel i rządź”. Niektóre stany ogłosiły secesję, co doprowadziło do krwawej rozprawy z separatystami. Już ruszyli na Waszyngton i dni prezydenta, który odrząbił w telewizji swe zwycięstwo, zdają się policzone. Trwa walka wszystkich ze wszystkimi, brakuje wody, prądu, benzyny, odbywają się samosądy... Kiedy czwórka dziennikarzy wyrusza oznakowanym autem z Nowego Jorku do stolicy, by relacjonować wydarzenia, ich kraj z każdą milą



coraz bardziej przypomina postapokaliptyczny krajobraz.

Podobnie patrzy na Amerykę brytyjski reżyser: okiem reportera wojennego, który chciałby dawać świadectwo i ostrzegać, wie jednak, jak łatwo wkręcić się w maszynę widowiska. Bo żeby przebić konkurencję (w kinie i na froncie), trzeba być pierwszym i najbliżej jak się da. Siłą „Civil War” jest właśnie niekonwencjonalna widowiskowość tej bliskości. Trudno znaleźć współczesny film, w którym wojna byłaby tak bezpośrednio dotykalna i słyszalna.

Częściowo scenariusz Garlanda ułatwia sobie zadanie, przesadnie dbając o zróżnicowaną reprezentację i tym samym identyfikację z bohaterami. Mamy tu więc coś w rodzaju patchworkowej rodziny reporterskiej: gwiazdę fotografii wojennej (wysmienita Kirsten Dunst) i młodziutką fotoreporterkę (Cailee Spaeny). Jest ambitny dziennikarz (Wagner Moura), który szokuje się do wywiadu z głową państwa, i weteran dziennikarstwa z „New York Timesa” (Stephen McKinley Henderson). Nie przypadkiem mają różne odcienie skóry, temperamenty i podejścia do swego fachu. Tyle że jego etyczna strona ujawnia się mimochodem i nie wprost. Ktoś fotografuje trupy na ulicach, a ktoś inny robi zdjęcie fotografującemu – który z nich bardziej przekracza moralne granice? I jakie to wszystko ma znaczenie, skoro nikomu tymi zdjęciami nie pomogą, a ludzkość niczego się z nich nie nauczy? Co naj-

wyżej „widokiem cudzego cierpienia” polecta uśpione sumienie. Ale to już było.

Wiadomo też, że naciskanie migawki musi skojarzyć się z pociąganiem za spust. I że angielski czasownik *shoot* oznacza strzelanie i zarazem fotografowanie czy filmowanie. Jednakże twórca filmu „Ex Machina” nie podąża utartą ścieżką kina spod znaku „zawód reporter”, czyli za Peterem Weirem („Rok niebezpiecznego życia”), Oliverem Stone’em („Salwador”) i Michaeliem Winterbottomem („Aleja snajperów”). Oglądając dziennikarzy, którzy się kulom nie kłaniają, zawsze można dostrzec zarówno bohaterów narażających życie dla prawdy, jak i antybohaterów, którym chwilami blisko do wygłodniałych hien. Zwłaszcza że dają o sobie znać różnice pokoleniowe. Podczas gdy Lee na innych wojnach zdążyła się nabawić PTSD i zwątpienia w sens pracy, debiutująca na froncie Jessie, uzbrojona w analogowego nikona i przenośną ciemnię, nader szybko się hartuje. I wydaje się, że taka historia mogłaby wydarzyć się wszędzie.

Lecz u Garlanda druga wojna secesyjna, mimo znajomej retoryki, przedstawiona została inaczej niż znane z historii bratobójcze konflikty. Brak tutaj wyjaśnień, na czym polega światopoglądowe pęknięcie, co bywa dość absurdalnym zarzutem wobec filmu. Chociaż łatwo się domyślić, po której stronie bije serce reżysera i co dziś napawa go lękiem, z premedytacją nie opowiada się po żadnej ze stron i nie na-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE MONOLITH FILMS

CIVIL WAR

– reż. Alex Garland.
Produkcja
Wielka Brytania/
USA 2024.
Dystrybucja
Best Film/Monolith
Films.
W kinach.

Alex Garland
to brytyjski
filmowiec i pisarz,
z wykształcenia
historyk sztuki.
Zaczynał
od scenariuszy
m.in. dla Danny'ego
Boyle'a, jako reżyser
zadebiutował filmem
science-fiction
„Ex Machina”
(2014). Fascynacja
tym gatunkiem
znalazła przedłużenie
w „Anihilacji” (2018)
i serialu „Devs”
(2020), a krytyczne
przemyślenia
również w horrorze
„Men” (2022).

Na zdjęciu:
Cailee Spaeny jako
Jessie i Kirsten Dunst
jako Lee w filmie
„Civil War”

zywa ich po imieniu. Zamiast politycznego mięsa serwuje nam scenę, która mówi, o czym naprawdę jest ten film.

Oto podróżujący do Waszyngtonu dziennikarze wpadają w ręce bojówki o niejasnej proveniencji. Każdy z nich dostaje pytanie, skąd pochodzi – za złą odpowiedź grozi seria z karabinu i dół z wapnem. Przeżyją wyłącznie „pełnoprawni Amerykanie”. Współczesne wrzenie świata – sugeruje Garland – wyrasta w ogromnym stopniu ze sztywnych, jednowymiarowych tożsamości. I nieważne, czy chodzi o Amerykę, Ukrainę, Bliski Wschód, Polskę.

Jest w filmie jeszcze inna znacząca scena. Bohaterowie zatrzymują się w miasteczku, nieco sennym i opustoszałym, aczkolwiek mieszkańcy żyją swoim zwykłym życiem, jak gdyby nigdy nic. Nie widzą, co się dzieje w kraju? A może nie wiedzą albo nie wierzą? Przywodzą na myśl mieszkańców rosyjskich miasteczek, pogrążonych w dezinformacji i politycznej apatii, choć po ostatnich wyborach nie musimy szukać analogii aż tak daleko i niekoniecznie w małych miejscowościach. Polityczne niedookreślenie filmu pozwala na takie wycieczki.

„Civil War” rozregulowuje ostrość również wtedy, gdy pokazuje ekstremalny wysiłek dostarczycieli informacji, związane z nim ryzyko i nadużycia. Bo przecież prędo przodu za Lee, z obiektywem wycelowanym w cierpienie i chaos, łatwo zapomnieć, czy nadal chodzi o etos czy o jazdę na adrenalinie. Film Garlanda pozwala poczuć tę dwuznaczność nie tylko w odniesieniu do fotoreporterki wojennej, ale pośrednio też do opowiadacza tej historii. Pierwsza, by dobrze „obsługiwać” wojny, musi wykonać pracę na własnych emocjach, lecz jeśli całkowicie je wyłączy, może zamienić się w automat.

Sam Garland z rozważą pracuje na emocjach widzów. Z jednej strony robi wiele, byśmy się w tej wojnie zatracili, poculi ją na własnej skórze, z drugiej zaś chciałby, żebyśmy wyszli z niej nie tyle poharatani, ile zahartowani. Przede wszystkim na medialny, również w znaczeniu: zapośredniczony, obraz wydarzeń.

Dotychczas w ekranowej fantastyce reżyser poszukiwał człowieczeństwa w nowym totalitaryzmie technologiczno-kapitalistycznym. Dziś, niebezpiecznie blisko teraźniejszości, to w rozmaitych wzmoczeniach tożsamościowych upatruje największej grozy. I w tym, że jedyną odtrutką na dezinformację mogłoby stać się znieczulone, idące po trupach dziennikarstwo. ©

Lektor: Zejdźcie pod ziemię



■ Jacek Leociak
**PODZIEMNY MURANÓW,
Z FOTOGRAFIAМИ ARTURA ŻMIJEWSKIEGO.**
Wydawnictwo Czarne,
Wrocław 2024, ss. 344.

OD POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM MIJA 81 LAT. Na miejscu apokaliptycznego gruzowiska, które znamy z fotografii, wyrosła nowa dzielnica. Co kryje się i co ginie w głębi dzisiejszego Muranowa, gdzie zmieniła się nawet siatka ulic? Jak pisać o miejscu-po-getcie? Jacek Leociak i Barbara Engelking są autorami klasycznego już dzieła, jakim jest „Getto warszawskie. Przewodnik po nieistniejącym mieście”. Prof. Leociak, urodzony w 1957 r., wychował się na Muranowie, więc jego próba odczytania muranowskiego palimpsestu ma u źródła także pobudki autobiograficzne. To nie tylko realizacja projektu naukowego, ale i zadanie, czy może wyzwanie moralne.

„Wszystkich, którzy chcą jakoś Zagładę objąć, uprzytomnić sobie jej grozę – pisze – namawiam do praktykowania »współobecności«. (...) Współobecność jest udzieleniem miejsca naszym sąsiadom Żydom w przestrzeni, w której się dziś poruszamy, w naszym dzisiejszym myśleniu i odczuwaniu. Jest dopuszczeniem ich do wspólnego sąsiedztwa, do tego, by byli w naszej pamięci nie tylko jako ofiary, lecz także jako współmieszkańcy tego miejsca (...). Współobecność jest trudna, bo przeszkadza nam w życiu, przypomina nam o czymś, o czym może wolelibyśmy zapomnieć, jest niekomfortowa. Ale taka właśnie ma być”.

Długi cytat, ale wyraża także i moje odczucia, nie umiałbym ich lepiej wyrazić. Dodam, że „Podziemny Muranów” przypomina najpierw w skrócie dzieje Żydów w Warszawie, cofając się aż do późnego średniowiecza. Przypomina też arkadyjskie początki warszawskiej dzielnicy północnej, która miała się stać największym skupiskiem Żydów w Europie, a na koniec scenarię apokalipsy. Potem zaś są świadectwa: ludzi i rzeczy, archiwów zakopanych w blaszanych bańkach i przedmiotów codziennego użytku, które do dziś wypływa ziemia – jak żyłka obrośnięta korzeniem. Jest też odtworzenie ostatniego rozdziału tej historii, świata podziemnych bunkrów i kryjówek.

Maturalnych śladów prawie już nie ma, są pomniki i tablice. „Getto istnieje już tylko pod asfaltem ulic, pod chodnikami, pod skwerami podwórek, szkolnymi boiskami, dziedzińcami przedszkoli, pod obrośniętymi trawą skarpami usypanymi z gruzów, pod wyjątkowo w tej dzielnicy wybujałymi topolami, lipami, klonami. Tam są sklepienia piwnic przykryte gruzem i ziemią – mocne gettowe korzenie”. ©P

OLGA

Drenda:

Statyści w metrażu



PIĘKNE GLIWICE (NIEIRONICZNIE) ZNALAZŁY SIĘ NIEOCZEKIWANIE NA USTACH WSZYSTKICH. Nie z powodu sukcesów tamtejszej politechniki, ciekawego a mało znanego muzeum tatuażu, smacznych ciastek w „Śnieżce” czy wspomnień o bezkom-

promisowym awangardowym muzyku Tomaszu Twardawie. Niestety: przyczyną obecnej sławy tego miasta stał się pewien niefortunny budynek, a dokładnie zestawienie zdjęć „przed” i „po”. Pokróćce: dawna piętrowa kamienica należąca do infrastruktury kolejowej, zapewne w całkiem znośnym stanie technicznym, ładna typową dla takich konstrukcji solidną, porządną urodą, a przede wszystkim charakterystyczna dla okolicy – została zastąpiona przez współczesny biurowiec czy raczej niewielki „biurowczyk”. Wygląda jak wiele współczesnych konstrukcji: zupełnie anonimowo, z nawisem i elewacją z jaśniejszych (aluminiowych) i grafitowych płyt. To doskonale bezstylowy styl deweloperско-międzynarodowy, tyle że przy użyciu nieco lepszych, energooszczędnych technologii. Podobno na żywo wypada lepiej niż na zdjęciu (sprawdź). I zapewne nie wzbudziłby specjalnego oburzenia, gdyby nie próby zaczarowania rzeczywistości w notce prasowej towarzyszącej inwestycji – przekonania sceptycznych obserwatorów, że stara kamienica „symbolicznie zawiera się” w nowym budynku. Pijarowa poetyka przysporzyła biurowcowi negatywnej sławy za sprawą komentatorów, którzy poczuli, że ich oczy poddawane są intensywnemu mydleniu. A pocziwa kolejowa kamienica, nierozszcząca sobie do czegokolwiek pretensji i niczego nieudająca – urosła w powszechnym odbiorze, stając się budynkiem ważnym, nieodżałowanym.

Przy okazji takich wydarzeń można spodziewać się dwójakich głosów w obronie. Pierwszy z nich jest głosem arogantkim, zadowolonym, że nie musi się na nic oglądać – głosem „Tomka w swoim domku”: „na prywatnym terenie wolno robić, co się żywnie podoba, jak wolisz inaczej, to zrób sobie sam. Bo mnie na to stać” (czytać głosem Testovirona). Drugi zaś, wróżebno-koncyliacyjny, podkreśla nieunikniony charakter zmiany. „Dzielnica się zmienia, miasto się zmienia. Trzeba nadążać za zmianami. Teraz otoczenie musi się dopasować do zmiany. Nie można stać w miejscu. Nareszcie jakaś zmiana”. To zaklęcia wypierające świadomość, że istnieje coś takiego, jak zmiana na gorsze. Ale zaklęcie ma na celu uciąć dyskusję, nie dopuścić do zadania podstawowego pytania: po co właściwie ścierać niemal do zera coś, co często wystarczy tylko trochę poprawić?

Inicjatywy na rzecz klasycznej, XIX-wiecznej w duchu architektury, które pojawiają się w ostatnich latach, bywają różnej jakości. Te polskie skupiają się na udanych i nieudanych projektach, na które codziennie patrzymy w naszych miastach. Zagraniczne czasami chodzą na mocno politycznych (choć nie zawsze widać to od razu) poddespołach: w pakiecie dyskretnie sprzedają przekonanie, że wszelkie wynalazki nowoczesności są równie przykre jak kiepska deweloperka i że najlepiej byłoby całościowo wrócić do XIX w. To każe zachować wobec nich dystans, ale trudno nie przyznać całemu ruchowi racji pod jednym względem. Zadaje bowiem bardzo rzeczowe pytanie, dlaczego piękno się nie opłaca – i skoro domy i mieszkania stale drożeją, to dlaczego przy ich wykonaniu tak skąpi się na urodzie, rozumianej jako jakikolwiek rys charakterystyczny.

Odpowiedź to doprowadzona do karykaturalnego ekstremum koncepcja Adolfa Loosa, który twierdził, że naturalnym i pożądanym kursem ewolucji w kulturze jest zanik ornamentu, a zamiast tego – skupienie na funkcji użytkowej. Modernistom udało się funkcjonalności nadać formy piękne i bez ornamentu, bo wiedzieli, jak wydobyć maksimum jakości z prostoty – ale XXI w. okrutnie z nich zażartował. Funkcja użytkowa okazała się bowiem trzeciorzędna wobec potrzeby maksymalnie rentownego wykorzystania przestrzeni, funkcji czysto zarobkowej.

To debata żywa zwłaszcza w USA. Amerykańscy krytycy architektury, szukając (nie bez wysiłku) cech charakterystycznych tego pozbawionego charakteru stylu, wskazują na podstawową rzecz: współczesne budynki to często nie domy, nie sklepy, nie restauracje, a jedynie opakowania na powierzchnię inwestycyjną. Dlatego wszystko wygląda podobnie: osiedla, markety dyskontowe, hale logistyczne, cały świat od Polski po Australię okłada się idealnie płaskimi, białoszarymi płytami z płaskimi oknami. Różni je co najwyżej jakość zastosowanych materiałów. Doskonała żądność to nie wypadek przy pracy, lecz cel: chodzi o to, by równie łatwo było tam coś wynająć, jak wyprosić, zbudować i zdemontować. To nawet nie „nie-miejsca”, a jedynie opakowany metraż. A w takiej przestrzeni człowiek może łatwo poczuć się jak NPC („statysta” w grze komputerowej, postać, którą nie da się grać). Nic dziwnego, że wszystko, co niesie ze sobą choćby cień charakteru, bycia „jakimś”, może sprawić, że ludzie zapragną trzymać się tego kurczowo. ©

Gliwice potrafią połączyć stare i nowe, jak na tym przykładzie.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: Wspólnota stołu



STO PIĘĆ MILIONÓW EURO KOSZTOWAŁ polskich podatników sąsiedzki spór o szkody w środowisku wyrządzane przez kopalnię w Turowie. Mamy prawo już go nie pamiętać. Tym bardziej że sprawa była dość skomplikowana, racje ekologiczne

kłóciły się w tym gęsto zaludnionym i uprzemysłowionym rejonie ze społecznymi, z potrzebą posiadania pracy (w kopalni i jej otoczeniu, no bo gdzieżby indziej) i prądu w gniazdku, który nie zeżre połowy pensji.

W czasach, jak to określają nasi władcy, przedwojennych nikt się nie będzie przejmował opadaniem wód gruntowych w dalekim powiecie. Z wyjątkiem jego mieszkańców. Czasem migną momentalnie przed oczami, gdy prąd zdarzeń wyciągnie ich, jak okazy ryb głębinowych, na powierzchnię naszej płytkiej uwagi. W dziale opinii i publicystyki największej światowej gazety ni stąd, ni zowąd pojawił się tydzień temu dokumentalny filmik o nich, który nawet dostał dwa lata temu nagrodę na warszawskim festiwalu, po czym zniknął w archiwach.

Czemu akurat teraz? Trudno orzec, w każdym razie, gdy wpisze się w wyszukiwarkę ciąg słów „New York Times Bogatynia”, znajdziecie do niego link. Film jest krótki, dostępny bez opłat, ale gdyby wam było szkoda dwunastu minut, szybko opowiem. Oto pani Teresa z Bogatyni szykuje się do konkursu na najlepszą sałatkę ziemniaczaną w sąsiedniej czeskiej wsi Heřmanice. Krojeniu warzyw towarzyszą jej słowa z offu, sensownie opisujące raczej ludzi po polskiej stronie, dla których proces o kopalnię był niepojętą awanturą wielkich tego świata nad ich głowami. W tym samym duchu – „wiem tyle, co mówili w telewizji, nie znam się, może i jest źle, ale nie wiem, co z tym zrobić” – mówią ludzie z obu stron granicy nagrywani już podczas finałowej zabawy.

Przaśna salka domu kultury ustrojona jak remiza na tanie wesele, bufet z piwem i cipsami, ludzie krążący z papierowymi talerzykami, przyspiewki i przymówki – w zamierzeniu miało to chyba przypominać „Pali się, moja panno”, a wyszło raczej „Z kamerą wśród Słowian”, bo trzeba mieć oko Ondříčka, żeby zgromadzenie takich niekoniecznie kształtnych ludzi uchwycić z empatią i na ciepło. Mam złośliwe wrażenie, że operator może przykadrował, żeby było brzydziej, bo ze zdjęć na stronach gminy widzę, że imprezę nawiedzają licznie młodzi, ubrani po miastowemu i o twarzach mniej przasných. Z tychże stron dowiedziałem się, że impreza nie jest w zamierzeniu transgraniczna, tylko zwyczajnie tutejsza, ale otwarta dla każdego.

I to jest w całej tej historii najważniejsza informacja. Istnienie stołowej wspólnoty, która się odnajduje bez formalnych ceregieli i bez szukania definicji. Wspólnoty „w sobie”, a nie „dla siebie”, rzekłby heglista. Przyjmującej różnorodność (w granicach rozsądku) jako coś oczywistego, niezaburzającego równowagi świata.

Wiele sałatek – z tą od pani Teresy na czele, która wygrała konkurs – nie nazwałbym ziemniaczanymi, tylko warzywnymi, bo wyglądały jak te, co się w Polsce kroi na święta. Ziemniak w takowej, owszem, występuje, ale tylko daleko w chórze, a nie jako pierwszy solista. W większości czeskich (i śląskich zresztą też) przepisów stanowi główny ilościowo składnik, choć dopuszczają marchew, cebulę, ogórki, a także boczek.

W filmie mamy zresztą dialog z czeskim jegomościem, który zauważył, że Polacy nie wiedzą, jak robić *bramborový salát*, na co nasza bohaterka rezolutnie odpowiada, że to jest właśnie okazja, żeby Czech poszerzył smaki i spróbował czego innego. Ta otwarta formuła – zrób po swojemu i przynies – sprawia, że końcowa ocena jest czysto subiektywna, porównuje się rzeczy nieporównywalne, niczym jabłka z gruszkami, musi decydować sumaryczne odczucie, stopień zadowolenia nieskrępowanego kryteriami głosu ludu.

Rywalizacja o to, kto najlepiej we wsi gotuje, odpustowy konkurs na najlepszy sernik czy zupę świetnie zakreśla granice bezpiecznej swojskości – kto jest nasz w bardzo intuicyjnym sensie. „My sme mali, pani”, mówi jedna z kobiet przy stole, tłumacząc, że nie rozumie konfliktu o kopalnię, choć nie zaprzecza, że trwa (i że wody w studniach ubyło). Machnięcie ręką, bezradne wzruszenie zamiast kiczu odgórnego dialogu. I tak sobie to współzycie może trwać przez jeden, dwa, trzy wieczory w roku, człowiek przecież nie mieszka tylko na parterze codzienności, ile można jeść w kółko sałatki. Ale czasami naprawdę się nie chce wchodzić na wyższe piętra z narodowymi pasztetami. © P

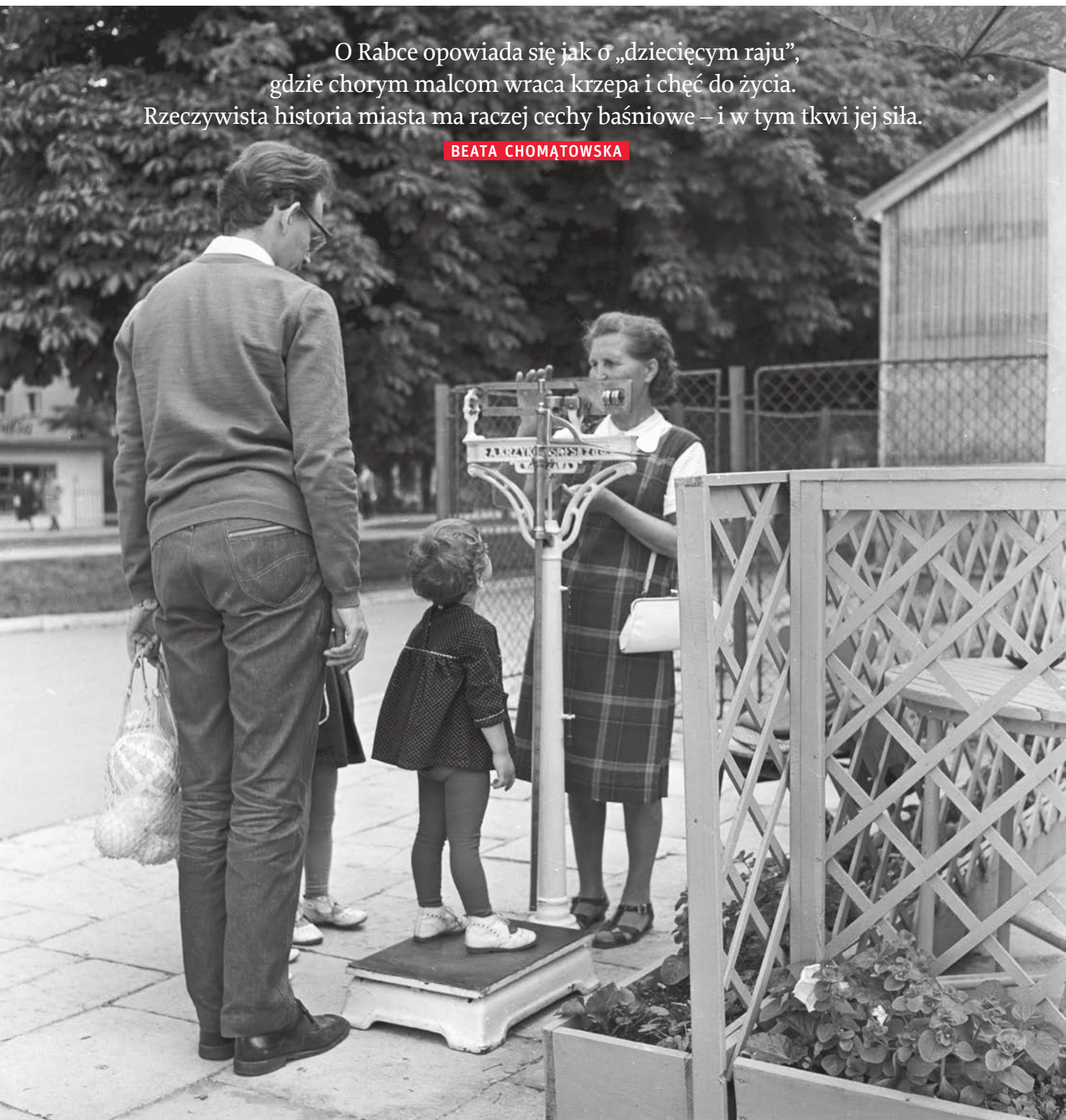
Dobra, bratku, powiecie, takiś zdystansowany, wszystko dla ciebie smaczne, a sam jak robisz? Po niemiecku, z bulionem. Gotujemy w mundurach 1,5 kg ziemniaków, studzimy, kroimy w plastry ok. 1 cm grubości. Dużą cebulę pokrojoną w cienkie piórka wrzucamy na kilka minut do 200 ml wrzącego, mocnego bulionu warzywnego. Po zdjęciu z kuchenki, ale jeszcze na gorąco, dodajemy do garnuszka 2-3 łyżki białego octu winnego i 2 łyżki musztardy, mieszamy. Po całkowitym wystudzeniu zalewamy tą miksturą ziemniaki (jeśli wydaje nam się, że za dużo płynu, odciedzamy jego część), dodajemy kilka drobno pokrojonych ogórków konserwowych i ze dwie łyżki majonezu (niektórzy jeszcze go zakwaszają zalewą z ogórków). Mieszamy i odstawiamy do przegryzienia na dwie godziny.



ZA POCIESZNĄ WODĄ

O Rabce opowiada się jak o „dziecięcym raju”,
gdzie chorym malcom wraca krzepa i chęć do życia.
Rzeczywista historia miasta ma raczej cechy baśniowe – i w tym tkwi jej siła.

BEATA CHOMĄTOWSKA



WBAJKOWEJ INTERPRETACJI RABKA-ZDRÓJ JEST MIASTEM Dzieci Świata od zawsze, niczym pocziwa babcia Rabka witająca z otwartymi ramionami kolejne pokolenia malców. Taka uśmiechnięta staruszka w regionalnym stroju, jaki w tych okolicach wkłada się już tylko od święta. Pokonuje złą czarownicę-gruźlicę, której boją się nawet dorośli, przygarniając do serca całe dziecięce gromady.

Tymczasem idea uzdrowiska przyjaznego najmłodszym kuracjuszom kiełkuje dopiero na przełomie XIX i XX w., gdy niemal jednocześnie, staraniem krakowskich filantropów, powstają w Rabce dwie kolonie zdrowotne dla chłopców i dziewczynek z ubogich rodzin. Chrześcijańska pod wezwaniem św. Józefa oraz żydowska, która później zyska imię fundatorki, Marii Fraenklowej. Będą odąd rozwijać się jedna obok drugiej, nierzadko współpracując ze sobą i dając początek Miastu Dzieci, podwójnemu, jak jego nazwa.

To jednak wówczas pojęcie czysto symboliczne, podobnie jak określenie „miasto” (wskutek oporu mieszkańców Rabka otrzyma prawa miejskie późno, dopiero w 1956 r.). Rabczańskie uzdrowisko służy wszak również – a może nawet przede wszystkim – dorosłym. Zjeżdżają tu na kąpiele i popijanie leczniczej solanki cierpiący niemal na wszystkie bolesti, od skrofulów i innych chorób skóry poprzez reumatyzm i artretyzm, aż po przypadłości bynajmniej nie wieku dziecięcego, jak „choroby maciczne”, zaburzenia miesiączkowania i zakażenia syfilisem.

Etap państwowego kombinatu uzdrowiskowego dla dzieci zacznie się dopiero po 1945 r. Oficjalny tytuł Miasta Dzieci Świata zyska zaś Rabka u schyłku kolejnego stulecia, choć wówczas Miastem Dzieci w zasadzie już nie jest. Miastem Dzieci Świata nie była nigdy, mimo że podczas okupacji przyjmowała rzesze niemieckich dzieci ewakuowanych z kraju przed bombardowaniami.

Rabka, Raba i Zdrój

„Dawno, dawno temu, za górami, za lasami było sobie Miasto Dzieci...” – typowo baśniowa formuła początkowa, sugerująca, że to, co nastąpi, nie odnosi się do znanego nam tu i teraz.

W Mieście Dzieci, czyli właściwie gdzie? Rabczańskie zdrowisko to twór zewnętrzny, powstały od zera w czasach galicyjskich z inicjatywy medyków z Krakowa. Źródła solankowe odkryto tu już w średniowieczu, ale do ponownego ich odkopania i wykorzystania w celach leczniczych doprowadzają dopiero działacze krakowskiego Towarzystwa Balneologicznego, którym z patriotycznych powodów marzyły się rodzime kurorty, nawiedzane przez rodaków preferujących dotąd wyjazdy „do wód” za granicą.

Za namową zaprzyjaźnionych lekarzy Julian Zubrzycki, ówczesny właściciel Rabki, zgadza się nałożyć na część parcel (uzyskanych w wyniku zamiany gruntów z miejscowym proboszczem) urbanistyczną matrycę, opracowaną na zachodzie Europy i powielaną z powodzeniem przez Niemców, Szwajcarów czy Francuzów: dom zdrojowy, łaźienki, pijalnia i altany przy źródłach mineralnych, muszla koncertowa dla orkiestry zdrojowej, apteka, kaplica i obszerny park. Dziedzic Zubrzycki łoży na rozwój Zdroju skąpo; miejscowość rozkwita dopiero pod rządami kolejnych właścicieli, Kadenów.

Rabka Zdrój, sierpień 1970 r.

„Wszędzie ta dwoistość, troistość i w ogóle odwrotność” – pisał o Rabce-Zdroju Aleksander Ziemny, jej były mieszkaniec. Dwoistość wpisana jest już w nazwę, ale tu ma więcej wymiarów niż podział przestrzenny na Rabkę i Zdrój. Choćby polski i żydowski, zapoczątkowany przez dwie pierwsze lecznicze kolonie. Miejscowy i przyjezdny. Góralski i pański. Zdrowy i poddawany kuracji.

Rabczańska topografia też jest bardziej skomplikowana. Zdrój to twór sztuczny, zaś „miasto”, nazywane częściej Rabką-wsią albo Rabką dolną, składa się z dwóch głównych ulic, dwóch kościołów, placu targowego wydzielonego z dawnych dóbr dworskich i rynku, zamieszkałego przez Żydów. Rabkę właściwą tworzy wszystko to, co dookoła, pagórkowaty archipelag podzielony na role, zagrody i obrębki, odzwierciedlające przebieg tutejszego osadnictwa wokół doliny Raby. To kraina Górali Zagórzańskich, o mieszanym, pastersko-osiadłym trybie życia, z oryginalnym folklorem, który frapuje przyjeżdżającego w XIX w. z mamą na wywczasy małego Bronia Malinowskiego.

Wrażenia ogólnego pomieszczenia dodaje niespójność nazw, tych lokalnych i tych nadawanych, często się zmieniających. Trudno więc się dziwić, że we wspomnieniach dawnych dziecięcych kuracjuszy Rabka jawi się jako przestrzeń nieokreślona, niczym ze snu, do którego zresztą baśnie bywają podobne: dziwna, odległa, a niby doskonale poznana. Zwłaszcza sanatorium, uzdrowisko, szpital mają status nie-miejsc, rzeczywistości alternatywnej, gdzie czas biegnie własnym torem, deformując też przestrzeń.

Dziecięce państwka

Wbrew hasłu „Miasto Dzieci Świata”, sugerującej ucieleśnienie korczakowskiej utopii, bezklasowej przestrzeni dostępnej wszystkim malcom, którzy przyjeżdżają po słońce i zdrowie, podziałów tu zresztą bez liku, i to od samego początku.

Bajkowa fantazja skupia się głównie na małych kuracjuszach, tymczasem w przestrzeni uzdrowiska funkcjonuje wiele grup dzieci. Są miejscowe – mali górale i ich żydowski rówieśnicy z okolic rynku – z rzadka budzące zainteresowanie autorów donoszących o postępach w rozwoju zdrowiska, nie mówiąc już o dzieciach romskich, funkcjonujących na obrzeżach społeczności. Są dzieci „pańskie” i ich towarzysze z miasta przyjeżdżający na wypoczynek. Są podopieczni kolonii leczniczych, a później sanatoriów, odizolowani w swoich enklawach. A oprócz tego dzieci, które przemykają przez Rabkę w sezonie, by po skorzystaniu z dobroczynnych właściwości miejscowego powietrza i wód oddalić się wraz z rodzicami do Krakowa, Lwowa, Warszawy, Łodzi albo w Poznańskie. Dzieci właścicieli pensjonatów i sanatoriów, miejscowej inteligencji. Uczniowie i uczennice rabczańskich szkół sanatoryjnych. Federacja dziecięcych państwerek, których reguły na dokładkę określają dorośli.

Te światy rzadko się przenikają, choć mają punkty styczne. W dokumentach szkolnych sąsiadują ze sobą podpisy małych: Heleny Czyszczeniówny i Marii Landwirthówny, Chaima Schon-guta i Franciszka Rogowca, Anny Goldberg i Janiny Sularzówny, Stefanii Ryplówny i Loli Weissbergerówny, Lai Schieldrimówny i Eugenii Łysakówny. Linie demarkacyjne pomiędzy nimi wyznacza nie tyle wyznaczenie, ile pochodzenie, jak w dorosłym świecie, zaś separację od dziecięcych kuracjuszy wymuszają względy sanitarne. Przyjezdni, jeśli nawiązują kontakty z rówieśnikami, →

→ to głównie z dziećmi właścicieli pensjonatów, należącymi do tej samej sfery. Są od tego nieliczne wyjątki, jak egalitarne z ducha gimnazjum sanatoryjne męskie doktora filozofii Jana Wieczorkowskiego, który wzenił się w rodzinę Kadenów. Uczą się w nim Żydzi i Polacy, ci z wyższych i zamożnych sfer, ale też trochę miejscowi górale, którym właściciel obniża czesne.

W bajkach opowydanych przez dorosłych dzieci są zawsze szczęśliwe. W rabczańskiej baśni bywa z tym różnie. Mali kuracjusze ze względu na leczniczy reżim czują się często jak w więzieniu, niektórzy planują ucieczkę, inni chcą się zabić – choć w miarę upływu czasu opiekunom i lekarzom udaje się u większości z nich poprawić nie tylko stan zdrowia, ale i „utrzymać duszę dziecięcą w atmosferze słonecznej i radosnej” – jak pisze pediatra Norbert Lilien, lekarz w kolonii dla dzieci żydowskich.

Miejscowym dokuczają często głód i nędza, a także choroby, które w połowie XIX w. zabierają nawet połowę rabczańskich dzieci przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Podczas epidemii brakuje miejsc na cmentarzu, więc ciała niemowląt, których nie zdążono ochrzcić, grzebie się za murem parafialnym. Te, które przeżyją, nie mają łatwo: ich codzienność upływa głównie na wykonywaniu rozlicznych, przybywających z wiekiem obowiązków, w przeludnionych izbach, w wielopokoleniowej rodzinie, karności i posłuszeństwie. Ale o tym, że samo pochodzenie nie bywa gwarancją szczęścia, przekonują się też mali Kadenowie i Kadenówny, poznając dobrze dziecięcą samotność, zazdrość o rodzeństwo czy zabieganie o względy ukochanego rodzica – skądinąd są to częste motywy baśniowe.

Rozpad w cieniu wojny

W nazwie Miasta Dzieci i jego historii ważny jest też trzeci element: łącznik, inaczej dywiz. Rolę jego odpowiednika w realnym wymiarze pełnił do II wojny światowej dwór, posadowiony w widłach Raby i Poniczanki, pomiędzy „miastem” a częścią zdrojową.

Ze Kadenów dwór żywi, dając pracę i możliwość zakupu ziemi na własność. Rabczanie w pośpiechu stawiają na niej domy na wynajem dla kuracjuszy i letników. Wszere i wzdłuż rosną też parterowe góralskie chałupy, które dla wygody gości otacza się werandami, jak w Zdroju. Wokół dworu, w dole, rozrasta się „miasto”.

Gości przybywa niemal pięciokrotnie – w latach 30. XX w. od maja do września każdego roku przez Rabkę przewija się około 30 tys. osób. Rabczańscy dziedzice przyjmują często znajomych z wojska i polityki: urlopy spędza tu generał Haller, zajrzy też minister Beck – tak mu się spodoba, że zapragnie odkupić zdrojowisko za osiem milionów złotych zdeponowanych w banku szwajcarskim. Ale nad „krajem mlekiem i miodem płynącym”, w jaką zmienia się na ten krótki okres Rabka, nadciąga już cień. Wyrwę w połączonym wspólną korzyścią rabczańskim mikroświecie przynosi wojna i Zagłada.

Żydzi – miejscowi i przyjezdni, w tym niemowlęta i dzieci, torturowani i mordowani na oczach całej społeczności obok willi Tereska (do niedawna szkoły dla dobrze urodzonych pańien, zmienionej w szkołę policyjną Sipo-SD) – tracą dotychczasowy status. Stają się nieczyści, niejednoznaczni, zagrażający. Także ci, którzy ocalili, bo są niczym upiory zawieszane między życiem a śmiercią, przypominające o wojennym horrorze.

W 1945 r. dochodzi do zbrojnych napadów na wille, w których przebywają ocalałe z Zagłady dzieci z krakowskiego domu dziecka. Dokonują ich miejscowi – wyrośnięci „chłopcy” współpracujący z partyzantką, uczniowie szkoły Wieczorkowskiego, podburzani przez księdza i polonistę. Inwigilowani przez bezpiekę, wśród krewnych i sąsiadów urastają do rangi bohaterów, lokalnych zbójników, którym wybacza się okrucieństwo, ubolewa nad ich ciężkim losem i wynosi do rangi męczenników.

Z Rabki znika też dwór, spalony przez wycofujących się hitlerowców. Niedługo potem państwo zabiera cały majątek Kadenom na potrzeby powstającego kombinatu uzdrowiskowego, a założyciel gimnazjum, któremu zniszczono dorobek życia, popełnia samobójstwo. „Leśni” jeszcze długo nie składają broni. Ich ofiarą w 1947 r. padają krewni Jerzego Cynsa, chłopca, który wcześniej musiał uciekać z Rabki wraz z innymi dziećmi z żydowskiego sierocińca, a teraz przyjechał z rodziną, by odpocząć. Dorośli giną, jego dwuletni kuzyn zostaje postrzelony w nogę. On sam, schowany pod łóżkiem, ocaleje, ale pamięć tych zdarzeń będzie prześladować go przez resztę życia.

To ciemna strona baśni o Mieście Dzieci. Przez ponad pół wieku o niej milczano. Nie pasowała do cukierkowego wizerunku.

Św. Mikołaj ze Szwajcarii

„Ulicami Dietla i Nowym Światem wędrują dzieci zagrożone gruźlicą. Idą parami, trzymając się za ręce. Trasa spacerów prowadzi z nowo wybudowanego sanatorium imienia przodownika pracy Wincenta Pstrowskiego do lasów nad Pocięzną Wodą. W parku – pustki. Jeszcze nie nadszedł czas inżynier Heleny Romanowskiej, która za kilka wiosen wyścieli Rabkę klombami kwiatów. W willi »Pod Aniołem« dożywa resztek świetności restauracja Teodora Klimińskiego, u Rawiczów ma być proboszcz wieczorkiem na brydzu, a w lesie, blisko Słonecznej, zablizniają się mchem masowe groby Żydów pomordowanych w czasie wojny”. To Rabka-Zdrój w połowie lat 50. w raporcie Ewy Owsiany, córki miejscowych nauczycieli. Prospekt turystyczny na sezon 1949/50 przedstawia „jedyny w Polsce ośrodek leczniczy dla dzieci”.

Po wojnie nie ma szans na powrót do równowagi, bo kraj jest w stanie dziwnego zawieszenia. Nowa władza i ustrój nieustabilizowane, niechciane, zaś ludzie – zdemoralizowani, zastraszeni. Cóż nadaje się lepiej na obrzęd rytualnego oczyszczenia, powrotu do stanu pierwotnej niewinności, niż przyjęcie roli Miasta Dzieci i stworzenie nowej, bajkowej opowieści? Same dzieci, mimo że nie rozmawia się z nimi na trudne tematy, przeczuwają jednak istnienie ciemnego w sielankowym krajobrazie. Rozpoznają, jak baśniowy kamuflaż, wilka zamiast babci w „Czerwonym Kapturku”, nawet jeśli nauczycielki, prowadząc je na spacer do lasu za „Tereską”, opowiadają bajki o krasnoludkach ukrytych pośród mchu.

Choć Rabce, przedwojennemu uzdrowisku także dla dorosłych, patronuje odtąd wyłącznie dziecko – symbol czystości i niewinności, a także zapomnienia i wybaczenia, w rzeczywistości jedno tylko zgadza się z bajkową wersją: otóż zaraz po wojnie istotnie przyjechał tu prawdziwy św. Mikołaj. Co prawda nie z dalekiej Północy, ale ze Szwajcarii, kraju gór, krów i prawdziwej czekolady. To Raymond Courvoisier, szef tamtejszej misji rządowej, która stawia sobie za cel pomoc pań-

stwom poszkodowanym przez wojnę. Powołana w tym celu z końcem 1944 r. organizacja Don Suisse chce zaopatrzyć w niezbędny sprzęt i leki szpitale, sanatoria i domy dziecka.

Courvoisiera przyjmuje dwóch miejscowych społeczników-zapaleńców, lekarz Zdzisław Olszewski i meteorolog Czesław Trybowski. Przekonują go, że właśnie tu powinien powstać ze szwajcarską pomocą ośrodek leczenia gruźlicy dziecięcej, która stanowi wówczas w Polsce istną plagę. Gość jest pod wrażeniem, gdy dowiaduje się, że w Rabce przed wojną działało 20 zakładów leczniczych i ponad 100 pensjonatów. Obiecuje wsparcie. Pomysł trafia na podatny grunt u czynników ministerialnych w Warszawie i tak zaczyna się era rabczańskiego Zespołu Sanatoriów dla Dzieci.

Rabcio Zdrowotek

Poza tym jednak w zniszczonej przez wojnę Rabce niewiele przypomina bajkę. Brakuje nadających się do przyjęcia dzieci budynków, leków, żywności, dobrej infrastruktury. A przede wszystkim brakuje osób, które miałyby się dziećmi zajmować – wychowawców, pielęgniarek, lekarzy. Trudno skusić ich do przeprowadzki na prowincję, gdzie trudno – wobec konkurencji ze strony letników – nawet o mieszkanie. Zniechęcająco działają też opowieści o zbójnikach z miejscowej partyzantki. Rabczanie zaś obawiają się zakażenia gruźlicą i reagują na nowy status bez entuzjazmu, wymuszając ułożenie sanatoriów z dala od miejsc codziennej aktywności.

Stopniowo, w miarę rozwoju powojennego uzdrowiska, wśród dorosłych przybywa jednak zaangażowania i empatii – na wzór ich znacznych poprzedników jeszcze sprzed wojny, takich jak Malewski, Cybulski, Potmczyk, Fromowicz. Powstaje wzorcowe sanatorium imienia Pstrowskiego dla malców chorych na gruźlicę kostną, na które składa się cały Śląsk i Zagłębie Dąbrowskie. Alina Margolis-Edelman organizuje tu eksperymentalną kolonię dla małych cukrzyków, opartą na wzorcach francuskich, w której diabetycy uczą się od małego samodzielności. Lekarskie małżeństwo Rudników i ich współpracownicy rozsławiają Rabkę jako centrum leczenia chorób płuc. Z inicjatywy pedagogki Stanisławy Rączko, która zatroszczy się też o zdrowie psychiczne pacjentów, powstaje pierwszy gabinet pedagogiczny, a także teatrzyk dziecięcy Rabcio Zdrowotek, rozjaśniający pobyty w sanatoriach – fenomen, który w zmienionej formule działa do dziś.

Mimo tych wysiłków mroczne wątki utrzymują się w opowieściach niegdyśszych kuracjuszy aż do końca. Przymusowa rozłąka z rodzicami, upokorzenia ze strony opiekunów, brak podmiotowości, męczące zabiegi, głód, przemoc doznawana od rówieśników, wspomnienie traumy. Wielu z nich porównuje tamte doświadczenia do pobytu w obozach czy karnych koloniach i do dziś omija Miasto Dzieci szerokim łukiem.

Do Rabki na bal

Sprawa jednak nie jest jednoznaczna. Rabce brak zdecydowania, czy orientować się bardziej na dzieci, czy jednak na dorosłych, dla których usługi są bardziej intratne: transport, restauracje, miejsca rozrywki, nocne życie. „Zabierz kobietę do Rabki na



Mali pensjonariusze przy ambulansie ofiarowanym przez szwajcarską organizację charytatywną na otwarciu Zespołu Sanatoriów dla dzieci w Rabce Zdroju. Luty 1948 r.

bal (...) szampana dla niej nie będzie ci żal” – nucą za Agnieszką Osiecką wczasowicze. Przemieszczenie funkcji daje się we znaki najmłodszym i rodzinom szukającym w Rabce odpoczynku. Skutkuje też wzrostem poziomu hałasu i zanieczyszczeń.

W latach 1981–1985 specjaliści badają zagadnienie „bioklimatu Rabki ze szczególnym uwzględnieniem zanieczyszczenia powietrza” i alarmują o znacznym przekroczeniu większości norm. Przedwojenna infrastruktura i wysłużone sanatoryjne budynki zaczynają się rozsypywać. Do tego postęp medycyny i otwarcie Polski na świat, wraz z kolejnymi reformami służby zdrowia, przekreślają sens wielomiesięcznych pobytów w sanatoriach. Gdy mieszkańcy fetują nadanie oficjalnego tytułu przez kapitułę Orderu Uśmiechu, Miasto Dzieci powoli umiera.

W reakcji na publikacje odsłaniające ciemną stronę rabczańskiej historii, jak książka „Mroczne sekrety willi Tereska” czy artykuły dr Karoliny Panz, odżywa mit partyzanta-zbójnika: obchody dni pamięci miejscowych żołnierzy wyklętych urastają do rangi rytuałów tożsamościowych, scalających wspólnotę. Jednocześnie Miasto Dzieci – według danych GUS – zyskało ponury status gminy o najwyższym odsetku zgonów na Podhalu. Pojawia się nawet pomysł, by stało się miastem seniorów, których dziś można spotkać w parku zdrojowym częściej niż dzieci.

Dziś w jego centrum znajdują się rozjeżdżane przez busiki ruchliwe skrzyżowanie, w miejscu dworu – parking, wysypisko złomu i Rabkoland, kwintesencja komercyjnego parku rozrywki dla najmłodszych. Basen nie działa od dawna. W części zdrojowej niszczeją opustoszałe pensjonaty i nieczynne sanatoria, tylko dobrze utrzymany park zachwyca ogromem. Resztki rynku niedawno wybrukowano, ale pustka została.

Czy ta historia może mieć jeszcze szczęśliwe zakończenie? To już zależy od samych rabczan, którzy od dawna głośno narzekają na upadek miasta. Powrotu do idealizowanej przeszłości nie ma, ale na tym, co było, można budować od nowa, jeśli wybierze się baśń zamiast mitu lub bajki. Baśń działa terapeutycznie, pod warunkiem że jest się gotowym na jej przyjęcie w całości.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

24 kwietnia ukaże się książka Beaty Chomątowskiej „Miasto Dzieci Świata”

STANISŁAW

Mancewicz:

Cena za humorek



GENERALNIE RZECZ UJMUJĄC, WYOBRAŻENIA człowieka szarego szarzyzną tutejszą na temat pieniędzy są dość ograniczone. Być może iluś ludzi wie, że może wydać zaledwie tyle, ile ma, iluś uważa, że może wydać więcej, inni, że mniej. Są też tacy, którzy nie wydają swoich, tylko cudze. Część z nich – popatrzmy – siedzi z tego powodu w zakładach karnych, część zaś w parlamencie. Możliwe, iż ktoś teraz zarzuci nam, że silimy się na dowcip, a nasze uwagi na temat gospodarowania pieniędzmi są żałosne, że na takie mądrości stać w Polsce każdego, że zaiste zgłupieliliśmy już do cna.

Byłby to jednak zarzut z gruntu mylny, bo jak Polska długa i szeroka, nie istnieje poważna edukacja na temat dwu arcyważnych dla bytu człowieka zagadnień. Oto nikt na serio nie informuje dzieci, skąd się na świecie wzięły, oraz skąd mamusia z tatusem mają pieniądze. Zauważamy – to nie nowość – silny trend ucieczkowy od zagadnień związanych z najszerzej pojętą prokreacją człowieka i utwardzanie w kolejnych pokoleniach mniemania, że pieniądze rosną na drzewach. Można tu rzec, że skoro dzieci przynoszą bociany, a pieniądze lęgną się w dziuplach, to nie może być bariery w kontrewolucyjnym sądzeniu, iż, dajmy na to, Ziemia ma kształt pizzy, zarazki są wymysłem biznesu farmaceutycznego, a raka leczymy sokami owocowymi.

Myliłby się każdy sądzący, że ten wstęp jest przygrywką do malowniczych rozważań na tematy nader nas interesujące, jak problematyka rozerotyzowania tradycyjnej rodziny polskiej oraz – lubimy to słowo – dietność, a zwłaszcza jej spadek. Spadek dietności jest tematem bardzo poważnym, jednakże omawianym przez nas wyłącznie w bardzo wąskim gronie osób kompetentnych. Słowem, zostają nam tu do omówienia kwe-

stie nie prokreacyjne, a ekonomiczne. Ścisłej zaś rzecz biorąc, chcemy dziś gwarzyć o pieniądzach. Rzecz jasna, chodzi nam o pieniądze duże, bo tylko takie są interesujące.

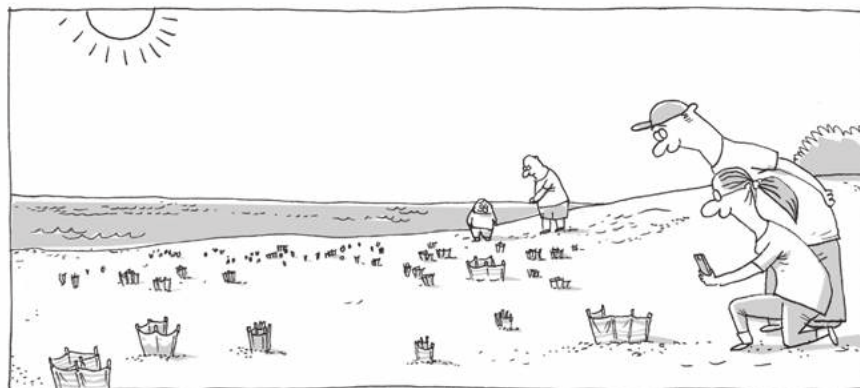
W zeszłym tygodniu przeczytaliśmy o wydatkach na ochronę prezesa PiS, p. J. Kaczyńskiego. Oto dowiedzieliśmy się, że w ciągu ośmiu lat wydano na tę usługę z naszych podatków 35 milionów złotych. Informacja ta oczywiście nie zrobiła na nikim większego wrażenia, nie wywołała żadnej reakcji poza drobnym szmerem w sieci, ani tym bardziej oburzenia kogośkolwiek. Zapewne z powodu podanego powyżej. Po prostu szalona większość podatników polskich uważa, że pieniądze rosną na drzewach, zatem 35 baniek w tę czy w tamtą, wydanych na to, śmo lub owo, nie gra w ich życiu obywatelskim żadnej roli.

Pomyśleliśmy, że postaramy się jednak Polkom i Polakom urealnić tę astronomiczną sumę. Obliczenia mogą zawierać drobne nieścisłości, co nie ma żadnego znaczenia. Oto osiem lat to jakieś 2920 dni. A zatem dziennie, świątek-piątek, wydawaliśmy na ochronę p. Kaczyńskiego pi razy oko 12 tysięcy złotych. Nawet w dni dżdżyste, gdy, dajmy na to, nie wychodził z domu, tylko skakał sobie pilotem po kanałach transmitujących zawody rodeo i msze święte, Polka z Polakiem, wszyscy bez wyjątku, składali się na czuwający orszak kilkudziesięciu tajniaków i mundurowych obu płci.

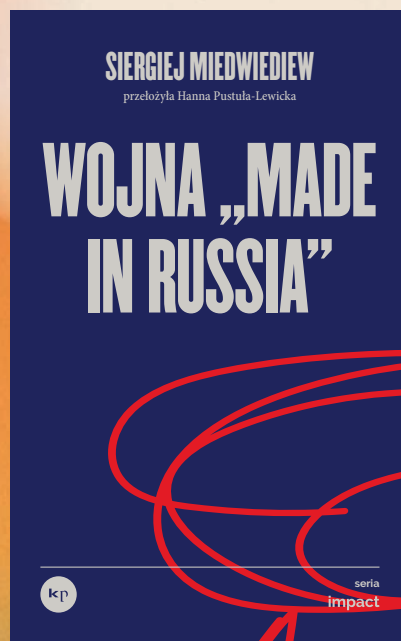
Fundatorzy tej kosztownej usługi – czyli ogół podatników polskich – powinni jednak wiedzieć, jakie były powody tej niespotykanej troski państwa polskiego o prezesa PiS. Czy jego życie było permanentnie zagrożone? Czy były poważne sygnały, że ktoś chce zrobić mu krzywdę? Że jest nań szykowany zamach? Bomba? Grupa zbrojna? Ampułka z wirusem? Zatruty kebab? Skazony ogórek kiszony? Żmija pod kocykiem? Jeżeli tak, to kto, skąd, gdzie, jak? Czy domniemani zлочyńcy zostali rozpoznani? Schwytani? Przesłuchani? Osądzeni? Osadzeni? Czy można by prosić o precyzyjne wymienienie powodów, dla których ponieśliśmy tak szalone wydatki? A może nie można, bowiem jest to tajemnica państwowa? Jeśli tak, to chyba jasne, że jesteśmy upoważnieni do snucia domysłów i wcale się w nich nie gubimy. Po prostu jesteśmy przekonani, że wszyscy, jak tu siedzimy, zapłaciliśmy 35 dużych baniek za dobre samopoczucie p. Kaczyńskiego i jego kilku kolegów. W tej sprawie cena nigdy nie miała znaczenia.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



NIESPODZIANKA NA BAŁTYCKICH PLAZACH. WYSOKIE TEMPERATURY SPRAWIAJĄ, ŻE JUŻ W KWIETNIU ZAKŁYTE PIERWSZE PARAWANY.

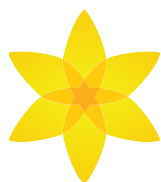


impact

DIAGNOZY WSPÓŁCZESNOŚCI PERSPEKTYWY NA PRZYSZŁOŚĆ

SERIA IMPACT — PREMIERA W MAJU
www.wydawnictwo.krytykapolityczna.pl

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

19 IV 1943

POWSTANIE W GETCIE
WARSZAWSKIM

Łączy nas pamięć

polin.pl

#ŁączyNasPamięć

Organizator:



Honorowy patronat:



Sponsor:

Strategiczny Muzeum:



Oficjalny:

przewodnik Muzeum:



Projekt partnerski zrealizowany przez Muzeum, Łódź, Łódźskiemu Honorowi w ramach

Fundacji 100-lecie Państwa Polskiego

Partnerzy:



Partnerzy medialni:

